

WYDAWCA
Fantastyka

JOHN VARLEY

ZŁOTY WIEK

Prószyński i S-ka

John Varley

ZŁOTY WIEK

Przetłóżył Lech Jęczmyk

Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Od autora

Od tłumacza

PROLOG

1. GŁOS GROMU

2. HEJ, ZDECHLAKI!

3. POJEDZIEMY NA GOLGOTĘ

4. WEHIKUŁ CZASU

5. SŁYNNNE OSTATNIE SŁOWA

6. JAK NIGDY NIE BYŁO

7. STRAŻNICY CZASU

8. MOJE POTRÓJNE JA

9. NIEUCHWYTNA DZIEWCZYNA

10. CZŁOWIEK, KTÓRY PRZYSZEDŁ ZA WCZEŚNIE

11. ECCE HOMO

12. WYTWORY CZASU

13. ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ

14. NIESZCZĘSNY MAŁY WOJOWNIKU!

15. WSPÓLNE INTERESY

16. PAMIĘTNA NOC

17. KIEDY WYBRALIŚMY SIĘ OBEJRZEĆ KONIEC ŚWIATA

18. TWONK

19. ŻEBY NIE ZAPADŁA CIEMNOŚĆ

20. KRAINA NOCY

EPILOG. ŚWIAT CZASU

PROLOG. KONIEC WIECZNOŚCI

*Marokańczykom:
Maurice'owi,
Rogerowi
oraz, pewnego dnia, Stefanowi*

Od autora

Temat podróży w czasie ma w literaturze science fiction długą historię. Był wykorzystywany tak szeroko, że nie sprawiło mi kłopotu napisanie książki z tytułami rozdziałów, zapożyczonymi prawie wyłącznie z długiej listy utworów, które – na różne sposoby – są przodkami mojej powieści.

Chciałbym uznać swój dług wobec tych pisarzy, wymieniając tu ich nazwiska. Czytelnik zainteresowany możliwościami, jakie otwiera podróżowanie w czasie, powinien zapoznać się z tymi utworami:

Ray Bradbury, *A Sound of Thunder* [tytuł polski *Głos gromu*]

Robert Heinlein, *All You Zombies* [*Wszyscy wy zmartwychwstali*]

Garry Kilworth, *Let's Go to Golgotha* [*Pojedziemy na Golgotę*]

Herbert George Wells, *The Time Machine* [*Wehikuł czasu*]

P. Schuyler Miller, *As Never Was*

Poul Anderson, *Guardians of Time* [*Strażnicy czasu*]

William Tenn, *Me, Myself, and I* [*Moje potrójne ja*]

Ray Cummings, *The Shadow Girl*

Poul Anderson, *The Man Who Came Early* [*Człowiek, który przyszedł za wcześnie*]

Michael Moorcock, *Behold the Man* [*...I ujrzeli człowieka*]

John Brunner, *The Productions of Time*

Brian W. Aldiss, *Poor Little Warrior!* [*Nieszczęsny mały wojownik!*]

Mack Reynolds, *Compounded Interest*

Robert Silverberg, *When We Went to See the End of the World*

Henry Kuttner, *The Twonky* [*Twonk*]

L. Sprague de Camp, *Lest Darkness Fall* [*Jankes w Rzymie*]

William Hope Hodgson, *The Night Land*

Arthur C. Clarke, *All the Time in the World* [*Cały czas świata*]

Isaac Asimov, *The End of Eternity* [*Koniec wieczności*]

Rozdział zatytułowany „Słynne ostatnie słowa” stanowi odwołanie do opowiadania *Famous First Words* [*Słynne pierwsze słowa*] Harry’ego Harrisona. W tym przypadku pierwsze stały się ostatnimi.

A Night to Remember [*Pamiętna noc*] to film Roya Bakera z roku 1958 o zatonięciu *Titanica*.

Tytuł *Milenium* nosi również znakomita powieść Bena Bovy’ego, opublikowana w roku 1976, która nie ma nic wspólnego z podróżami w czasie.

John Varley

Od tłumacza

Większość utworów wymienionych przez Johna Varleya została w Polsce przetłumaczona, ale... niektóre ukazały się kilkadziesiąt lat temu w czasopiśmie i nie funkcjonują w świadomości polskiego fandomu, w innych przypadkach polski tytuł nie pasowałby do treści rozdziału (przekład jest wyborem jednej z możliwości). Dlatego tłumacz pozwolił sobie na tytułowanie rozdziałów zgodnie ze swoim najlepszym rozeznaniami. *Behold the Man* to, oczywiście, *Ecce homo*, słowa Piłata okazującego tłumowi Chrystusa, obok *Quo vadis?* najbardziej znane spadkobiercom kultury chrześcijańskiej w brzmieniu łacińskim. Dlatego nie zatytułowałem tego rozdziału „I ujrzeli człowieka” ani „Spójrzcie na tego faceta”, czy „To jest ten gość, o którym wam mówiłem”, choć bez kontekstu kulturowego byłoby to formalnie możliwe.

Przed laty tłumaczyłem dla miesięcznika „Problemy” opowiadanie *Porwanie*, zawierające pomysł późniejszej powieści. Pisarze science fiction często wykorzystują udane opowiadania jako rozdziały powieści, po pierwsze dlatego, że dobre pomysły są na wagę złota, a po drugie, bo przyjemnie jest sprzedać tę samą rzecz powtórnie. Ku żalowi tłumacza Varley nie uległ tej pokusie i scenę porwania przerobił gruntownie, osadzając ją w szerszym kontekście powieści.

Lech Jęczmyk

PROLOG

Relacja Louise Baltimore

UC-10 nie miał najmniejszej szansy. Był to dobry samolot, mimo że w tym czasie otaczała go jeszcze aura kontrowersji po wypadkach w Paryżu i Chicago. Jednak kiedy płatowiec traci taki kawał skrzydła, nie jest już maszyną do latania, tylko aluminiową skałą.

Tak właśnie spadła dziesiątka: obracając się wokół własnej osi, prosto w dół.

Boeing 747, jak mówiłam niedawno Wilburowi Wrightowi, to obok Albatrosa D-3 i Fokkera Aerospatale HST jedna z najbardziej niezawodnych konstrukcji, jakie kiedykolwiek zaprojektowano. I rzeczywiście, ten wyszedł ze zderzenia w lepszym stanie niż DC-10, choć był raniony śmiertelnie. Ten wspinały stary wieloryb zdołał wyrównać i utrzymać wysokość.

Kto wie, co mógłby jeszcze zrobić, gdyby nie wyrosła mu na drodze góra? Nawet wtedy zachował zadziwiającą odporność, odwracając się do góry brzuchem – manewr, jakiego nikt w zakładach Boeinga nie przewidział w parametrach konstrukcyjnych. Dowodem na to mógł być stan pasażerów: przeszło trzystu zachowało wszystkie kończyny. Gdyby nie pożar, mogłyby zachować się i twarze. Bez wątpienia w ostatnich sekundach było to niezwykle widowisko. Czy naprawdę wolelibyście umrzeć w łóżku? Może. Pewnie każdy sposób umierania jest równie dobry.

1.

GŁOS GROMU

Relacja Billa Smitha

Telefon zadzwonił tuż przed pierwszą w nocy dziesiątego grudnia.

Mógłbym na tym poprzestać, powiedzieć, że telefon zadzwonił i tyle, ale to nie przekazałoby skali wydarzenia.

Wydałem kiedyś siedemset dolarów na budzik. Kiedy go kupowałem, nie był jeszcze budzikiem, a kiedy go skończyłem składać, był czymś znacznie więcej. Sercem urządzenia była syrena alarmowa z drugiej wojny światowej. Uzupełniłem coś tu i ówdzie i skończywszy robotę mogłem współzawodniczyć z trzęsieniem ziemi w San Francisco, jeżeli chodzi o wyciągnięcie ludzi z łóżek. Później podłączyłem do tej piekielnej maszyny swój drugi telefon.

Założyłem sobie drugi telefon, kiedy stwierdziłem, że podskakuję, ilekroć zadzwoni pierwszy. Numer nowego telefonu znało tylko sześć osób z biura, co skutecznie rozwiązywało problem. Przestałem dostawać drgawek na dźwięk dzwonka i nigdy już nie obudził mnie ktoś, kto przyszedł powiedzieć, że ogłoszono alarm, a ja nie podnosiłem słuchawki i do wypadku pojechał za mnie kto inny.

Zwykle śpię jak zabity. Zawsze tak było, matka musiała mnie zrzucić z łóżka, żebym poszedł do szkoły. Nawet w marynarce, kiedy wszyscy wokół mnie nie mogli zasnąć myśląc o tym, co będzie się działo rano na pokładzie startowym, ja chrapałem w najlepsze i musiał mnie budzić dyżurny.

Trochę też popijam.

Wicie, jak to jest. Z początku tylko na przyjęciach. Potem dwa głębsze do poduszki.

Po rozwodzie zacząłem pić sam, bo po raz pierwszy w życiu miałem kłopoty z zaśnięciem.

Zdaję sobie sprawę, że to jeden z sygnałów, ale do alkoholizmu stąd jeszcze daleka droga.

Faktem jest jednak, że zacząłem spóźniać się do pracy. Musiałem coś z tym zrobić, zanim zrobią to moi przełożeni. Tom Stanley polecał mi poradnię, ale ja uważam, że mój budzik jest równie dobry. Każdy problem można rozwiązać, jak się mu dobrze przyjrzeć i potem zrobić to, co trzeba.

Kiedy, na przykład, stwierdziłem, że trzy dni z rzędu wyłączałem mój nowy budzik i na powrót zasypiałem, przeniósłem wyłącznik do kuchni i połączyłem go

z ekspresem do kawy. Gdy człowiek już wstanie i poczuje kawę, jest za późno, żeby wracać do łóżka.

W biurze wszyscy z tego żartowaliśmy. Koledzy uważali, że to sprytne. Dobrze, może szczury pokonujące labirynt też są sprytne. A może wy jesteście idealnie przystosowani, żadne kółko wam nie skrzypi i żadna sprężyna nie jest obluźwana – skoro tak, nie chcę nic o tym słyszeć. Powiedzcie to swojemu analitykowi.

I tak, mój telefon zadzwonił.

Usiadłem. Była noc. Wiedziałem już, że nie jest to początek normalnego dnia w biurze. Potem złapałem słuchawkę, zanim dzwonek zdołał złuszczyć drugą warstwę farby ze ścian.

Zdaje się, że potrwało chwilę, zanim doniosłem słuchawkę do ucha. Wypiłem kilka drinków przed paroma zaledwie godzinami, zresztą nigdy nie jestem w najlepszej formie, kiedy mnie budzą, nawet w sprawie wypadku. Usłyszałem oddech, a potem niepewny głos.

– Pan Smith? – Była to nocna telefonistka z Komisji, osoba mi nie znana.

– We własnej osobie.

– Łączę z panem Petcherem.

Teraz nawet oddech ucichł i nie zdążyłem zaprotestować, a już znalazłem się w tej dwudziestowiecznej wersji czyścica, oczekiwaniu na połączenie.

Właściwie nie miałem nic przeciwko temu, dawało mi to czas na obudzenie.

Ziewnąłem, przeciągnąłem się i rzuciłem okiem na spis przybity do ściany nad nocnym stolikiem. Miałem go tam: C. Gordon Petcher, tuż pod przewodniczącym i słowami „członkowie zespołu terenowego – zawiadomić w razie katastrofy”. Lista jest zmieniana w każdy czwartek na koniec dnia roboczego. Jedyne nazwisko przewodniczącego, Rogera Ryana, widnieje na każdej. Cokolwiek się zdarzy, o każdej porze dnia i nocy, Ryan dowiaduje się o tym pierwszy.

Moje nazwisko było nieco niżej na liście, w rubryce zatytułowanej „Odpowiedzialny za sprawy lotnictwa”, z numerem pagera i drugiego telefonu domowego.

C. Gordon Petcher, jako że najnowszy z pięciu członków Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu, był z natury rzeczy nieco podejrzany. Ci z nas, którzy są zatrudnieni z racji swoich umiejętności zawodowych, zawsze odnoszą się z pewną rezerwą do nowych członków Komisji, mianowanych na pięcioletnią kadencję. Każdy musi przejść okres próbny, po którym decydujemy, czy można mu wierzyć, czy też trzeba go przetrzymać.

– Przepraszam, że musiałeś czekać, Bill.

– Nie ma sprawy, Gordy. – Chciał, żebyśmy mówili do niego Gordy.

– Właśnie rozmawiałem z Rogerem. Mamy coś naprawę dużego w Kalifornii. Ponieważ jest tak późno i wypadek jest tak poważny, postanowiliśmy nie czekać na dostępny transport. JetStar czeka na zespół terenowy. Mam nadzieję, że będzie

mógł wystartować najdalej za godzinę. Jeżeli...

– Jak duże to jest, Gordy? Chicago? Everglades? San Diego?

– To może być większe niż Wyspy Kanaryjskie – powiedział, jakby się tłumaczył.

To się zdarza. Przekazując naprawdę złą wiadomość, człowiek czuje się za nią trochę odpowiedzialny.

Ogarnęła mnie niechęć do tego nowego faceta mówiącego do mnie firmowym żargonem, lecz jednocześnie próbowałem wyobrazić sobie katastrofę większą niż na Teneryfie.

Nie wtajemniczeni mogą myśleć, że mówimy o miejscowościach, kiedy wymieniamy Chicago, Paryż, Everglades i tak dalej. Nic podobnego. Chicago to DC-10, któremu urwał się silnik przy starcie; zginęli wszyscy na pokładzie. Everglades to L-1011, katastrofa, w której pasażerowie ocaleli, a samolot lądował na brzuchu wśród bagien, podczas gdy załoga szamotała się z przednim podwoziem. San Diego to wielki, uśmiechnięty PSA 727, który zderzył się z Cessna nad rezerwatem Indian, gdzie na niskich wysokościach roily się małe maszyny typu Navajo, Cherokee i Piper Cuby. A Wyspy Kanaryjskie...

W roku 1978 na Teneryfie zdarzyło się coś nie do pomyślenia. W pełni zatankowany Boeing 747 z pasażerami ruszył do startu, podczas gdy inny 747 znajdował się jeszcze przed nim na pasie startowym, niewidoczny w gęstej mgle. Samoloty zderzyły się i spłonęły na ziemi, jak jakieś niezdarne miejskie autobusy w godzinie szczytu, a nie zgrabne, piękne, nowoczesne maszyny latające.

Jest to, a w każdym razie był, póki nie odebrałem tego telefonu, najgorszy wypadek w historii lotnictwa.

– Gdzie w Kalifornii, Gordy?

– Oakland. W górach na wschód od Oakland.

– Kto uczestniczył?

– Pan Am 747 i United DC-10.

– W powietrzu?

– Tak. Oba samoloty z kompletem pasażerów. Nie ma jeszcze dokładnych liczb...

– Nieważne. Myślę, że wiem wszystko, co mi jest na razie potrzebne. Spotkamy się na lotnisku za jakieś...

– Ja polecę porannym lotem z Dullesa. Pan Ryan chciał, żebym został tu jeszcze parę godzin i nadzorował kwestie informacji.

– Jasne. Nie ma sprawy. Do zobaczenia koło południa.

Wyszedłem z domu nie później niż w dwadzieścia minut po odłożeniu

słuchawki. W tym czasie ogoliłem się, ubrałem, spakowałem, wypilem kawę i zjadłem jajecznicę z kiełbasą.

Czerpałem pewną dumę z faktu, że nigdy nie zbierałem się szybciej, nawet przed rozwodem.

Cały sekret polega na przygotowaniu, ustaleniu rutyny i żelaznym jej przestrzeganiu.

Należy zaplanować swoje działania, co się da zrobić zawczasu i kiedy przychodzi wezwanie, jesteś gotowy.

Wziąłem więc natrysk w łazience na dole, a nie przy sypialni, bo droga prowadziła przez kuchnię, gdzie mogłem włączyć zaprogramowaną kuchenkę mikrofalową i wcisnąć przycisk ekspresu do kawy – oba urządzenia zawsze napełniam wieczorem, czy jestem trzeźwy, czy pijany. Po natrysku elektryczna golarka do ręki i jem goląc się, potem zabieram golarke na górę i wrzucam ją do walizki, która jest już pełna bielizny, koszul, spodni i przyborów toaletowych. Dopiero w tym miejscu musiałem podjąć pierwszą tego dnia decyzję, uzależnioną od tego, dokąd się udaję. Wysyłano mnie już w pośpiechu na pustynię Mojave i pod górę Erebus na Antarktydzie. Jasne, że należy zabrać stosowne ubrania. Wielka żółta peleryna była już spakowana; zawsze należy być przygotowanym na deszcz w miejscu katastrofy. Wzgórza koło Oakland w grudniu nie stanowiły wielkiego wyzwania.

Zamknąć walizkę, zabrać z biurka stos papierów i wrzucić je do mniejszej walizeczki z rzeczami, które mam zawsze gotowe na wyjazd w teren: kamera, dużo kaset, notes, szkło powiększające, latarka i zapasowe baterie, magnetofon z kasetami, kalkulator, kompas. Potem znów na dół, druga filiżanka kawy i zanieść bagaże do garażu – otwartego od wieczora – po drodze wcisnąć łokciem guzik od drzwi garażu, nogą zatrzasknąć drzwi od mieszkania, wrzucić walizkę i neseser do otwartego bagażnika, wskoczyć do samochodu, cofnąć się, nacisnąć guzik zdalnego zamykania drzwi od garażu, sprawdzić, czy się zamknęły do końca.

Poza wyborem kilku sztuk odzieży wszystko to było całkowicie zautomatyzowane.

Byłem zwolniony od myślenia, póki nie znalazłem się na Connecticut Avenue. Dom miałem dobrze zabezpieczony, bo tak to zaplanowałem. Bogu dzięki, nie miałem psa. Poza tym Sam Horowitz mieszkający obok będzie miał oko na mój dom, kiedy jutro przeczyta w gazecie o katastrofie.

W sumie uważam, że całkiem nieźle przystosowałem się do kawalerskiego trybu życia.

Mieszkam w Kensington w stanie Maryland. Dom jest dla mnie o wiele za duży od czasu rozwodu i dużo wydaję na ogrzewanie, ale jakoś nie mogę się z nim rozstać. Mógłbym przeprowadzić się do miasta, lecz nie cierpię mieszkać w blokach.

Pojechałem Beltway do National. O tej nocnej porze Connecticut Avenue jest prawie pusta, ale światła zwalniają jazdę. Można by pomyśleć, że prowadzący śledztwo urzędnik Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu w drodze na miejsce największej katastrofy w dziejach lotnictwa powinien mieć prawo przyczepić na dachu koguta i gnać przez skrzyżowania. Z żalem trzeba stwierdzić, że policja drogowa nie podziela tego zdania.

Większość zespołu mieszkała w Wirginii i musiała dotrzeć na miejsce zbiórki przede mną, niezależnie od tego, jaką trasą pojedę. Ale beze mnie samolot nie odleci.

Nie cierpię lotniska National. Stanowi ono zaprzeczenie wszystkiego, o co walczy nasza Komisja. Kilka lat temu, kiedy samolot Air Florida rozbił się o most na ulicy Czternastej, niektórzy z nas mieli cichą nadzieję, że może wreszcie uda się nam je zamknąć.

Nie udało się, ale nadal mam nadzieję.

Rzecz w tym, że National jest diabło wygodne. Dla większości mieszkańców Waszyngtonu lotnisko Dulles International równie dobrze mogłoby się znajdować w Dakocie.

Co zaś do Baltimore...

Nawet Komisja trzyma swoje samoloty na National. Mamy ich kilka, a największy to JetStar Lockheeda, który może nas dostarczyć wszędzie na terenie kontynentalnych Stanów Zjednoczonych bez tankowania. Zazwyczaj korzystamy z samolotów rejsowych, ale to nie zawsze się sprawdza. Tym razem była za wczesna pora, żeby znaleźć odpowiednią liczbę miejsc w kierunku na zachód. Istniała również możliwość, jeżeli to rzeczywiście było takie duże, jak mówił Gordy, że po wschodzie słońca wyruszy za nami drugi zespół. Może będziemy musieli potraktować to jako dwie katastrofy.

Kiedy wszedłem na pokład JetStara, byli tam już wszyscy oprócz George'a Shepparda. Tom Stanley kontaktował się z Gordym Petcherem. Podczas gdy układałem swoje bagaże, Tom informował mnie o szczegółach, których Petcher albo nie znał, albo nie chciały mu przejść przez gardło, kiedy do mnie telefonował.

Nikt nie ocalał. Nie mieliśmy jeszcze dokładnych danych od żadnej z linii, ale było jasne, że zginęło przeszło sześćset osób.

Zdarzyło się to na wysokości pięciu tysięcy stóp. DC-10 spadł prawie prosto w dół.

747 leciał jeszcze kawałek, ale końcowy rezultat był taki sam. Dziesiątka spadła niedaleko autostrady; miejscowa policja i straż pożarna były już na miejscu. Boeing Pan Amu spadł gdzieś w górach. Ekipy ratunkowe dotarły na miejsce, ale jedyną wiadomością od nich było, że nikt nie ocalał.

Roger Keane, szef oddziału terenowego Komisji w Los Angeles, znajdował się w drodze do Strefy Zatokowej i wkrótce powinien wylądować. Skontaktował się z

szeryfami z Contra Costa i Alameda, informując ich o zasadach działania na miejscu wypadku.

– Kto kieruje ekipą z Los Angeles? – spytałem.

– Jakiś Kevin Briley – odpowiedział Tom. – Nie znam go, a ty?

– Zdaje się, że raz wymieniliśmy uścisk dłoni. Czuję się pewniej, kiedy Rog Keane jest na miejscu.

– Briley powiedział, że kazano mu złapać najbliższy lot do Oakland i spotkać się tu z nami. Będzie jeszcze przez chwilę w Los Angeles, jeżeli chcesz z nim rozmawiać.

Spojrzałem na zegarek.

– Za chwilę. Gdzie jest George?

– Nie wiem. Wezwanie do niego dotarło. Dzwoniliśmy pięć minut temu i nikt nie odpowiada. George Sheppard jest specem od pogody. Mogliśmy startować bez niego, jako że jego obecność na miejscu katastrofy nie jest absolutnie konieczna.

A ja byłem gotów. Więcej: rwałem się jak koń wyścigowy w boksie startowym.

Czułem, jak nastrój podniecenia narasta wokół mnie i w całym kraju. We wnętrzu JetStara było ciemno i spokojnie, ale od Waszyngtonu do Los Angeles i do Seattle, a wkrótce i w reszcie świata, gromadziły się moce, które wkrótce miały dać pokaz elektronicznego cyrku, jakiego Ziemia nie widziała. Naród jeszcze spał, ale druty telefoniczne, kable współosiowe i satelity synchroniczne rozsyłały wici. Tysiąc niedospanych reporterów wyrывało sobie bilety do Oakland. Wkrótce będzie w to wciągnięta setka agencji rządowych. Inne państwa też przyślą przedstawicieli. Każda firma, od Boeinga i McDonnell–Douglasa do producenta najmniejszego nitu w kadłubie, będzie w stanie napięcia zastanawiała się, czy to nie ich zakład wypuścił wadliwą część albo wydał fatalną instrukcję, i wszyscy będą chcieli być na miejscu, żeby na własne uszy usłyszeć ewentualną złą wiadomość. Zanim w Kalifornii wszędzie słońce, miliard ludzi będzie domagać się odpowiedzi. Jak to się stało? Kto zawinił?

Jakie wyciągnąć wnioski?

A ja byłem tym, który ma udzielić tych odpowiedzi. Każdy nerw mojego ciała drżał, żeby wzbić się w powietrze, lecieć tam i zacząć szukać.

Właśnie miałem dać polecenie startu, kiedy odebrano telefon od George'a, zwalnijący mnie od decyzji, która na pewno by mu się nie podobała. Miał kłopoty z samochodem. Wezwał taksówkę, ale sugerował, byśmy ruszali bez niego, a on nas dogoni.

Westchnąłem z ulgą i powiedziałem pilotowi, żeby nas stąd zabierał.

Jak to jest w drodze na miejsce wielkiej katastrofy lotniczej? Na ogół dość spokojnie.

W czasie pierwszej godziny wykonałem kilka telefonów do Los Angeles, rozmawiałem krótko z Kevinem Brileyem. Dowiedziałem się, że Roger Keane

wsiadł do śmigłowca i jest już zapewne na miejscu upadku DC-10. Briley właśnie wychodził na swój samolot do Oakland, gdzie miał się ze mną spotkać na lotnisku. Powiedziałem mu, żeby podjął środki bezpieczeństwa.

Inni telefonowali do Seattle, Oakland, Schenectady, Denver, Los Angeles. Każdy członek zespołu zwoływał swój własny zespół, który miał się zająć jednym aspektem katastrofy, i każdy chciał ściągnąć najlepszych specjalistów. Zwykle nie ma z tym problemów. Wiadomości rozchodzą się szybko przy tak poważnym wypadku i prawie wszyscy, do których dzwoniliśmy, już wiedzieli; niektórzy byli już w drodze, ludzie znani nam i wypróbowani.

Wszystko to nie zajęło zbyt wiele czasu. Po pierwszej godzinie byliśmy w powietrzu, w pięciogodzinnym locie do Oakland. Cóż więc robiliśmy?

Czy wyobrażacie sobie, ile papierkowej roboty wiąże się ze śledztwem w sprawie wypadku? Każde z nas miało z pół tuzina raportów na głowie. Były raporty do przeczytania, raporty do napisania i nie kończący się strumień notatek do przejrzania. Ja też miałem pękata teczkę papierów do przerobienia. Pracowałem nad nimi przeszło godzinę.

Wreszcie stwierdziłem, że nie rozumiem, co czytam. Ziewnąłem, przeciągnąłem się i rozejrzałem wokół. Połowa zespołu była pogrążona we śnie. Uznałem, że to świetny pomysł.

Była czwarta trzydzieści nad ranem czasu wschodniego, na Wybrzeżu Zachodnim trzy godziny wcześniej i nikt z nas nie mógł liczyć na zmruzenie oka przez najbliższą dobę.

Po drugiej stronie przejścia siedział Jerry Bannister, specjalista od konstrukcji. Jerry jest z nas najstarszy: duży mężczyzna z wielką głową i grzywą siwych włosów, inżynier lotniczy, który zaczynał od pracy przy taśmie u Douglasa. Został odrzucony przez komisję wojskową, bo jest głuchy na jedno ucho i nosi aparat w drugim. Był to największy błąd, jaki wojsko kiedykolwiek popełniło. Bannistera wystawiłbym przeciwko plutonowi Niemców nawet teraz, w wieku lat sześćdziesięciu. Ma mocno rzeźbioną twarz i parę wielkich dłoni, które pasowałyby do kowala. Trudno go sobie wyobrazić przy desce kreślarskiej albo testującego model w tunelu aerodynamicznym, ale to jest właśnie jego specjalność. Po wojnie skończył studia. Pracował między innymi nad DC-6 i DC-7. Spał obok mnie twardo, z odrzuconą głową, z otwartymi ustami. Facet ma nerwy ze stali, nic go nie rusza. Zbiera znaczki. Ma bzika na punkcie filatelistyki, jak zacznie mówić na ten temat, nie można go uciszyć.

Za nim, z łysą głową połyskującą w stożku światła z górnej lampki, siedział Craig Haubner, mój specjalista od systemów. Ten spędzi resztę lotu wypełniając notatnik strona za stroną, wybiegnie z samolotu na miejsce katastrofy, spędzi cały dzień i część nocy przetrząsając szczątki samolotu, żeby wrócić do tymczasowego sztabu schludny, w pełni przytomny i pełen energii. Nie sposób było lubić

Haubnera – nie umiał postępować z ludźmi i czasem nawet wydawał się nieludzki – ale wszyscy go szanowaliśmy. Jego umiejętność powiedzenia, co się stało, na podstawie kawałka spalonego drutu lub pociętej rurki, graniczy z magią.

Dalej siedział Eli Seibel, też na chodzie. Grzebał w tekturkach z opakowań, papierowych serwetkach, rozerwanych kopertach i pogniecionych kartkach, które ma fantazję nazywać swoimi notatkami. Nigdy nie robię mu żadnych uwag na ten temat, choć zgrzytam zębami patrząc, jak on pracuje. Udaje mu się z tego chaosu uzyskać dobre wyniki. Ten grubas, uczulony prawie na wszystko, jako jedyny z nas nie posiada licencji pilota, ale jest wesoły, lubiany przez sekretarki i kompetentny w swojej specjalności, czyli w silnikach.

Za mną siedział Tom Stanley z nogami wyciągniętymi w przejściu, podczas gdy reszta jego ciała na próżno usiłowała jakoś ułożyć się na fotelu. Ma dwadzieścia siedem lat i jest najmłodszym członkiem zespołu. Nigdy nie służył w wojsku – podejrzewam, że uciekłby przed poborem, gdyby nie był za młody na Wietnam – i jedynym jego związkiem z lotnictwem przed przyjściem do Komisji była praca w kontroli ruchu lotniczego. Rodzina Toma miała kupę pieniędzy. Zaczął, bagatela, od Harvardu, po czym przeniósł się do MIT-u, a jego ojczulek zapłacił za wszystko co do centa. Mieszka w domu, który jest pięć razy więcej wart od mojego. W sumie trudno sobie wyobrazić biografię bardziej wyliczoną na to, żeby prowokować wrogość ze strony takich profesjonalistów jak Jerry, Craig... czyja. I tak, mniej więcej, traktują go Haubner i Bannister. Eli Seibel go toleruje, a Levitsky toleruje z grubsza wszystkich.

Ja jednak mam z Tomem bardzo dobre układy. Gdyby w Komisji istniało (a nie istnieje) coś takiego jak zastępca prowadzącego śledztwo, wybrałbym na to stanowisko Toma Stanleya. A że jest tak, jak jest, to często się z nim naradzam.

Tajemnica kryje się prawdopodobnie w jego miłości do latania. Robi to od ósmego roku życia, a ja sam tak bardzo kocham latanie, że nie przeszkadzają mi pieniądze, które jemu to umożliwiły. Jestem właścicielem cudownego starego dwupłatowca Stearmana, który pożera zbyt dużą część mojej pensji i którego pewnie nigdy nie spłacę. Tom ma nowiutkiego Spitfire'a i pozwala mi nim latać. Co można powiedzieć o kimś takim?

Tom przewodniczy w śledztwie dwu podzespołom: do spraw kontroli ruchu lotniczego i operacyjnemu. Inna osoba, która siedzi na dwóch stołkach, spała w tyle samolotu.

Carole Levitsky odpowiada za czynnik ludzki i świadków. Zaczęła pracować w Komisji dopiero przed sześcioma miesiącami. To była jej druga poważna katastrofa. Początkowo psycholog z doświadczeniem w medycynie sądowej i obciążeniami związanymi z pracą w przemyśle, zdołała sobie w różnym stopniu zaskarbić sympatię nas, ludzi myślących po inżyniersku. Pewnie zna nas znacznie lepiej niż my sami; ma taki sposób słuchania, że po chwili człowiek się zastanawia: „Co ja tak

naprawdę chciałem przez to powiedzieć?”. Trochę nas niepokoi podejrzenie, że Carole poświęca tyle samo czasu ocenianiu skutków stresu na nas, co na pilotów i kontrolerów ruchu lotniczego uczestniczących w badanych przez nas wypadkach. Jak już wspomniałem, wolałbym, żeby pewne wiadomości o mnie nie wpadły w ręce psychologów, a pozostali z nas też stanowili żyzny grunt dla objawów stresu związanego z pracą. Carole jest drobnej budowy, ma krótkie ciemne włosy i nie zwracającą uwagi twarz.

Pracuje dobrze w prawie wyłącznie męskich grupach, jakie prowadzą śledztwa.

Nie było z nami trzech członków zespołu. George Sheppard miał zająć się warunkami pogodowymi jako czynnikiem mogącym mieć wpływ na katastrofę. Był też Ed Parrish, którego z reguły nie wzywano na miejsce wypadku, gdyż należała do niego obsługa techniczna i dokumentacja. Miał lecieć do Seattle i Los Angeles, gdzie samoloty budowano, oraz do zakładów obsługi technicznej Pan Amu i United, gdzie będzie ślęczał nad górami papierów, jakie się wypełnia, ilekroć robi się coś przy odrzutowcu pasażerskim. Na liście zespołu nie figurował Victor Thomkins, który w waszyngtońskim laboratorium odpowiada za analizę zapisów magnetofonu kabinowego i rejestratora parametrów lotu, czyli czarnej skrzynki.

Miałem dobry zespół. Brakowało jedynie C. Gordona Petchera. Powinien znajdować się z nami w samolocie. Nie dlatego że był niezbędny. Ja kierowałem akcją, niezależnie od jego obecności; odpowiadałem za terenową fazę śledztwa. Jednak lepiej wygląda, kiedy na miejscu jest ktoś z członków Komisji, kto bierze na siebie dziennikarzy. Zastanawiałem się, czemu postanowił czekać do rana z przylotem na wybrzeże?

Nie zastanawiałem się jednak długo. Zasnąłem, kiedy tylko odchyliłem się na oparcie fotela.

Wyszedłem zaspany z samolotu prosto w blask telewizyjnych reflektorów. Stali u podnóża schodów, ekipy hen z Portlandu i Santa Barbara. Tłum inteligentnych mężczyzn i kobiet wyciągał w naszą stronę mikrofony i zadawał głupie pytania.

To rytuał, taniec śmierci naszych czasów. Wiadomości telewizyjne są niczym bez obrazów i nie ma znaczenia, co te obrazy przedstawiają, byle mogły stanowić tło do tekstu.

Katastrofa lotnicza stwarza reporterom specjalne problemy. Do następnego wydania dziennika uzyskają tylko niewyraźne nocne zdjęcia z miejsca wypadku: jakieś poskręcane szczątki maszyny z rozpoznawalnym skrzydłem albo ogonem, jeżeli szczęście dopisze, jakieś lotnicze zdjęcia zoranej ziemi, które nie kojarzą się z niczym, oraz zdjęcia ludzi, którzy przylecieli z Waszyngtonu, żeby z tym zrobić porządek. Wiadomo, redaktor wydania wybierze z tego zdjęcia z ludźmi, i stąd my na ekranie telewizora – przesiadamy się z samolotu do śmigłowca, z przylepionymi uśmiechami, milczący, a kamery przed nami, kamery za nami...

Wsiadłem do śmigłowca nie zwróciwszy nawet uwagi, kto go przysłał. W

środku siedział jakiś mężczyzna, który wyciągnął do mnie rękę. Spojrzałem na nią, a potem uścisnąłem bez entuzjazmu.

– Pan Smith? Jestem Kevin Briley. Roger Keane powiedział, że mam pana zabrać na miejsce pod Mount Diablo, jak tylko pan się zjawi.

– W porządku, Briley – powiedziałem przekrzykując hałas silnika. – Po pierwsze, teraz ja jestem pańskim szefem, nie Keane. Po drugie, mówiłem, że chcę tu mieć obstawę, żeby trzymała dziennikarzy z dala od nas, póki nie będziemy mieli czegoś do powiedzenia.

Spieprzyliście to. Dlatego trzy, zostaje pan tutaj. Chcę, żeby pan porozmawiał z kimś, kto rządzi tym lotniskiem, potem znalazł Sarę Hacker z United i zadzwonił do kogoś z Pan Amu w Nowym Jorku. Niech im pan powie, co jest panu potrzebne, to znaczy jakiś pokój do zebrań, jakiś kawałek hangaru, gdzie będzie można składać to, co zostało z tych dwóch samolotów, i miejsce, gdzie będzie można spędzić sępy z mediów, żeby mi się nie plątały pod nogami. Potem niech pan załatwi jakieś pokoje w hotelu, wynajmie kilka samochodów... do diabła, Briley, niech pan pogada z Sarą Hacker. Ona będzie wiedziała, co trzeba zrobić; Ona już przez to przechodziła.

– A ja nie, panie Smith. – Briley usiłował wyglądać jak ktoś wojowniczy i obrażony zarazem. – Co mam powiedzieć dziennikarzom? Chcą wiedzieć, kiedy mają się spodziewać konferencji prasowej.

– Niech im pan powie, że dzisiaj w południe. Bardzo w to wątpię, ale niech im pan tak powie. I wie pan co? Będzie pan musiał przyjąć na siebie ogień, kiedy konferencja zostanie przełożona. – Wyszczrzyłem do niego zęby, a on zdobył się na wymowny uśmiech i wzruszenie ramion. Może mnie znienawidzi, a może na złość mnie zrobi wszystko jak należy.

Nie miałem nic przeciwko temu. Wyskoczył i zasunęliśmy drzwi śmigłowca. Pilot prawie natychmiast wystartował. Rozejrzałem się. To był stary poczciwy Huey, własność Armii Stanów Zjednoczonych. Wspaniałe maszyny, tylko w nich wieje. Pilot miał naszywki sierżanta.

– Jak daleko od siebie są te dwa samoloty? – spytałem.

– Około dwudziestu mil.

– Czy wie pan, przy którym jest Roger Keane? To jest facet z...

– Znam. Właśnie dostarczyłem go pod Mount Diablo. Powiedział, że mam tam pana przywieźć.

– Doskonale. Jak tam jest?

– Błoto. Przestało padać pół godziny temu. Ciężarówki mają problemy z dojechaniem.

Nie ma tam nic prócz śladów ognia.

Kiedy stwierdziłem, że szczątki DC-10 leżą niezbyt daleko od trasy do miejsca katastrofy 747, poleciłem sierżantowi, żeby nieco zboczył. Chciałem sobie to

obejrzeć.

DC-10 uderzył w ziemię około pół mili na północ od autostrady numer 580, niedaleko Livermore. Na otwartym terenie błyskały setki niebieskich i czerwonych ogników.

Gdzienigdzie widać było jeszcze płomienie, ale paliwo już się spaliło, ziemia była mokra, więc pożar nie groził. Wszystkie punkty świetlne koncentrowały się na jednym ciemnym kręgu.

W zasadzie wiedziałem, czego się mogę spodziewać, a jednak nadal się dziwiłem, nadal zadawałem sobie głupie pytania. Przyleciałem tutaj, żeby obejrzeć katastrofę samolotu.

No dobrze, a gdzie jest samolot?

Pilot zszedł niżej, nerwowo obserwując liczne światła innych pojazdów latających – krążących, startujących albo lądujących w okolicy. Rozbitego samolotu nadal nie było. Na dole paliły się reflektory. Ukazywały tylko zrytą ziemię i nic nie mówiące confetti małych, bezkształtnych przedmiotów, największe wielkości drzwiczek samochodu.

Ciarki mnie przechodziły, kiedy na to patrzyłem. Częściowo dlatego że widok był nietypowy. Zazwyczaj widzi się długi, usiany szczątkami ślad, wzdłuż którego leżą różne rozpoznawalne kawałki maszyny. Wśród nich całkiem duże, takie jak osłony silnika, spore fragmenty skrzydła, części kadłuba. Lot 35 zostawił na ziemi ślad bardzo przypominający to, co zrobiłby pocisk uderzający w grube szkło: wgłębienie i rozchodzące się od niego promieniście rysy.

Lot 35 dosłownie roztrzaskał się o ziemię.

2.

HEJ, ZDECHLAKI!

Relacja Louise Baltimore

Kazał mi opowiedzieć wszystko od początku.

Dobrze, ale gdzie mam zacząć? Kolejność zdarzeń jest w najlepszym razie dogodną fikcją. Oglądane z innego punktu widzenia, sprawy miały się całkiem inaczej. Słyszę śmiech wszechświata, kiedy usiłuję znaleźć początek. A jednak nawet my, wysoko rozwinięte mutanty z siedemnastego wymiaru, kiedy przyjdzie co do czego, jesteśmy tylko podporządkowanymi czasowi małpami, żyjącymi w wiecznym Teraz. Niezależnie od tego, ile pętli zadzierzgnę na swojej linii życia, nadal zmierzam po staremu w jednym jedynym kierunku, przeżywając subiektywnie sekundę za sekundą.

Oglądana z tej perspektywy, historia zaczyna się następująco: Zostałam wyrwana ze snu przez bezdźwięczny sygnał wibrujący w mojej czaszce.

Będzie tak wibrował, póki człowiek nie usiądzie, no to usiadłam.

Ranki stawały się teraz i lepsze, i gorsze niż kiedyś. Lepsze, bo zostało mi ich nie tak wiele i dlatego każdy z nich bardziej ceniłam. Gorsze, bo coraz trudniej było mi wstać z łóżka.

Byłoby łatwiej, gdybym się na noc podłączała, ale jak się raz zaczniesz, człowiek ani się obejrzy, jak jest podłączony do Bóg wie czego. Specjalnie ustawiłam konsolę rewitalizacyjną na drugim końcu pokoju i zmuszałam się co rano do odbycia tego długiego marszu.

Dziesięć metrów.

Tym razem ostatnie dwa metry pokonałam na czworakach. Usiadłam na podłodze i podłączyłam rurę krążeniową do pępka.

Rzecz prawie jest warta wysiłku. Czułam się tak, jakbym zwiędła w swoim własnym skórokombezonie, i nagle płyn dotarł mi do serca, i wydało mi się, że eksploduję. Czułam, jak wstępuje we mnie energia. Szlam, który służy mi za krew, był zastępowany mieszkanką fluorowęglanów i górskiej rosy. Gwarantuję, że to każdemu odbierze ochotę do snu.

– Słuchaj, jebańcu – powiedziałam.

– Czego, do cholery? – odezwał się Wielki Komputer.

Nie dla mnie służalcze serwomaniery. Kiedy z niego korzystam, chcę mieć poczucie, że rozmawiam z czymś przynajmniej równie wrednym jak ja. Wszyscy moi znajomi chcą, żeby Wielki K. podlizywał im się jak recepcjonista albo grzmiał

barytonem jak Jehowa z panoramicznego filmu. Ja nie. Wielki K idzie mi na rękę, udając, że ledwo mnie znosi.

– Dlaczego wyciągnąłeś mnie z łóżka? Jesteś mi winien trzy godziny snu.

– Pojawił się problem w związku z akcją w toku. Ponieważ jesteś szefową zespołu przechwytyjącego, ktoś na Bramie miał głupi pomysł, że możesz coś w tej sprawie poradzić.

Bez wątpienia pomylił się, sądząc...

– Zamknij się. Jak poważny problem?

– Bardzo.

– Za ile... ile mam czasu?

– W sensie filozoficznym czy praktycznym? Nie masz czasu. Powinnaś tam być pół godziny temu.

Gdyby powiedział „piętnaście minut temu”, to myślę, że mogłabym prawie zdążyć.

Wciągnęłam na siebie kopię dwudziestowiecznych džinsów. Spędziłam w łazience tyle czasu, żeby przelecieć szczotką zęby, wybrać jakieś włosy (blond tym razem) i sprawdzić, czy nie mam przekrzywionej twarzy. Powiedzmy pięć sekund na zęby i włosy, i sześć sekund przed lustrem. Była to ekstrawagancka strata czasu, ale lubię lustra. Kłamią tak usłużnie.

„Buzia piękna, lecz nienaturalna”.

Uśmiechnęłam się do siebie.

Najprawdopodobniej tego dnia nie będzie więcej okazji do uśmiechu.

I już byłam za drzwiami, przewracając po drodze wiernego Shermana, który upuścił tacę ze śniadaniem.

Pobiegłam boso korytarzem, rzuciłam się do zjeżdżalni, wskoczyłam na chodnik ruchomy i pobiegłam roztrzając co bardziej ospałych tępaków. Dotarłam do stanowiska kapsuł przerzutowych i do jednej wsiadłam. Wystukałam kod Bramy, wcisnęłam się w oparcie, wzięłam głęboki wdech i wraz z kapsułą stromym łukiem wzniosłam się nad miastem jak piłka wykopana przez bramkarza.

Szybciej nie potrafię. Rozluźniłam się i patrzyłam na przesuujące się podę mną budynki, nie poświęcając im uwagi. Dopiero wtedy przypomniałam sobie, co to za dzień.

Dziś miałam odebrać na poczcie wiadomość.

Zerknęłam na zegarek i skrzywiłam się. Musiałam czekać kilka godzin, zanim będę mogła otworzyć kapsułę czasu. Co oznaczało, że jej informacje nie będą miały wpływu na ten kryzys, cokolwiek tam się stało. Rzadko zdarzają się sytuacje na Bramie, które nie znajdują rozwiązania w ciągu dwóch, trzech godzin.

Co oznaczało, że mogę się spodziewać następnego kryzysu jeszcze przed końcem dnia.

Czasami zastanawiałam się, po co ja w ogóle wstaję.

Moja kapsuła została pochwycona przez pierścienie hamujące. Wsiadłam i pośpieszyłam do gmachu Bramy, a następnie korytarzem do sztabu. W błękitnym i zielonym świetle bijącym od pulpity sterowniczych, umieszczonych na wielkiej podkowiastej galerii, siedziały gnomy. Sztab był izolowany szklaną ścianą od hałasu i ruchu niższego piętra.

Boże, jak ja nienawidziłam tych gnomów. Za każdym razem kiedy wchodziłam do sztabu, czułam zapach ich zgnilizny. To oczywiście bzdura, czułam po prostu zapach własnego strachu. Wiedziałam, że za jakiś rok ja też zasiądę za pulpitem. Będę wbudowana w pulpity, ze wszystkimi wnętrznościami na zewnątrz, a z mojego ciała pozostanie tylko Wielkie Kłamstwo. Byłam wtedy sztuczna w dwudziestu procentach, oni dochodzili do osiemdziesięciu.

Do diabła z nimi.

Przywitały mnie ociężałymi spojrzeniami. One też nie przepadały za nami, chodzącymi.

Za pulpitem szefa sztabu nastąpiła zmiana. Siedział tam Lawrence Kalkuta–Benares.

Wczoraj siedział na miejscu zastępcy, a pięć lat wcześniej był moim szefem zespołu. Nie miało sensu pytać, co stało się z Marybeth Metz. Czas leci.

– Co się dzieje? – spytałam.

– Mieliśmy sygnał, że może się zrobić twonk – wyjaśnił swoją wątpliwą angielszczyzną.

Twonk oznaczał początkowo jakiś anachroniczny przedmiot zgubiony podczas akcji, ale ostatnio zaczęto używać tego słowa na oznaczenie paradoksalnej sytuacji, jaką taki przedmiot wokół siebie generował.

– Przepraszam, że cię obudziłem – powiedział Lawrence. – Uznaliśmy jednak, że powinniśmy cię zawiadomić.

Przykro patrzeć, jak dobry szef zespołu zamienia się w bałwana. Powinna już znać całą sytuację, a on próbował mnie wciągnąć w pieprzoną konwersację.

– Zaraz po alarmie twonkowym jedna z twoich dziewczyn zgubiła w samolocie paralizator.

– Lawrence, będziesz wyduszał z siebie tę historię przez następne trzy dni, czy powiesz wreszcie, o co chodzi, i pozwolisz mi coś zrobić? – Przestań stękać ty stary worku łajna, dodałam w myśli.

Nie musiałam mówić tego na głos. I tak zrozumiał. Widziałam, jak mu twarz tężeje.

Biedny skurwiol chciał sobie porozmawiać. Myślał, że jest wciąż moim przyjacielem. Akurat.

To był jego pierwszy dzień, kiedy miał do czynienia z ludźmi na chodzie, i powinien się zorientować, co o sobie nawzajem myślimy. Nie przyjął tej pracy, żeby się ubiegać o tytuł Miss Uprzejmości. Przeszedł na ton urzędowy, o co mi

właśnie chodziło.

– Arizona, 1955 rok. Samolot Lockheed Constellation. Ma przed sobą dwadzieścia minut czasu miejscowego, a potem straci większą część prawego skrzydła. Cały zespół jest na pokładzie. Szukają broni i jednocześnie starają się zakończyć akcję przechwycenia.

Wskazania monitorów nie rozstrzygają sprawy. Nie wiemy, czy znajdziesz paralizator. Może ci się uda.

– No to daj mi most – powiedziałam. – Wracam tam.

Nie sprzeczał się, chociaż mógłby. Wysłanie w przeszłość kogoś, kto nie zastępuje kogoś innego, stanowi naruszenie bezpieczeństwa czasowego. Podejrzewam, że nie miałby nic przeciw temu, gdybym zeszła na ziemię i kupiła sobie w Arizonie jakąś nieruchomość.

Tak czy inaczej, wydał rozkaz. Jeden z jego francowatych podwładnych zagrał na swojej klawiaturze, zaraz mostek wysunął się nad salą sekcji i mogłam na niego wbiec, dziesięć metrów nad krzykami i przekleństwami pasażerów, którzy już przeszli z roku pięćdziesiątego piątego. Musieli to być pasażerowie z pierwszej klasy. Ich krzyki nacechowane są specyficznym oburzeniem. Zapłacili drożej za bilet, a tu coś takiego. Napiszę do swojego kongresmana, Cecily, naprawdę to zrobię.

Zatrzymałam się na końcu mostka, tam gdzie stykał się z wąskim paskiem podłogi, który kończy terażniejszą stronę Bramy. Zawsze tak robię. Tysiąc razy przechodziłam przez to cholerstwo, ale nie jest to coś, do czego można się przyzwyczaić. Tam w dole ktoś domagał się rozmowy ze stewardesą. Bez żartów. Poważnie.

Biedakowi wydawało się, że ma kłopoty.

W dwudziestym wieku ludzie wyskakiwali z samolotu z jedwabnymi baldachimami zwiniętymi w plecakach. Nazywano je spadochronami, teoretycznie powinny się otwierać i hamować upadek na ziemię. Ludzie robili to dla rozrywki. Mówili na to, całkiem trafnie, powietrzne nurkowanie.

Próba zrozumienia, czemu ktoś, kto mógł żyć siedemdziesiąt lat, podejmował takie ryzyko – z ciałem, które ówczesna medycyna pozwalała wyleczyć tylko niedoskonale albo wcale – jak mimo to ludzie mogli zrobić ten pierwszy krok za drzwiami samolotu, pomagała mi w przechodzeniu przez Bramę. Nie, żebym kiedykolwiek rozumiała, po co oni skakali, wiadomo, dwudziestaki mają kurzy rozum. Ale nawet im nie sprawiało to prawdziwej radości. Oni tylko powszechny lęk przed spadaniem sublimowali do innej części mózgu: tej, która się śmieje. Śmiech jest skutecznym mechanizmem obronnym. Tak dobrze wyśmiewali swój lęk przed spadaniem, że mogli się oszukiwać. Wmawiali sobie, że wyskakiwanie z samolotu sprawia im uciechę.

Ale i tak jestem przekonana, że nawet najbardziej zahartowani mieli chwilę

wahania.

Może robili to tyle razy, że już tego nie zauważali, ale ta chwila była.

Ze mną jest tak samo. Żaden postronny obserwator nie spostrzegłby zawahania, kiedy podeszłam do końca mostka i przekroczyłam Bramę. Ale zawsze był ten moment chwytającego za gardło strachu.

Przejście przez Bramę jest za każdym razem inne. Jest natychmiastowe, ale daje wystarczająco dużo czasu, żeby zwariować. Wchodzę w strefę jednoczesności, gdzie przez chwilę zbyt krótką, żeby ją zmierzyć albo zapamiętać, i zbyt długą, żeby ją przetrwać, staje się sobą. Stwarzam siebie, potem stwarzam wszechświat i wchodzę w swoje dzieło. Spadam w głąb czasu do początku wszechświata i odbijam się do innego czasu. Ten czas okazuje się martwą przeszłością, ożywioną, reanimowaną dla mnie i dla zespołu przechwytyjącego.

Mogłabym użyć miliarda słów na opisanie przeżycia, jakim jest przejście przez Bramę, i nie zbliżyć się do jego istoty.

Jednocześnie stało się to, że przeszłam. Po prostu. Jedna noga w martwej przyszłości, druga w żywej przeszłości (a tyłek pół na pół, jeden półduppek w krainie Brooklyńskich Dodgersów, drugi w Wieku Ostatnim, albo twarz w latach pięćdziesiątych, a zadek w Krainie Jutra).

Te moje nogi wyrastały z tego samego miejsca, ale były od siebie oddalone o tysiące mil w przestrzeni i miliardy lat w czasie.

Jedna stopa nie była nawet moja, ale to inna sprawa.

Powiem po prostu, że przeszłam. Należy to rozumieć tak: przeżyłam straszliwą próbę, do której przywykłam do tego stopnia, iż mogłam sobie wmawiać, że to coś normalnego.

I tak, przekroczyłam Bramę.

Znalazłam się w toalecie samolotu Lockheed Constellation w roku 1955 i natychmiast musiałam się schylić, bo dwaj członkowie zespołu przechwytyjącego rzucili nade mną wrzeszczącą kobietę. Krzyk ucichł nagle, kiedy jej głowa przeszła przez Bramę. Reszta krzyku rozlegnie się w dalekiej przyszłości i tam dopiero będzie czego posłuchać. Sytuacja okaże się dla biedaczki zupełnie niezrozumiała. Pozdrowienia! Twoi potomkowie witają cię w Utopii!

Kiedy wychodziłam z toalety, dwoje innych łapaczy ciągnęło do niej dużego mężczyznę w porwanym szarym garniturze. Bronił się niezdarnie, prawdopodobnie potraktowany słabym wstrząsem. Wystarczyła chwila, żeby zobaczyć, że nie jest to udana akcja. Przede wszystkim pasażerowie się buntowali.

Jasne, byliśmy przygotowani na wybuch hysterii. Żadna akcja nie przebiega bez krzyków i mimowolnego oddania pewnej ilości moczu. Gdyby mnie porywano, też bym pewnie popuściła.

Tutaj jednak etap paniki nastąpił za wcześnie. Było za dużo przytomnych baranów w porównaniu do garstki łapaczek.

Bez trudu odróżniałam je od baranów, bo wszystkie miały stroje stewardes. W roku 1955 i na tej linii oznaczało to zalotne małe czapeczki, spódnice do pół łydki i buty na niebezpiecznie wysokich obcasach.

Miały też krwistoczerwone usta. Wyglądały jak wampirzyce.

Rok 1955. Musiałam wierzyć na słowo. Kiedy się było w tyłu różnych czasach jak ja, moda się zaciera. Wszyscy wyglądają głupio. Ale nie miałam podstaw, żeby wątpić w tę datę.

Gdzieś tam w dole, na ziemi, samochody przeżyły pletwy ogonowe, a Chuck Berry nagrywał *Maybellene*. Na ekranach, które wtedy nazywano odbiornikami telewizyjnymi, występowali Phil Silvers i Ed Sullivan, a Brooklyńscy Dodgersi wygrały w tym roku mistrzostwa świata. Mogłabym zostać milionerką w roku 1955, gdybym znalazła sposób na postawienie zakładu. Weźmy jutrzejsze gazety: „Constellation rozbija się na pustyni Arizona”.

Chcecie się założyć?

W małym wycinku roku 1955, w którym wylądowałam, panowała niezdrowa atmosfera. Nawet bez chaosu, jaki zapanował podczas akcji, ten samolot nie miał przed sobą długiego lotu.

Potrząsnęłam głową, żeby się orzeźwić. Czasami to pomaga. Po przekroczeniu Bramy bywam przez parę sekund zdezorientowana. Zmusiłam się do koncentracji na tym, co wymagało załatwienia w następnej sekundzie, potem w następnej i jeszcze w następnej...

Przejściem biegła Jane Birmingham. Złapałam ją za rękę. Wszystko wokół niej się waliło i na pewno nie marzyła o tym, żeby szefowa przytrzymała ją za łokieć.

– Tam jest piekło – powiedziała, wskazując kurtynę oddzielającą klasę pierwszą od turystycznej. Słyszałam krzyki i odgłosy walki. – Było nas za mało od samego początku – tłumaczyła się Jane. – Pinky zaraz po starcie stwierdziła, że nie ma broni. Próbowaliśmy jej szukać bez zwracania uwagi, ale na próżno. Musiałam rozpocząć akcję. Pozwoliłam Pinky szukać, a my zaczęliśmy zajmować się ludźmi na przedzie. – Odwróciła wzrok. Potem zmusiła się, żeby znów patrzeć na wprost. – Wiem, że nie wolno tego robić, ale...

– Nie teraz – machnęłam ręką.

– Nie wiem, co tam nawaliło. Za mało nas było chyba. W dodatku wszystkie byliśmy zdenerwowane. Kiedy przystąpiłyśmy do ewakuacji, wywiązała się bójka. Kate jest nieprzytomna. Jakiś rosły drań przedostał się...

– Nieważne. Przerzućcie ją razem z baranami.

Nie sposób jest ustalić, kto wywołał bójkę. Brałam udział w akcjach, w których barany się buntowały. To surrealistyczne przeżycie, kiedy kierujesz broń na gościa z dwudziestego wieku i mówisz, co z nim za chwilę zrobisz. Niektóre dwudziestaki nie mają więcej instynktu samozachowawczego niż główka kapusty. Gotowi są pchać się wprost pod lufę. Jakby nie wierzyli, że może ich spotkać

śmierć, zwłaszcza ci młodszy.

No i te dziwaczne wyobrażenia polityczne. Miewają jakieś obsesje na tle wyjaśnień, które im się „należą”, rzeczy, do których mają „prawo”, przyzwoitego traktowania ich, do którego jesteśmy „zobowiązani”.

Bardzo dziwne. Co do mnie, zrobię wszystko, co mi każe osobnik z bronią, i jeszcze powiem „proszę” i „dziękuję”. A potem zabiję go, jak tylko da mi szansę.

– Ilu tam jest jeszcze przytomnych? – spytałam.

– Kiedy wychodziłam, około dwudziestu.

– Każ im się pośpieszyć. Gdzie jest Pinky?

– Demoluje fotele w turystycznej.

Poszłam za nią. Trochę się tam uspokoiło. Może z tuzin pasażerów było jeszcze na nogach, czterdziestu do pięćdziesięciu w niewygodnych pozycjach zwisało z foteli. Lilly Rangun z drugą kobietą, której nazwisko zapomniałam, stały na wprost tych przytomnych, którzy stłoczyli się w tyle samolotu. Ich strach czułam w powietrzu. Dwie łapaczki stały każda po jednej stronie przejścia z paralizatorami trzymanymi oburącz i opartymi o fotele.

– Cisza! – ryknęła Lilly głosem kaprała prowadzącego musztrę. – Natychmiast zamknąć mordy! Macie być cicho i słuchać. Ty gnojku, zatkaj się, bo jak cię kopnę w dupę, to ci się wygnie w drugą stronę. Czy to twoja żona? Masz dwie sekundy, żeby jej zamknąć pysk, zanim was oboje rozwalę. Raz... o, już lepiej. Teraz tak. Ci ludzie nie są ranni. Żyją. Przyjrzyjcie im się, a zobaczycie, że oddychają. Nawet nas słyszą. Ale ta broń może też zabić i obiecuję, że wykończę pierwszego skurwysyna, który się wychyli. Jesteście w wielkim niebezpieczeństwie. Wszyscy zginiecie, jeśli nie będziecie wykonywać moich poleceń. Niech każde z was łapie się za najbliższą nieprzytomną osobę i ciągnie ją na przód samolotu. Tam stewardesa wam powie, co robić dalej. Nie macie ani chwili do stracenia. Jak będziecie się ociągać, pokażę wam, co jeszcze potrafi ta broń.

Po paru jeszcze okrzykach i przekleństwach zaczęli się ruszać. To podstawowe informacje dla nas, kiedy zajmujemy się jakąś kulturą: jakie słowa są dla ludzi szokujące. W dwudziestym wieku przekleństwa wiązały się głównie z kopulowaniem i wydalaniem.

Lilly wspomniała, że z paralizatora można zabić, lecz zwykle używaliśmy broni w charakterze pałki elektrycznej, działającej na odległość. Sprawia ból, ale nie obezwładnia.

Najlepiej mierzyć w miękkie, wrażliwe ciało między nogami, zwłaszcza od tyłu. Lilly pogoniła kilkoro z nich i zrozumieli, o co chodzi, bardzo szybko jak na dwudziestaków.

Słyszałam to wszystko w tle. Ja sama obeszłam fotele w pierwszych rzędach klasy turystycznej. Pinky robiła to samo po drugiej stronie przejścia. Chyba nie zdawała sobie sprawy z tego, że płacze. Pracowała systematycznie, z maniackim

uporem.

Działała racjonalnie. Wykonywała swoją pracę.

Jednocześnie była śmiertelnie przerażona.

– Czy jesteś pewna, że jest w samolocie?! – krzyknęłam do niej.

– Jestem pewna. Widziałam go w torebce, jak już wsiadłyśmy.

Musiała tak myśleć, bo nie można by nic zrobić, gdyby zgubiła go na ziemi, w mieście, z którego samolot wystartował. Ale pewnie miała rację. Moje podwładne rzadko nawalają podczas akcji, nawet kiedy sytuacja okazuje się beznadziejna. Skoro mówi, że widziała swoją broń już na pokładzie samolotu, to znaczy, że widziała. A to znaczy, że można ją znaleźć.

My szukałyśmy, a tymczasem przytomne barany dźwigały uśpione barany na przód samolotu. Kiedy tam docierali, ktoś im kazał przerzucać ich ładunek przez Bramę i wracać po następnych. Szybko łapali dryg. Sapali i stękali, ale nie ma nic silniejszego niż taki dwudziestak. Nie dbają o siebie, piją, za dużo palą, nie ćwiczą, obrastają tłuszczem i czują się wyczerpani po polizaniu znaczka pocztowego. Ale mięśnie mają jak konie... i także mózgi.

Zadziwiające, czego potrafią dokonać, kiedy się ich należycie popędzi.

Jeden z facetów pracował na równi z innymi, a przysięgam, że miał z pięćdziesiąt lat.

Jezus, Maria! Pięćdziesiąt lat!

Wkrótce samolot się opróżnił. Każdy z chodzących, który przyciągnął swoje ostatnie ciało, sam był przepychany na drugą stronę. Pozostał tylko zespół przechwytyjący. Tym razem nawet piloci zostali wyprowadzeni. Robimy to bardzo niechętnie i zazwyczaj jest to niemożliwe. Prowadziła teraz jedna z moich. Gdyby nie zrobiła dokładnie tego, co zrobiłby na jej miejscu pilot, samolot spadłby o wiele mil od miejsca, w którym powinien, maszyna jednak leciała na autopilocie i miała tak lecieć do czasu wybuchu w silniku. Żaden pilot nie mógł nic zmienić z chwilą, kiedy (ach, te kłopoty z czasownikami) odpadnie skrzydło.

I całe szczęście. Jest jeszcze jedna sztuczka, którą mogę wykorzystać, jeżeli piloci zorientują się, że coś się dzieje przed końcem akcji, ale naprawdę nie lubię jej stosować.

Moglibyśmy ściągnąć faceta z mojej Drużyny Superspecjalnej. „Facetem”, rzecz jasna, może być również kobieta. Ten ktoś miałby bombę w głowie, żeby na pewno nie można było potem zidentyfikować użębienia. Ten ktoś zgodziłby się doprowadzić samolot do zderzenia z ziemią.

Czy ktoś wspomniał o czarnej skrzynce? Rzeczywiście. Ludzie w kabinie pilota dużo gadają, kiedy znajdują się w kłopotach. Interesująco rozwiązano ten problem. W naszym czasie skrzynka została już przygotowana i puszczona w ruch, jak tylko piloci przeszli przez Bramę i dowiedzieliśmy się, że może być potrzebna. Było to rozwiązanie eleganckie. Bardziej niż trochę wymyślne, ale eleganckie.

Dzięki naszym monitorom czasu mogliśmy zajrzeć wszędzie, w dowolną chwilę. (No prawie). W ten sposób dowiadaliśmy się, że dany samolot ulegnie katastrofie.

Przeglądaliśmy relacje prasowe i znajdowaliśmy opisy wypadku. Może i dobrze byłoby zajrzeć do samolotu i zobaczyć, jak przebiegnie akcja, ale niestety, nie możemy zajrzeć do żadnego miejsca ani czasu, w którym byliśmy albo będziemy. (Przy podróżach w czasie są kłopoty z czasownikami). Dlatego nie mogliśmy wiedzieć, że trzeba będzie zabrać pilota.

Jednak teraz mogliśmy sięgnąć do późniejszego śledztwa. (Rozumiecie, o co mi chodzi z tymi czasownikami?). To się dzieło teraz, jeżeli to słowo coś jeszcze znaczy, w górę z biegiem czasu, w przyszłości. Sprawdzano wydarzenia wybiegające na kilka dni w przyszłość w roku pięćdziesiątym piątym, w przyszłość z mojego obecnego punktu widzenia.

Podczas śledztwa zostanie przesłuchana taśma z czarnej skrzynki. Przygotowaliśmy więc nagranie tego nagrania, umieściliśmy je w odtwarzaczu z mechanizmem samozniszczeniowym i zostawiliśmy w kabinie pilota, żeby nagrało się na magnetofon czarnej skrzynki.

Paradoks!

Z powodu tego, co robiliśmy teraz albo co już zrobiliśmy, te słowa nigdy nie zostaną wypowiedziane przez człowieka, którego głos wszyscy usłyszą. Te słowa zostałyby (zostaną, zostały) przegrane z zapisu, który nie został nagrany z powodu tego, co robiliśmy albo już zrobiliśmy.

Przyjrzyjcie się dobrze tej kolejności zdarzeń i zrozumiecie, że zasada przyczynowości zmieniła się w żart. Po każdej racjonalnej teorii wszechświata można spuścić wodę.

Cóż, ja wszystkie racjonalne teorie olałam dawno temu. Można sobie wierzyć w to, co człowiekowi sprawia przyjemność.

Moje poszukiwania zgubionego paralizatora były daremne. Rozejrzałam się, zobaczyłam, że tylko my zostałyśmy, i krzyknęłam:

– Hej, zdechlaki! – Poczekajcie, aż wszystkie zwrócą się w moją stronę. – Wszystkie szukajcie. Rozbierzcie ten samolot na części. Nie przestawajcie, póki nie zaczną nadchodzić pustaki, i szukajcie nawet wtedy. Ja idę na górę, zobaczę, co się da zrobić stamtąd.

Pobiegłam na przód samolotu i... przeszłam.

Wylądowałam na tyłku na piętrze selekcyjnym.

Natychmiast zorientowałam się, co się stało, i podniosłam wrzask jak cholera. To mi nie pomogło. Każdy baran wpada przez Bramę wrzeszcząc jak cholera.

Po przyszłościowej stronie Bramy znajduje się kilka skomplikowanych, pozbawionych tarcia pochylni. Są zaprojektowane do przyjmowania ludzi nieprzytomnych albo oszalałych ze strachu i szybkiego ich uprzątnięcia, zanim

wpadnie następny baran.

Czasami łamią się przy tym jakieś kości, ale rzadko te najważniejsze. Najistotniejszy jest czas, nie możemy się za bardzo cackać.

System ma za zadanie oddzielać personel zespołu przechwytyjącego od baranów.

Barany są kierowane do sali przygotowań, potem do zagrody, a potem do hibernacji, łapacze idą na zasłużony odpoczynek. Wszyscy uczestnicy akcji przechwytyjących mają sygnalizatory radiowe. Urządzenia sortujące reagują na te sygnały. Wiedziałam, gdzie jest mój sygnalizator: zostawiłam go w przygotowalni.

Trafiła mi się więc okazja, żeby poznać życie drugiej połowy. Mogłabym to sobie darować.

Nie było szans na chwycenie się czegokolwiek. (Dlatego nazywają to pochylniami pozbawionymi tarcia). Zjeżdżałam z rynnny na rynnę aż do płaskiej powierzchni pokrytej arkuszem folii, która przyłgnęła do mojego ciała. Wszystko zdarzyło się tak szybko, że nie bardzo rozumiałam, co się dzieje. W pewnej chwili mechaniczne ręce ściągnęły mi spodnie i zostałam zawinięta w ciasny kokon z przezroczystego plastyku. Byłam unieruchomiona, ręce przy bokach, nogi razem.

Znalazłam się w promieniach błękitnego światła. Było to przerażające nawet dla mnie, a ja wiedziałam, co się dzieje. Badano moje ciało do najdrobniejszych szczegółów, począwszy od układu kostnego. Zajęło to około dwóch sekund. Zostałam skatalogowana do osiemdziesiątego miejsca po przecinku i Wielki Komputer zaczął przeglądać swoją kartotekę pustaków szukając największego podobieństwa. To zajęło pikosekundę. O wiele mil stąd w składzie pustaków wysunęła się szuflada kostnicy. Moja nieprzytomna dublerka została wystrzelona do przygotowalni, osiągając dwadzieścia g na początku i końcu podróży.

Dwadzieścia g to dużo, wystarczy, żeby spowodować trwałe uszkodzenie mózgu, jeżeli działa przez jakiś czas, ale to byłoby wożeniem drzewa do lasu. W porównaniu z pustakiem marchew jest potentatem intelektualnym.

Wiedziałam, że proces przebiega szybko, ale nigdy go nie widziałam. Rzucono mnie na stół najwyżej po piętnastu sekundach od przekroczenia Bramy. Pustaka dostarczono w pięć sekund później i rzucono na sąsiedni stół. Nadal dotykały mnie i wnikały we mnie końcówki mechanicznych urządzeń. Kiedy wkroczy ludzki zespół przysposabiający, wszystko będzie gotowe.

Plastikowe opakowanie pozwalało oddychać, ale nie dawało nadziei na rozmowę, leżałam więc, gotując się ze złości. Mogłam przekręcić głowę o tyle, żeby widzieć leżącego obok pustaka. Podobieństwo było bardzo duże: moja jarzynowa siostra bliźniaczka. Z tym że jej lewa noga była prawdziwa, a moja sztuczna. Zastanawiałam się, jak Wielki K. rozwiąże ten problem.

Zaraz się przekonałam.

Z taśmy nad głową zjechała mechaniczna noga, która została złożona obok

nieprzytomnego pustaka. To powinno coś dać do zrozumienia ludzkiemu zespołowi, w którego przybycie już zaczynałam wątpić.

Przyszli jednak i rozumiałam, dlaczego barany są tak nerwowe po przymiarce.

Zespół składał się z pięciu osób. Jedną z nich znałam osobiście, choć nie za dobrze.

Spojrzała nie widząc mnie.

Przewracali mnie z boku na bok. Spoglądali na ekran komputera, odbyli szybką naradę i widocznie postanowili przekazać problem sztucznej nogi dalej. Ich zadaniem było tak upodobnić pustaka do mnie, żeby zmylić FBI w roku 1955. Ja byłam tylko kawałkiem mięsa opakowanym jak mrożony stek w supermarkecie.

Zespół rozumiał się idealnie. Nikt nikomu nie wchodził w drogę, wszystko, co potrzebne, było zawsze pod ręką. Dosłownie. Sięgali bez patrzenia i zawsze wszystko było.

Pracowali szybko. Odcięli pustakowi nogę i kopnęli ją na bok, jak tylko spadła na podłogę. Tymczasem kto inny wrywał pustakowi wszystkie zęby i wstawiał nowe, wyglądające tak jak moje. Przyczepili pustakowi sztuczną nogę i nacięli go w miejscach, gdzie mój skórokombinezon miał blizny. Zdarli jej skórę z twarzy, przebudowali ją i naciągnęli skórę z powrotem, stosując przyspieszone regeneratory. Zagoiła się bez śladu blizn.

Były jednak blizny, które pustak powinien mieć. Można je uzyskać tylko za pomocą czasośladu. Kiedy wszyscy skończyli, podłączyli pustaka do wielkiego zbiornika z odżywką, inne rurki wsunęli jej w odbyt i do pęcherza, po czym odskoczyli.

Pustaka otoczył błękitny blask Bramy. Zaczął oddychać tak szybko, że kontur jego piersi uległ rozmazaniu. Włosy i paznokcie rosły zauważalnie. Zużywał płyn odżywczy w takim tempie, że trzeba go było dopompować, i wydalął mocz pulsującym strumieniem, z szumem spływającym do zbiornika na podłodze. W ciągu dziesięciu sekund pustak postarzał się o sześć miesięcy. Blizny goiły się stosownie.

Potem ubrali pustaka w moje dzinsy, wsunęli mu w usta lejek i mieli napompować go nadtrawionym jedzeniem serwowanym w samolocie, kiedy jedna z pracownic spojrzała mi w twarz.

Tak naprawdę spojrzała. Bo wcześniej kilkakrotnie omiatała mnie wzrokiem, niczego nie zauważając.

Zrobiła wielkie oczy.

Kiedy zdołała wytłumaczyć pozostałym, kogo kopiują, cały zespół pomógł mi wypłatywać się z plastikowego kokonu.

Przez chwilę byłam nie całkiem przytomna.

Pamiętam, że widziałam z góry twarz, która wyglądała zupełnie jak moja. Potem wiem, że odciągano mnie od niej. Miałam w rękach solidny aluminiowy

pręt, a skórokombezon rozerwany na dłoni od kciuka do palca wskazującego. Odłamalam ten pręt od jednego z automatów medycznych.

Zrobiłam miazgę z tego pustaka.

Żałuję. Naprawdę. To coś miało na sobie moje dzinsy i do dzisiaj nie mogę ich doprać.

Szef zespołu przysposabiającego pustaki szedł za mną aż do drzwi. On przepraszał, a ja nie zwracałam na niego uwagi. Jeżeli ktoś tu zawinił, to głównie ja, ale nie chciałam tego przyznać. Podobnie jak podłączanie się do automatu odnowy biologicznej, przepraszenie uważałam za niebezpieczny nałóg, który może człowiekowi zmarnować życie. W duchu biczowałam się za coś tak głupiego, jak pozostawienie sygnalizatora w przygotowalni. Na zewnątrz, mam nadzieję, byłam osobą bardzo zajęta, którą przeprosiny tego faceta odrywały od pracy.

Straciłam tam pełne pięć minut. Nigdy się nie dowiem, czy te pięć minut stanowiły dla Pinky różnicę między życiem a śmiercią.

Straciłam następne piętnaście sekund, żeby się stamtąd wydostać.

Procedury nie przewidywały czegoś takiego. Cała operacja selekcji baranów była tak pomyślana, żeby nikt nie mógł się wymknąć, jednak kilka cichych, całkowicie szczerych obietnic szybkiej śmierci zrobiło swoje. Pobiegłam do sztabu, powiedziałam Lawrence'owi, żeby wysłał każdego wolnego agenta na poszukiwanie paralizatora Pinky do miasta, z którego samolot startował (jak się dowiedziałam, było to Houston), zmusiłam go, żeby znów przerzucił mostek, i... przekroczyłam Bramę.

Panował tam straszny rozgardiasz.

Dziewczyny szukały wszędzie, gdzie to było możliwe, i poszły na całość. Przejście zawałały wyrwane siedzenia foteli. Wykładzina podłogowa została pocięta. Zawartość pawlaczy – rozrzucona po całym samolocie. Pod nogami brzęczały buteleczki z alkoholem.

Na domiar wszystkiego zaczęły napływać przysposobione pustaki.

Straciłyśmy już tyle czasu, że musiałyśmy rozmieszczać je w pośpiechu. Kilka posadziłyśmy i przypięłyśmy pasami, ale większość po prostu wrzucałyśmy. Nasze przenośne zasilacze były nastawione na pełny regulator i rozpierała nas siła. Zamiast zwykłej mieszanki porannej (wzbogaconej krwi, adrenaliny i witamin), dostawałyśmy teraz szaleńczy koktajl hyperdrenaliny, metadryny, Esencji Histerii, TNT i Soku Radości Kickapoo. Brałyśmy te półtrupcy i rzucałyśmy nimi jak torbami fasoli. Mogłabym rozerwać blachę rżęsami.

Trzy czwarte pustaków przeszło proces, którego ostatnio byłam świadkiem. Wyglądali dokładnie tak jak ludzie, których zastępowali. Dla zaoszczędzenia czasu pozostali nadchodzili wstępnie okaleczeni, na ogół straszliwie poparzeni. Niektórzy jeszcze dymili.

Panuje przekonanie, że woń palonego ciała ludzkiego budzi odrzę. W

rzeczywistości jest całkiem niezła.

Większość pustaków wciąż jeszcze oddychała. Były przechowywane średnio po trzydzieści lat w specjalnych zbiornikach, utrzymywane przy życiu przez maszyny, ćwiczone mechanicznie, żeby im nie zwiotczały mięśnie. Teoretycznie nie powinny oddychać, ale w rzeczywistości były zbyt głupie, żeby przestać. Większość będzie nadal oddychać, nawet kiedy już spadną na ziemię.

Przerzucenie ich przez Bramę nie zajęło nam dużo czasu. Kiedy skończyliśmy, wciąż jeszcze zostało nam trzy minuty i czterdzieści sekund. Wysłałam jedną dziewczynę z powrotem do przyszłości, żeby sprawdziła, czy ktoś nie znalazł paralizatora w Houston. Cała reszta szukała go dalej w samolocie. Jak można się było spodziewać, łączniczka wróciła ze złą wiadomością i teraz zostały nam dwie minuty i dwadzieścia sekund.

Pinky się uspokoiła, jeżeli to jest odpowiednie słowo. Sądzę, że była półprzytomna ze strachu. Znalazłam Lilly Rangun, dowódcę grupy, i odciągnęłam ją na stronę.

– Nie znam dobrze Pinky – powiedziałam. – Co ona ma, jeżeli chodzi o twonki?

– Nic. Jest czysta. – Lilly odwracała wzrok.

To prawdziwa rzadkość. Chodziło o takie rzeczy, jak sztuczne nogi, nerki, oczy i inne przeszczepy medyczne zbyt zaawansowane jak na rok 1955. Pinky była zdrową dziewczyną.

Już choćby z tego względu zespół poniesie wielką stratę.

Jednocześnie ten brak medycznych anachronizmów znacznie ułatwiał sprawę Lilly, do niej bowiem należało wycięcie tych elementów i zabranie ich w przyszłość.

– Trzydzieści sekund! – krzyknął ktoś.

– Mamy minutę zapasu – powiedziałam. – Musimy zdążyć co do sekundy. Zabierzcie jej kombinezon i...

– Zamknij, do cholery, gębę! Wiem, co do mnie należy. A teraz spieprzaj z mojego samolotu!

Nikt się tak do mnie nie odzywa. Nikt. Spojrzałam jej w oczy. Gdyby można wzrokiem mrozić, byłabym jednonogim soptem.

– Tak jest – powiedziałam. – Do zobaczenia za pięćdziesiąt tysięcy lat.

Poszłam na przód, gdzie stłoczyły się wszystkie, ociągając się z przekroczeniem Bramy. Żadna nie chciała odejść. Ja też nie. Łatwiej byłoby zostać w samolocie do końca.

Obejrzałam się i zobaczyłam, że Pinky oddaje Lilly coś obwisłego. Wiedziałam, że to Pinky, choć była do niej niepodobna, ale nie mógł to być nikt inny. Ta obwisła rzecz to był jej skórokombinezon. Bez niego nie przypominała już seksownej stewardesy, stała tam przerażona, naga, mała dziewczynka.

Lilly zasalutowała jej, na co Pinky nie odpowiedziała, i biegiem ruszyła w moją stronę.

– Jazda stąd, bo wam dokopię – powiedziała do dziewczyn.

Posłuchały, a ja zwróciłam się do Lilly.

– Ile miała lat? – spytałam.

– Pinky? Dwanaście.

Nie ja ustalałam zasady. Mówiąc to, nie próbuję się rozgrzeszać. Uważam, że zasada jest słuszna. Gdyby jej nie było, sama bym ją wprowadziła.

Nie wolno zostawiać żadnych śladów materialnych. Karą za nieuwagę jest śmierć.

Albo z tym wracasz, albo z tym zostajesz.

Nie zawsze udawało się to załatwić tak jak z Pinky, czyli w najlepszy sposób. Można było tak zrobić, ponieważ ten samolot miał się rozbić tak gwałtownie i spłonąć tak doszczętnie, że nikt nie mógł liczyć na znalezienie więcej niż połowy ciał w jakiegokolwiek formie. Jeżeli znajdą dziesięć trupów nadających się do identyfikacji, to będzie cud, dlatego jedna nadprogramowa dziewczynka nie zwróci niczyjej uwagi.

Mimo to Lilly przed opuszczeniem samolotu schwyciła pustaka o masie odpowiadającej w przybliżeniu ciału Pinky i cisnęła go w przyszłość. Bilans jest sprawą decydującą.

A najgorszy sposób? Gdybyśmy były zmuszone z powodów temporalnych zabrać Pinky ze sobą, Lilly musiałaby postawić ją pod ścianą i rozstrzelać. A potem, może, palnęłaby w łeb sobie. Szefowa jednego z zespołów tak mi zrobiła.

Nikt nie obiecywał, że to będzie łatwa służba.

Tym razem przeszłam jak należy. Nadal nie miałam przy sobie sygnalizatora, ale w sztabie teraz o tym wiedzano i wiedzano też, że nikt oprócz łapaczy nie będzie przechodził aż do zamknięcia Bramy. Do czego się szykowano.

Wylądowałyśmy wszystkie w wyściełanej sali wypoczynkowej zespołów.

Pielęgniarze czekali na nas, jak wozy pogotowia ratunkowego na uszkodzony samolot.

Dałyśmy rękami znaki, że nic nam nie jest, tylko jedna zażądała noszy.

Zazwyczaj leży się tam przez pięć albo dziesięć minut. Nasze przenośne zasilacze po przejściu przez Bramę wróciły do normalnej mocy, histeryczna siła szybko nas opuszczała.

Spoza niej wylaniało się maskowane narkotykami zmęczenie, zarówno fizyczne, jak i psychiczne.

Ja jednak musiałam wstać.

– Należy się wam premia – ogłosiłam zabierając broń Lilly i kierując się ku drzwiom sztabu. – Godzina na pełnej mocy. Podkręćcie je, dziewczyny.

– Do zobaczenia na reanimacji, Louise! – zawołała jedna z nich, podkręcając

przełącznik zasilacza umocowanego do przedramienia.

– Powiedz mojej mamusi, że umarłam z uśmiechem! – wrzasnęła inna.

Wbiegłam do sztabu i stanęłam oko w oko z Lawrence'em. Sprawdzał listę przed wyłączeniem Bramy.

– Jedna z moich została w samolocie – powiedziałam. – Chcę, żebyś trzymał Bramę otwartą aż do uderzenia o ziemię.

– To nie wchodzi w grę, Louise.

– Jedna z moich jest wciąż w tym samolocie, Larry. Jeżeli uda jej się znaleźć broń, może jeszcze wrócić.

– Czy zdajesz sobie sprawę, ile mamy kłopotów z podłączeniem Bramy do samolotu, który leci równo i prosto? Czy masz pojęcie, że te kłopoty mnożą się do kwadratu i do sześcianu, kiedy samolot spada? To po prostu niemożliwe.

Paralizator ma trzy rodzaje ognia. Pierwszy usypia. Drugi sprawia ból. Pokazałam Lawrence'owi, że nastawiam broń Lilly na trzeci rodzaj, i przystawiłam mu lufę do skroni.

– Jedna z moich dziewczyn jest nadal w samolocie, Larry. Mówię ci to już po raz trzeci.

Udało mu się podłączyć Bramę do spadającego samolotu dwukrotnie, raz na dwie sekundy, drugi raz prawie na pięć sekund. Pinky nie przeszła.

Nie to nie, ale musiałam spróbować.

Osunęłam się na podłogę obok konsoli Larry'ego i patrzyłam, jak kieruje operacją zamknięcia Bramy. Spytałam go, czy ma jakieś fajki, i rzucił mi paczkę zielonych Lucky Strike'ów. Zapaliłam trzy.

Kiedy skończył, odwróciłam paralizator i mu podałam.

– Dla mnie? – spytał.

Zważył broń w ręce.

– Możesz z tym zrobić, co chcesz.

Wycelował w środek mojego czoła. Zaciągnęłam się i czekałam. Lufą odgarnął mi włosy i rzucił broń z powrotem.

– Jest ci teraz naprawdę wszystko jedno – powiedział.

– Najzupełniej.

– To psuje całą przyjemność. – Założył ręce na piersi i odchylił się w fotelu.

Właściwie nie całkiem tak. On nie siedział w fotelu, stanowił z nim całość.

Oczy mu się rozjaśniły.

– Poczekam, aż będziesz szczęśliwa. Kiedy zobaczę cię uśmiechniętą, masz to jak w banku.

Podstępny bydlak. Uśmiechnęłam się, ale nie zażądał broni.

– Przepraszam, Larry.

Spojrzał na mnie. Byliśmy przez jakiś czas kochankami, zanim rozsypał się tak, że przestał poruszać się o własnych siłach. Znał mój stosunek do przeprosin.

- Dobrze. Ja też zawiniłem. W czasie akcji wszyscy jesteśmy zdenerwowani.
- Co prawda, to prawda.
- Zgoda?
- Do następnego razu – powiedziałam.
- Jasne.

Patrzyłam na niego i czułam głęboki żal za czymś, co było kiedyś. Nie, bądźmy brutalnie szczerzy, czułam żal o to, czym kiedyś i ja się stanę. Już bardzo niedługo.

On postanowił uznać swój status gнома do końca. Większość gnomów przy pozostałych konsolach wyglądała jak normalni ludzie, tylko z pleców wychodziły im grube wiązki kabli. Te kable prowadziły do ich foteli i dalej, do setek ogromnych aparatów w podziemiach.

Larry nie widział sensu w udawaniu. Jeżeli nie mógł opuścić budynku, po co mu były atrapy nóg? Stąd fotel Larry'ego stanowił z nim całość. Nie miał oparcia. Larry jakby z niego wyrastał. Zasadzony na podłodze przed swoją konsolą. Wyglądał jak dziwna figura szachowa.

Od pasa w górę nie różnił się od normalnego człowieka. Wiedziałam, że większość tego też jest kłamstwem. Nawet kiedy się spotykaliśmy, miał tylko jedną własną rękę. Raz zobaczyłam jego twarz bez skórokombinezonu: bez nosa, wargi wyżarte, tylko jedno ucho.

Nie wiem, na co chorował, o takich rzeczach się nie mówi. Nie wiem, co w nim zostało organicznego, o tym też się nie mówi.

Nikt oprócz mnie, mojego lekarza i Shermana nie wie, które z moich członków i organów są moje własne, i tak ma być. Muszę być ostrożna, bo inaczej nie chodziłabym w tym kłamliwym kombinezonie, udając gwiazdę filmową z roku 2034. Tak jest, postać, pod którą mnie wszyscy znają, została do ostatniego znamienia wymodelowana na królowej piękności uratowanej przez nas z ataku terrorystycznego.

Kiedy tak siedziałam z nim w rzadkiej chwili spokoju, pomyślałam, że jak nie będę już w stanie udźwignąć wszystkich swoich protez, powinnam zrobić tak jak Larry. Wtedy skończy się czas uwodzicielskich kłamstw. Trzeba będzie powiedzieć sobie wreszcie, kim jestem naprawdę, kim jesteśmy wszyscy w tej wspaniałej przyszłości.

Wiek Ostatni.

Wstałam i wyszłam ze sztabu. Potem znalazłam jakieś ubranie, ubrałam się, zjadłam śniadanie z automatów w sali przygotowań zespołu przechwytyjącego i na chwilę przysiadłam. Dotarło do mnie, że jest jeszcze wcześniej.

Jak dotychczas był to dzień dość typowy.

3.

POJEDZIEMY NA GOLGOTE

Relacja Billa Smitha

Pilot śmigłowca powiedział mi, że Roger Keane spędził już trzy godziny na miejscu upadku DC-10.

Nie bardzo wiedziałem, co robić. Mieliśmy dwa duże samoloty w odległości dwudziestu mil jeden od drugiego i siedem osób do prowadzenie śledztwa. To, co widziałem w dole, wyglądało mało obiecująco. Z braku lepszych wskazówek zasięgnąłem opinii członków zespołu.

– Chciałbym wsiąść tutaj – powiedział Eli. Wypatrzył z góry coś, co mogło być osłoną silnika, i widziałem, że nie może się doczekać, kiedy się do niej zabierze. – Zresztą co za różnica? I tak zobaczymy oba miejsca katastrofy, mogę więc zacząć tutaj.

– Ja też wsiądę – powiedziała Carole. – Jest tu w pobliżu parę gospodarstw i może zdobędę jakieś ważne zeznania naocznych świadków. Czy ten drugi jest blisko szczytu góry?

– Tak, proszę pani – odpowiedział pilot. – To Mount Diablo. Wątpię, żeby ktoś tam był w pobliżu w czasie katastrofy.

Craig i Jerry też powiedzieli, że mogą zacząć tutaj, więc lecieliśmy dalej tylko ja i Tom Stanley.

– Rozglądaj się za rejestratorami – przypomniałem Craigowi na pożegnanie. Pilot mnie usłyszał.

– Chodzi o czarne skrzynki? – spytał. – Już je mają. Zawiozłem je do Oakland godzinę temu.

Kiwnąłem mu głową i uniosłem kciuk. Zawsze było dla mnie małą tajemnicą, dlaczego rejestrator parametrów lotu i rejestrator rozmów w kabinie załogi nazywano czarnymi skrzynkami. Dla mnie „czarna skrzynka” zawsze oznaczała jakieś ezoteryczne urządzenie, w którym dzieją się dziwne rzeczy, tymczasem oba rejestratory są prostymi urządzeniami, nie bardziej tajemniczymi od magnetofonu w samochodzie.

Wyglądało, że Boeing 747 przeleciał jeszcze kawałek po zderzeniu z górą, bo wyorał w zboczu długą bruzdę.

Tom i ja odtworzyliśmy zderzenie z powietrza, krążąc nad miejscem upadku, które nie było tak zatłoczone jak tamto i mogło nam powiedzieć znacznie więcej.

Samolot wylądował na brzuchu. Wstrząs zdemolował przód i prawdopodobnie

spowodował pęknięcia kadłuba. Maszyna odbiła się, znów wylądowała na brzuchu i tym razem kadłub rozpadł się na cztery części, z których każda koziółkowała osobno. Widać było duże fragmenty skrzydeł. Silniki odpadły i nie były widoczne z góry, ale kabina załogi wydawała się prawie nie tknięta, choć osmalona ogniem. To jest coś, co wyróżnia 747 spośród wszystkich samolotów pasażerskich; zamiast siedzieć na samym przedzie, „pierwsi na miejscu wypadku”, jak lubią żartować piloci, załoga urzęduje na samej górze i dość daleko przesunięta do tyłu.

Innym dużym fragmentem, który zobaczyliśmy, był statecznik pionowy z tylną częścią kadłuba. Zapowiadało się to obiecująco ze względu na rejestrator lotu. Zdawało mi się, że dostrzegłem grupkę pracujących osób, i spytałem pilota, czy może nas tam posadzić.

Uznał to za zbyt ryzykowne i zabrał nas na miejsce zbiórki, gdzie zaczęły ścigać wozy strażackie, samochody policyjne i karetki pogotowia.

Rzecz nie w tym, że Mount Diablo wznosi się na odludziu. Gdyby rozbił się tu jeden samolot, roiłoby się już od robotników. Ale rozbiły się dwa i ten drugi samolot spadł w miejscu widocznym z autostrady, więc szybko ściągnął lwią część ekipy ratunkowej. Z chwilą gdy ustalono, że z Boeinga 747 nikt nie ocalał i nie ma pośpiechu, Roger Keane postanowił skoncentrować się na uporządkowaniu miejsca łatwiej dostępnego.

Zanim jeszcze wyszliśmy poza zasięg rotoru śmigłowca, ruszył nam naprzeciw z wyciągniętą ręką wysoki mężczyzna w żółtej pelerynie nieprzemakalnej.

– Bill Smith? – spytał chwytając moją dłoń. – Chuck Willis, Kalifornijska Policja Drogowa. Pan Keane jest przy części ogonowej. Polecił mi przyprowadzić pana, jak tylko pan przyleci.

Usiłowałem przedstawić Toma Stanleya, ale gość już odwrócił się na pięcie.

Poszliśmy za nim, lecz zdążyłem jeszcze zobaczyć żółte worki z ciałami ładowane do śmigłowca, z którego przed chwilą wysiedliśmy. Nie zazdrościłem pilotowi powrotnej drogi.

Wszędzie zresztą pachniało benzyną lotniczą i spalonym mięsem.

W połowie drogi do części ogonowej Tom przeprosił, odwrócił się i wymiotował.

Zaczekałem na niego. Po chwili Willis z KPD zauważył, że nikt za nim nie idzie, i też przystanął, oglądając się na nas niecierpliwie.

Ciekawe, że nie czułem mdłości, póki Tom się nie pochorował. Nigdy nie mogłem patrzeć, jak ktoś wymiotuje. Zapomniałem o tej właściwości Toma. Bywałem z nim przy paskudnych sprawach: małe samoloty i naprawdę w strasznym stanie ciała. Na ogół zachowywał się poprawnie, ale parę razy go sponiewierało.

Cóż mogę powiedzieć? Szliśmy przez zryte pole zasłane ciałami lub kawałkami ciał, choć główna część wraku wciąż była przed nami. Naprawdę ich nie

widziałem. Obchodziłem je. Nie zawsze, pamiętam, że na jedno wszedłem. Ale wtedy było tak, jakby one nie istniały.

Wypracowałem w sobie taką zdolność. Przylecieliśmy tutaj, żeby oglądać szczątki, drut, metal i tak dalej, mój umysł więc po prostu ignorował szczątki ludzi.

– Już dobrze? – spytałem.

– Jasne – odpowiedział prostując się. Wiedziałem, że będą z niego ludzie. Cóż, jeżeli facet musi sobie rzygnąć, to trudno. Mnie to nie przeszkadza.

Zauważyłem jednak, że Willis ma jakieś zastrzeżenia. Postanowiłem, że gdyby powiedział coś o gorszych rzeczach, jakie widział na kalifornijskich autostradach, to go strzelę w pysk.

Ale nic nie powiedział. Wkrótce miałem się przekonać dlaczego.

Roilo się tam od ludzi w różnych mundurach. Większość stanowili strażacy, policjanci i paramedycy z okolicznych miejscowości, ludzie, którzy uważali, że są przyzwyczajeni do widoku gwałtownej śmierci. Tu mieli okazję przekonać się, że byli w błędzie. Niektórzy będą latami chodzić do psychiatrów z powodu tego, co widzieli tej nocy. Istnieje syndrom związany z pracą na miejscu katastrof lotniczych i oglądaniem obrazów, których umysł nie chce przyjąć do wiadomości. Może on ciężko dotknąć zawodowców, mających o sobie wyobrażenie jako o ludziach twardych i doświadczonych. Oni po prostu nie są przygotowani na skalę zjawiska.

Zobaczyłem strażaków błakających się jak lunacy. Jakiś facet w mundurze policji drogowej siedział i płakał jak dziecko. Ten prawdopodobnie wyjdzie z tego bez szwanku.

Pomocy będą potrzebowali ci, którzy udają twardzieli do końca.

Przynajmniej tym razem nie widziałem żadnych hien. Zobaczyłem takich w San Diego, gdzie samolot spadł w środku dzielnicy mieszkaniowej. Początkowo nie było możliwości, żeby powstrzymać gapiów, wypadek przyciągnął autentycznie chore osobniki, zanim policja zdołała oczyścić teren. Niektórzy zabierali kawałki ciał na pamiątkę, jeżeli możecie w to uwierzyć. Ja nie chciałem, ale pewien policjant przysięgał mi, że to prawda.

Mówił, że jego kolega omal nie zastrzelił jednego z tych typów, który umykał z czyjąś nogą.

A właściwie dlaczego miałyby to być takie dziwne? Nic tak nie przyciąga tłumów jak wypadek. Jeżeli kraksa na autostradzie jest rozrywką, to katastrofa lotnicza powinna być sto razy większą rozrywką.

Katastrofy są jak trąby powietrzne, można się po nich spodziewać wszystkiego.

Widziałem urwane głowy zawieszane w gałęziach drzew na poziomie wzroku. Kiedy indziej – ściskające się dłonie, mężczyzny i kobiety, kobiety i dzieci, same dłonie, podczas gdy reszta ciała została odrzucona gdzieś dalej.

Spojrzałem, na co patrzył Tom, kiedy go zemdliło. Leżała tam kobieca ręka, dość schludnie odcięta. Wypadek zabawił się tą ręką, układając ją na ziemi

zagłębieniem dłoni do góry, z palcami ułożonymi w przyzywającym geście. Na jednym z palców widniała ślubna obrączka. W każdym innym kontekście byłby to znak erotyczny i chyba to złamało Toma.

Za chwilę złamałoby i mnie, gdybym się nie odwrócił, co czym prędzej zrobiłem.

Roger Keane idealnie nadaje się na szefa kalifornijskiego biura Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu. Przypomina nieco Cary'ego Granta sprzed lat, z odrobiną siwizny we włosach i w garniturze z Beverly Hills. Nie należy do osób, które lubią sobie brudzić ręce, nie byłem więc zaskoczony znajdując go przy reflektorze, nadzorującego grupę, która z palnikami acetylenowymi gramoliła się na niebezpiecznie przechyloną część ogonową, żeby dostać się do rejestratorów. Dłonie wsunął głęboko w kieszenie trencza, kołnierz miał postawiony, w zębach trzymał nie zapalone cygaro. Odniosłem wrażenie, że w tym krajobrazie po masakrze najbardziej dolega mu niemożność zapalenia cygara ze strachu przed wciąż unoszącymi się w powietrzu parami benzyny.

Przywitał mnie i Toma, po czym kilka chwil spędziliśmy na wymianie uprzejmości.

Bylibyście zdziwieni, jak to pomaga. Podejrzewam, że potrafiłbym odbyć całkiem udaną imitację uprzejmej konwersacji na środku pola bitwy.

Po tym wstępie zabrał nas na wycieczkę po miejscu katastrofy z miną właściciela. To miejsce należało do niego, na szczęście lub nieszczęście, i dopóki nie przekazał nam informacji, które już zdobył, w pewnym sensie tak było. Co nie znaczy, że promieniał zachwytem. Miał ponury wyraz twarzy, podobnie jak my wszyscy, i pewnie znosił to ciężiej, bo rzadziej niż my widywał takie sceny.

Zwiedzaliśmy więc ten krajobraz po katastrofie niczym pełni skupienia turyści, zatrzymując się co pewien czas, żeby pogłowić się nad jakimś większym kawałkiem układanki.

Dla mnie jedynymi ważnymi rzeczami były rejestrator rozmów i rejestrator lotu.

Słynne czarne skrzynki. W końcu dotarliśmy do części ogonowej. Akurat na czas, żeby być świadkami wydobycia i ostrożnego przekazania komuś stojącemu na ziemi rejestratora rozmów w kabinie załogi. Roger wyglądał na zadowolonego.

Ja też byłem zadowolony, ale bardziej mnie interesował ten drugi przyrząd.

Rejestrator parametrów lotu w nowszych samolotach to jest naprawdę coś. Stare notowały tylko sześć zmiennych, dane takie jak prędkość lotu, kierunek i wysokość. Zapisu dokonywały igły na metalowej folii. Ten 747 miał jeden z najnowszych rejestratorów dokumentujących czterdzieści czynników na taśmie magnetycznej. Mogliśmy się z niego dowiedzieć wszystkiego, od wychylenia kłap do liczby obrotów silnika na minutę i temperatur. Nowe rejestratory stanowiły wielki krok naprzód z jednym wyjątkiem. Nie dorównywały starym urządzeniom

trwałością.

Tom i ja zaczekaliśmy, aż robotnicy wydobędą drugi rejestrator, i ponieśliśmy je sami.

Roger nie zaproponował nam pomocy, ale też nie liczyłem na to. Śmigłowiec wrócił i zabrał nas na miejsce upadku drugiego samolotu.

Wróciliśmy na lotnisko o wschodzie.

Tym razem weszliśmy tylnymi drzwiami i ochrona nie dopuściła do nas dziennikarzy.

Zostaliśmy zaprowadzeni do pomieszczeń, które Port Lotniczy Oakland przekazał nam na czas pracy. Był tam mały pokój dla ścisłego kierownictwa, czyli dla mnie i dla moich ludzi, średni, na cowieczorne spotkania wszystkich osób związanych z dochodzeniem w celu wymiany informacji i porównania notatek, oraz salka na konferencje prasowe. Ta ostatnia mnie mało obchodziła. Zapewne niedługo zjawi się tutaj C. Gordon Petcher i to będzie jego działka. Jego fotogeniczną gębę będą pokazywać w wiadomościach o szóstej, nie moją niedospaną i nie ogoloną.

Sprawdziłem wyposażenie, poznałem łączników z United, Pan Am i kierownictwa portu oraz ponownie spotkałem się z Kevinem Brileyem. Był w o wiele lepszym nastroju niż poprzednim razem. Rzucił mi na dłoń dwa klucze.

– Ten jest od pańskiego samochodu, a ten od pokoju hotelowego – powiedział.
– Samochód stoi na parkingu Herza, a pokój ma pan w Holiday Inn, jakąś milę stąd. Pojedzie pan drogą...

– Do diabła, Briley, potrafię znaleźć Holiday Inn – powiedziałem mu. – Nikt hoteli nie maskuje. Dobrze się pan spisał. Przepraszam, że tak na pana naskoczyłem.

Spojrzał na zegarek.

– Jest siódma piętnaście. Powiedziałem dziennikarzom, że spotka się pan z nimi w południe.

– Ja? Przecież to nie moja robota. Gdzie jest Gordy? Wyraźnie nie wiedział, o kogo chodzi.

– C. Gordon Petcher. – Nadal nic. – Członek Komisji. Wie pan, Krajowa Komisja Bezpieczeństwa...

– A, jasne, jasne. – Potarł czoło i chyba zachwiał się na nogach.

Uświadomiłem sobie, że facet jest co najmniej równie zmęczony jak ja. Może bardziej, ja miałem kilka godzin snu w domu i potem w samolocie. Katastrofa zdarzyła się o dwudziestej pierwszej jedenaście jego czasu, pewnie więc był na nogach przez całą noc.

– Telefonował – przypomniał sobie Briley. – Przyleci dopiero późno wieczorem.

Powiedział, że pan ma poprowadzić tę konferencję prasową w południe.

– Powiedział... Niech się wypcha. Czeka mnie od cholery własnej roboty. Nie mam czasu na szczyrzenie zębów do kamer. – Uświadomiłem sobie, że znów wydzieram się na tego biedaka zamiast na Petchera. – Przepraszam. Niech pan go złapie telefonicznie i powie, żeby tu przyleciał. Kiedy zaczniemy fazę przesłuchań, on będzie grubą rybą. Oficjalnie to on odpowiada za cały ten zafajdany interes, ale ponieważ guzik się zna na samolotach i jest świadom swojej niewiedzy, to wie, że beze mnie i moich ludzi, którzy muszą mu powiedzieć, czego się doszukali, wyjdzie na durnia. Dlatego *de facto* ja tu rządzę przez następne dwa tygodnie. A to znaczy, że on ma wykonać swoją robotę, czyli z uśmiechem znosić panów dziennikarzy. Do niczego innego zresztą się nie nadaje.

Briley przyglądał mi się przez chwilę, zastanawiając się pewnie, czy nie przejdę do rękoczynów.

– Czy na pewno nie chce mu pan tego przekazać osobiście?

Uśmiechnąłem się.

– Chętnie bym to zrobił – stwierdziłem – ale nie mogę sobie na to pozwolić. Ja mam z nim do czynienia na co dzień w Waszyngtonie, a pan tu na wybrzeżu jest bezpieczny.

Zmieńmy temat. Gdzie jest zwożony złom?

– United ma hangar na północnej stronie lotniska. Tam wszystko zbierają.

– A Pan Am?

– Podnajmują powierzchnię od United. Oba samoloty zostaną tam zwiezione.

– To dobrze. Będzie wygodniej. A co z ciałami?

Nie zrozumiał.

– Trupy. Gdzie składają trupy?

Chyba znów go zdenerwowałem. Odwrócił wzrok.

– Myślę, że gdzieś je zabierają... ale ja...

– W porządku. Nie może pan robić wszystkiego. Dowiem się, gdzie są. – Poklepałem go po plecach i poradziłem, żeby się trochę przespał. Rozejrzałem się za Tomem. Rozmawiał z kimś, kto wydał mi się znajomy. Podszedłem do nich.

Tom miał nas właśnie sobie przedstawić, kiedy przypomniałem sobie nazwisko gościa.

– Ian Carpenter, prawda? Związek Kontrolerów Ruchu Lotniczego?

Skrzywił się na słowo „związek”. Jest to nowa organizacja, jej członkowie są bardzo jeszcze drażliwi i mają świadomość, że pod względem prestiżu plasują się tuż za senatorami i kongresmanami. Według mnie kontrolerzy ruchu lotniczego sytuują się nieco wyżej niż piloci, którzy są prawie tak samo solidarni i dbali o własne interesy jak policjanci i lekarze, i dużo wyżej niż antyzwiązkowi prezesi.

– Zrzeszenie, jeśli laska – powiedział, usiłując żartem zamaskować rozdrażnienie. – A pan jest Bill Smith. Słyszałem o panu.

– Tak? Kto prowadził te dwa samoloty, kiedy się zderzyły?

Skrzywił się znowu.

– Chce pan wiedzieć, co o panu mówią? Mówią, że jest pan bardzo konkretny. No dobrze. Nazywa się Donald Janz. I zanim pan spyta, nie jest w okresie szkolenia, ale nie jest też kimś, kogo by można nazwać weteranem.

Wymieniliśmy spojrzenia. Może wiedział, co myślę, boja miałem dość dobre wyobrażenie, co jemu chodzi po głowie. Nie chciał, żeby ta katastrofa obciążyła konto Zrzeszenia Kontrolerów Ruchu Lotniczego, i bał się, że potraktuję ich jako łatwy cel. Nie jest tajemnicą, że Komisja była od pewnego czasu niezadowolona ze stanu kontroli ruchu lotniczego. Upłynęły lata od masowych zwolnień i krajowa sieć połączeń lotniczych wciąż nie może wrócić do normy. Niezależnie od tego, co się na ten temat słyszy, wciąż przygotowujemy ludzi do objęcia stanowisk nie obsadzonych od czasu słynnego strajku kontrolerów, a nie uczą tego na żadnym uniwersytecie. Ludzie zdobywają wiedzę i doświadczenie w pracy, a w dzisiejszych czasach zostają rzucający na głęboką wodę znacznie szybciej niż kiedyś.

– Gdzie jest Janz?

– W domu, dostał środki uspokajające. Rzecz jasna, jest wstrząśnięty. Zdaje się, że wspominał coś o adwokacie.

– Naturalnie. Czy może go pan tu sprowadzić za dwie godziny?

– Czy to rozkaz?

– Nie mam prawa wydawać panu rozkazów, panie Carpenter. To jest prośba. Może przyjechać z adwokatem, jeżeli chce. Ale wie pan, że prędzej czy później będę z nim musiał odbyć rozmowę. I wie pan, jak się rodzą plotki. Jeżeli pański człowiek nie zawinił, a patrząc na pana mam uczucie, że tak pan uważa, to czy nie lepiej, żebym go wysłuchał teraz?

Tom usiłował zwrócić moją uwagę, spojrzałem więc na niego, a on podjął grę bez żadnej przerwy.

– Jesteśmy na dziewięćdziesiąt dziewięć procent pewni, że samoloty były w porządku.

Pogoda raczej nie wchodzi w grę. Słyszałeś, co ludzie tutaj mówią. Błąd pilota, błąd kontrolera albo... błąd komputera. Jeżeli przywieziesz tu swojego człowieka, bardzo nam to pomoże znaleźć właściwą odpowiedź.

Carpenter podniósł wzrok, słysząc o błędzie komputera. Coś się gotowało w tym człowieku, ale nie wiedziałem co. Znowu patrzył niezdecydowany na czubki swoich butów.

– Prasa będzie żądać jakichś odpowiedzi, panie Carpenter. Jak nie dostaną czegoś szybko, zaczną kombinować na własną rękę. Wie pan, dokąd to doprowadzi.

Spojrzał na mnie ze złością, ale chyba nie ja byłem powodem tej złości.

– Dobrze. Sprowadzę go tutaj za dwie godziny.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Spojrzałem na Toma.

– O co chodziło?

– Powiedział mi, że komputer wysiadł, kiedy nastąpiła katastrofa. Było to trzecie przeciążenie tego dnia.

– Niemożliwe.

Za wcześnie, żeby mówić o przełomie, ale jak dotąd była to pierwsza rzecz, która mnie zainteresowała.

– A swoją drogą, która godzina? – spytałem Toma.

– U mnie siódma zero zero.

– Czasu wschodniego czy zachodniego? Chcesz pójść do hangaru zobaczyć, co się tam dzieje?

Tom znał mnie, jak sądzę. Albo moje reakcje są niezmiernie łatwe do rozgryzienia.

– Może przedtem znajdziemy jakiś bar? – zaproponował.

Na wielkim lotnisku bar znaleźć nietrudno, a stan Kalifornia nie jest zbyt rygorystyczny co do godzin otwarcia. Nie było kłopotów ze zdobyciem drinka o siódmej rano.

Zamówiłem podwójną szkocką z lodem, Tom – Perrier, Sarsaparillę czy co tam pijają niepijący. Cokolwiek to było, pieniało się jak diabli, tak że od samego patrzenia bolała mnie głowa.

– Czego jeszcze się dowiedziałeś, kiedy ja byłem zajęty panem Brileym?

– Niewiele. Głównie to, że Carpenter będzie się uskarżał na zbyt długie godziny pracy, przestarzałe komputery i że nie mają na co się przełączyć, kiedy komputer się zawiesi.

– Znamy to.

– Komisja stwierdziła, że nie pracują za długo.

– W tym akurat badaniu nie uczestniczyłem. Czytałem raport.

Tom nic nie powiedział. Znał moją opinię o tym raporcie. Myślę, że ją podzielał, choć nie miałem zamiaru go pytać. Na moim stanowisku mogę sobie pozwolić co jakiś czas na szczerą, kiedy jakiś waśniak się wygłupi. Nie oczekuję, żeby ktoś podtrzymywał moje wywrotowe poglądy, zwłaszcza publicznie.

– Dobrze. Kiedy nawalił ten komputer?

– W najgorszym możliwym momencie według Carpentera. Janz prowadził chyba z dziewiętnaście samolotów. Komputer się wyłącza, a on ma przed sobą ekran i około dziesięciu sekund na zgranie błysku A z błyskiem A prim. Dwa z tych błysków to były odrzutowce, które miał przekazać kontroli podejścia do lądowania w Oakland. Nie mógł się zorientować, który jest który, i polecił każdemu z nich dokładnie nie to, co trzeba. Myślał, że chroni je przed zderzeniem, a prowadził je na siebie.

Dla mnie sytuacja była jasna. Trudno to wytłumaczyć komuś, kto nie był w ośrodku kontroli ruchu lotniczego, kiedy wysiada komputer. Z przykrością stwierdzam, że widziałem to wielokrotnie.

W jednej chwili patrzysz na ostry, wyraźny okrągły ekran z mnóstwem linii i punktów. Każdy punkt jest oznakowany kilkoma rzędami cyfr. Można się zgubić, kiedy się to widzi po raz pierwszy, ale dla wyszkolonego pracownika cyfry identyfikują każdy samolot i dużo o nim mówią. Oznaczają wysokość, prędkość, numer transpondera. Obraz na ekranie jest generowany przez komputer i korygowany co dwie sekundy. Można go zmieniać, tak żeby każdy samolot zostawiał mały ślad coraz słabszych błysków, dzięki czemu wie się, gdzie samolot był, i ma się wyobrażenie, dokąd leci. Można kazać komputerowi usunąć wszystko inne i skupić się na jednej niebezpiecznej sytuacji. Ma się do dyspozycji kursor, który można naprowadzać na poszczególne samoloty i rozmawiać z ich pilotami. Jeżeli dwa samoloty wchodzą w niebezpieczną sytuację, komputer dostrzeże ją i da znać, że należy je rozdzielić.

A potem następuje przeciążenie. I komputer się zawiesza.

Wicie, co się wtedy dzieje?

Ekran przewraca się z pozycji pionowej do poziomej. Ma to swoje uzasadnienie: błyski oznaczające samoloty nie są już oznakowane. Trzeba sięgnąć po małe plastikowe żetony, zwane popularnie kutrami krewetkowymi, które należy oznakować kredką i położyć obok każdego błysku. Kiedy błysk się przesuwa, należy przesunąć kuter. Rozdzielczość obrazu biorą diabli, ogląda się całkiem inną scenę. Dzieje się tak, jakby człowiek cofnął się z wieku komputerów do czasu pierwszych kroków radaru, jakiego używano podczas drugiej wojny światowej.

Na domiar złego błyski, które się widzi na tym nowym obrazie, mogą się nie pokrywać z widzianymi poprzednio. Nie korygowane obrazy odbić radarowych nie dadzą się porównać z komputerowo poprawionym przedstawieniem. Tam, gdzie się miało gustowne kreseczki oznaczające chmury (ze starannie podaną wysokością), teraz ma się okropny kleks szumu w zupełnie niespodziewanym miejscu.

Kiedy coś takiego zdarza się w godzinach spokoju, kontrolerzy po prostu wydają jęk i sięgają po kutry krewetkowe. Kiedy zdarza się w godzinach szczytu (a w regionalnym ośrodku kontroli takim jak Oakland–San Francisco, z trzema lotniskami cywilnymi, trzema wojskowymi i Bóg wie iloma prywatnymi, prawie zawsze są godziny szczytu), zapada dwu– albo trzyminutowa cisza, w której kontrolerzy rozpaczliwie usiłują sobie przypomnieć, gdzie kto był i czy ktoś zbliżał się do tego, co w ich żargonie nazywa się „sytuacją”.

Nie jestem wielkim miłośnikiem eufemizmów, ale „sytuacja” mi się podoba. Oto mamy, proszę państwa, sytuację, w której sześćset osób zostanie

rozchlapanych po zboczu góry jak wielka puszką pasty pomidorowej.

– Co o tym myślisz? – spytał Toma.

– Za wcześnie na wnioski. Sam wiesz. – Nadal jednak patrzył na mnie i wiedział, że pytam o nieoficjalną opinię. Nie ukrywał jej. – Myślę, że to będzie trudna sprawa. Mamy faceta z małym doświadczeniem i komputer z roku sześćdziesiątego ósmego. Dzisiaj to już epoka kamienna. Ale niektóre osoby będą się upierać, że Janz powinien dać sobie radę.

Wszyscy inni jakoś sobie radzą.

– Tak. Chodźmy do tego hangaru.

Przez przyćmione szyby w barze nie widziałem, jaką mamy piękną pogodę, póki nie wyszliśmy na lotnisko. Był to jeden z dni, kiedy świerzbiał mnie palce, żeby chwycić drążek mojego Stearmana i wznieść się w błękitne przestworza. Rześki chłodek, powietrze czyste, słaby wiatr. Mimo tak wczesnej pory na zatoce nie brakowało żagli. Nawet stary, wielki i brzydki most łączący Oakland i San Francisco prezentował się dobrze na tle błękitu, a za nim wznosiło się najpiękniejsze miasto Ameryki. W przeciwnym kierunku widziałem wzgórze Berkeley i Oakland.

Samochodem Toma pojechaliśmy na drugi koniec lotniska. Nietrudno było znaleźć drogę do hangaru. Wystarczyło pojechać za sznurem ciężarówek załadowanych plastikowymi workami. Reszta zespołu była już na miejscu, poza Elim Seibelem oglądającym lewy silnik DC-10, który spadł w odległości około pięciu mil od głównego wraku. Kiedy weszliśmy do środka, byłem zdumiony ilością szczątków, które już ściągnięto z okolicy Livermore.

– United bardzo się śpieszy ze sprzątaniami – powiedział Jerry. – Ledwo udało nam się ich powstrzymać przed wywiezieniem największych części, póki nie udokumentujemy ich położenia. – Pokazał mi szkic mapy, na którym pieczołowicie odnotował miejsce każdego kawałka większego od walizki.

Rozumiałem, co muszą czuć ludzie z United. To miejsce koło Livermore było diabło publiczne. Żadna linia lotnicza nie lubi, kiedy tłum gapiów ogląda skutki jej klęski. Przesłali kilkusetosobową grupę robotników i do tego czasu miejsce upadku zostało już właściwie wysprzątane.

We wnętrzu hangaru panował straszny bałagan. Większe części złożono pod jedną ścianą, a całą resztę zaścielały plastikowe worki pełne drobnicy, na ogół pokrytej warstwą błota. Teraz zaczęły przybywać też części 747 i należało zrobić miejsce dla nich.

Wszystko to trzeba będzie posortować.

Nie była to moja działka, ale od samego widoku rozbolała mnie głowa. Zacząłem podejrzewać, że dwie podwójne szkockie o siódmej rano nie zrobiły mi najlepiej. W kieszeni płaszcza miałem jakieś pigułki od bólu głowy. Rozejrzałem się za wodą do popicia i zobaczyłem dziewczynę z tacą pełną kubków kawy. Wyglądała

na nieco zagubioną, krążąc wśród stosów worków ze szczątkami. Co chwila spoglądała na zegarek, jakby wkrótce miała się gdzieś zgłosić.

– Chętnie się poczęstuję – powiedziałem.

Odwróciła się i uśmiechnęła. Albo raczej zaczęła się uśmiechać, bo uśmiech w połowie zastygł jej na ustach.

Była to dziwna chwila. Nie mogła trwać dłużej niż pół sekundy, a czułem, jakby trwała godzinę, tyle emocji odmalowało się na jej twarzy. Początkowo myślałem, że to przywidzenie, później nie miałem już tej pewności.

Była piękna. Z tyłu wyglądała młodziej. Kiedy się odwróciła i zobaczyłem jej oczy, przez chwilę pomyślałem, że ma sto lat. Śmieszne. Może trzydzieści, nie więcej. Miała ten rodzaj uderzającej, dojmującej urody, która zatyka dech w piersiach piętnaste – i szesnastolatkom, nie znającym jeszcze pocałunku. Ja byłem dużo starszy, ale doznałem tego samego uczucia.

A ona odwróciła się i zaczęła się oddalać.

– Hej! – krzyknąłem za nią. – A co z kawą?

Przyśpieszyła tylko kroku. W drzwiach hangaru już biegła.

– Zawsze tak działasz na kobiety?

Odwróciłem się i zobaczyłem Toma.

– Widziałeś to?

– Tak. Na czym polega twój sekret? Perfumy z tchórza? Masz rozpięty rozporek?

Roześmiał się i ja też, choć wcale nie było mi do śmiechu.

Nie chodziło tu bynajmniej o jakąś męską ambicję, naprawdę tym się nie przejmowałem, lecz jej reakcja była przesadna, zupełnie nie uzasadniona. Nie jestem Robertem Redfordem, ale nie mam też twarzy, którą można straszyć małe dziewczynki, i nie pachnę gorzej niż każdy inny człowiek, który łąził całą noc po błocie.

Zaniepokoiło mnie uczucie, że ona wcale nie jest zagubiona, tylko szuka czegoś zgubionego. I że to coś znalazła.

4.

WEHIKUŁ CZASU

Relacja Louise Baltimore

Odkładałam wizytę na pocztę w celu zapoznania się z treścią kapsuły czasu, ale wiedziałam, że za długo zwlekać nie mogę, bo Wielki K. mi przypomni. Skończyłam więc paczkę Lucky Strike'ów i pojechałam metrem do Budynku Federalnego.

Fed, najstarszy budynek w mieście, to zabytek z czterdziestego piątego wieku.

Wytrzymał więcej wybuchów jądrowych niż Kanał Honduraski. Cywilizacje rodzą się i umierają, wojny toczą się wokół i zatrują powietrze, a Fed stoi, jak stał, ogromny i posepny. Ma kształt piramidy, ale słynny grób Cheopsa mógłby być jedną cegłą Feda.

Dzisiaj zresztą nikt by nie potrafił Feda zbudować. Jest z materiału, którego nikt nie umiałby wyprodukować. Nie mamy nawet pewności, czy to dzieło rąk ludzkich.

W tej budowli umieściliśmy skarbiec, który ktoś przed laty nazwał Urzędem Pocztowym, pewno dlatego że skarbiec jest zawałony przesyłkami nie doręczonymi przez lata, a nawet stulecia.

Poczta jest jednym z dziwnych efektów ubocznych podróży w czasie. Dowodzi raz jeszcze, że paradoksy są możliwe, jakkolwiek w ściśle ograniczonym zakresie. Dzisiaj zginęła dziewczyna, żeby zapobiec paradoksowi, ale te, na które wszechświat pozwala, dostajemy dosłownie do ręki.

W dniu moich narodzin moja matka wiedziała, że na pocztę czekają na mnie trzy przesyłki. Musiało to być dla niej pocieszeniem: wiedziała, że dożyje do ich otwarcia. Mam nadzieję, że przyniosło jej to ulgę, bo zmarła wydając mnie na świat.

Wiem, że było to pocieszające dla mnie. Data na pierwszej przesyłce stanowiła lepsze zabezpieczenie niż polisa na życie. Dożyje do tego, żeby ją otworzyć, i drugą też. Wszystkie trzy zostały znalezione około trzystu lat temu, niedaleko siebie.

Kapsuła czasu to blok bardzo twardego metalu wielkości mniej więcej cegły.

Potrząśnięty grzechocze, bo w środku znajduje się drugi kawałek metalu, cienki i płaski. Na powierzchni tej cegły jest nazwisko i data. Dla... Nie otwierać przed...

Co jakiś czas znajdujemy te kapsuły. Zazwyczaj wyciągamy je z dna oceanu. Techniki datowania pozwalają ustalić, jak długo tam leżały; zwykle około stu tysięcy lat. Kiedy je znajdujemy, składamy w skarbcu w Budynku Federalnym, pod

zabezpieczeniami tak surowymi, jakie tylko Wielki K. jest w stanie wymyślić. Nikt jeszcze nie śmiał żadnej otworzyć przed czasem. Nie wiem dokładnie, co by się zdarzyło, gdyby to zrobiono, i wolę się nie dowiedzieć. Podróż w czasie jest tak groźna, że w porównaniu z nią bombę jądrową można uznać za całkowicie bezpieczny prezent dla dzieci. No bo cóż się może stać w najgorszym razie z bronią nuklearną? Zginie kilka milionów ludzi, trywialna sprawa. W przypadku manipulacji czasem można zniszczyć cały wszechświat, tak twierdzi teoria. Jak na razie nikt się nie kwapił sprawdzać jej doświadczalnie.

W kapsule czasu znajduje się tekst. Czasami bardzo dziwny. Moja pierwsza kapsuła nosiła dzisiejszą datę, co do godziny, minuty i sekundy. Druga miała datę niezbyt odległą od pierwszej. Co do trzeciej...

Byłam swego rodzaju znakomitością, bo czekały na mnie trzy przesyłki. Nikt jeszcze nie otrzymał trzech przesyłek. Nie polecałabym tego jednak osobom o słabych nerwach. Moja trzecia kapsuła spędzała ludziom sen z powiek od trzystu lat. Mnie też. Była to jedyna znaleziona kapsuła bez określonej daty. Na jej powierzchni znajdował się tekst: *DLA LOUISE BALTIMORE. NIE OTWIERAĆ PRZED DNIEM OSTATNIM.*

Co to, do cholery, jest dzień ostatni? Było to zarówno dość jasne, jak i przejmująco zagadkowe.

Musiałam przyjąć, że rozpoznam ten dzień, kiedy nadejdzie.

– Słuchaj, ty skurwysynu.

– Tak, słyszę cię. Dam ci to, oczywiście, na sygnał dźwiękowy.

– Oczywiście – powiedziałam. – Kiedy to dokładnie będzie?

– Za dwie, trzy minuty.

Jestem pewna, że Wielki K. dał mi tę „dokładną” odpowiedź, żeby się ze mną podrażnić. Czy oprócz wszystkiego, co mnie w życiu drażni, potrzebna mi jest jeszcze maszyna, która mi gra na nosie?

Widocznie tak. Próbowałam zmusić go do traktowania mnie po ludzku, ale się nie udało, za to znienawidziłam go jeszcze bardziej.

W ogóle nie jestem wielką miłośniczką maszynierii.

Cegła leżała po drugiej stronie sali na przezroczystym stole. Wydawało się, że mogłabym podejść i złapać ją, ale wiedziałam, że to pozory. Zostałabym unieruchomiona trzy razy, zanim zbliżyłabym się na odległość dwudziestu metrów, i zabita, gdybym podeszła na pięć metrów. Kiedy Wielki K. mówi, że na sygnał, to znaczy, że na sygnał.

Było ze mną w Urzędzie Pocztowym kilka osób. Niektóre znałam. Pewnie przyszli dotrzymać mi towarzystwa. Był też Hildy Johnstown, „dziennikarz” w filcowym kapeluszu, ze zniszczoną przepustką prasową zatkniętą za wstążkę. Wydaje gazetę w nakładzie około tysiąca egzemplarzy, które odbija na powielaczu. Ostatnie tchnienie dumnej ongiś profesji.

Kogo to dzisiaj obchodzi? Każda wiadomość jest z definicji złą wiadomością.

Byłam ciekawa, czy zdobędzie materiał. Czasami w przesłaniu jest powiedziane, że można je przekazać innym. Czasami, że trzeba je zachować dla siebie. Czasami nie jest powiedziane nic i trzeba decydować samemu. Czas pokaże, czy się miało rację.

Na sygnał Wielki K. spowodował otwarcie cegły, która wydała przy tym nieokreślony dźwięk. Przyznam, że byłam z lekka podenerwowana, kiedy szłam przez salę i przystawiałam sobie krzesło.

Wzięłam tabliczkę i przeczytałam tekst. Był pisany moją ręką. Spodziewałam się tego, tak jest prawie zawsze. Tekst brzmiał:

Przy placu Jacka Londona są dobre restauracje. Jedź autostradą na północ za znakami.

Rada zrezygnuje, jeżeli nie dociśniesz jej odpowiednio mocno.

Powiedz im, że ta misja jest sprawą życia i śmierci. Nie wiem, czy tak jest, ale tak im powiedz.

Nie dawaj mu, jeżeli nie będziesz mieć ochoty.

Powiedz mu o dziecku. To tylko pustak.

Było to napisane dwudziestowiecznym amerykańskim angielskim. Przeczytałam tekst cztery razy, żeby się upewnić, że wszystko zapamiętałam, i z każdą sekundą szczęki zaciskały mi się coraz bardziej. Wreszcie wstałam i odsunęłam się od stołu.

– Zniszcz to w cholereę.

– Robi się – odpowiedział Wielki K. Metal rozpalił się do białości, zrobił się jeszcze bielszy i zaczął parować. Zanim proces dobiegł końca, odwróciłam się i wyszłam z sali.

Czułam na sobie spojrzenia, ale nikt się nie odezwał, nawet Hildy.

Trzymałam się całą drogę i aż do chwili, kiedy zatrzasnęły się za mną drzwi mieszkania. Tam osunęłam się na podłogę. Nie wiem, co się ze mną działo, ale miałam mokrą twarz i byłam słaba. Sherman zaniósł mnie do łóżka, przez chwilę mnie głaskał, a potem sobie poszedł. Ta pieprzona maszyna to najlepszy przyjaciel, jakiego kiedykolwiek miałam.

Nikomu nigdy nie wspominałam o dziecku. Jeżeli wszechświat miałby się z tego powodu rozwalić, to niech się wali.

Wyciągnął mnie z tego Sherman.

To jedyna maszyna, z której mam jakiś pożytek. Kiedyś pogardzałam robotami takimi jak Sherman. Uważałam, że służą tylko do spełniania zachcianek rozpieszczonych damulek spośród tępaków. Mówiłam o nich *per* „to” i nazywałam je chodzącymi wibratorami.

Zmieniłam zdanie, kiedy dostałam Shermana. Jest zdecydowanie męskim

robotem.

Jedno spojrzenie między jego nogi rozprasza wszelkie co do tego wątpliwości.

Pozwolił mi się wypłakać. To jest słowo, którego szukałam. Zdarzało mi się płakać wcześniej, ale tylko z wściekłości. Zazwyczaj w pełni panuję nad sobą, chociaż łzy kapią mi po policzkach. Nigdy nie byłam taka bezradna. Nawet w dniu, kiedy ona umarła.

Jeżeli Sherman był zaskoczony, to niczym się nie zdradził. Głaskał mnie i tulił w ramionach. Nie mógł, rzecz jasna, zastąpić mi ciepła matki, którego nigdy nie zaznałam, i oboje o tym wiedzieliśmy, ale, do licha, prawie mu się to udawało. Nie potrafiłam już wyobrazić sobie prawdziwego, ludzkiego mężczyzny, bo nie byłam z żadnym od lat.

Pieszczoty Shermana stały się bardziej celowe. Nie sądziłam, że mam ochotę się pieprzyć, ale on wiedział lepiej. Czubki jego palców są wykrywaczami kłamstwa. Może czytać w moich uczuciach, jakby były wydrukowane alfabetem Braille'a na mojej skórze. Po chwili położył mnie na plecach i wszedł we mnie.

Zapałam w stan półsnu. Pieprzył mnie przez trzy godziny, od późnego rana do wczesnego popołudnia. (Kochał się ze mną? Nie rozśmieszajcie mnie. Wiem, kiedy śmieszność przechodzi w psychozę. Zdaję sobie doskonale sprawę, że technicznie rzecz biorąc, tego popołudnia onanizowałam się najnowocześniejszą na świecie, elektroniczną, nadmuchiwą gumową zabawką naturalnej wielkości).

Ja miałam z tym niewiele wspólnego. Takie mam zasady wobec Shermana, Króla Lateksu. Ja sobie leżę, a on mnie gwałci.

A cóż więcej mogę, do cholery, zrobić? On nic nie czuje. Stanowi serię niezwykle skomplikowanych, zaprogramowanych odruchów. Odbiera moje odruchy i zawsze reaguje właściwie, we właściwym czasie. On jest maszyną. Równie dobrze mogłabym się starać zaspokoić nowy, ulepszony toster.

Sherman nie ma twarzy.

Jest kompetentnym terapeutą i powiedział mi wprost, co to oznacza w kategoriach psychologicznych. Kobiety bardzo często fantazjują, że są na okrągło i gruntownie zerżnięte przez kogoś obcego, bez twarzy. Na pierwszy rzut oka wygląda to jak marzenie o gwałcie.

Otóż zdecydowanie nie. Gwałt nie jest przeżyciem seksualnym dla kobiety i ma bardzo mało wspólnego z seksem dla mężczyzny.

Sherman nie pyta, czego chcę, nie pyta, czy chcę się pieprzyć, on wie. Po prostu mnie wtedy bierze.

A ja mam tak pełną kontrolę nad tym przeżyciem, że nie muszę mu nawet mówić, co ma robić. Każdy jego krok jest idealnie zestrojony z tym, co moje ciało chce, żeby zrobił.

Sherman jest całkiem niezłą namiastką idealnego kochanka.

Kiedy go dostałam, miał twarz. Nie mogłam tego wytrzymać. Sama wybieram,

kiedy i gdzie chcę się oszukiwać, i kłamstwa, jakim była jego twarz (jestem prawdziwym mężczyzną z prawdziwymi uczuciami), nie chciałam słyszeć. Kazałam go więc przebudować, żeby miał głowę krągłą i gładką jak jajko. Podobnie jak reszta jego skóry w dotyku jest jak żywa. Tak jak i moja własna „skóra”.

Czasami Sherman przykleja sobie na głowie zdjęcia twarzy i dla zabawy zachowuje się jak jakaś sławna postać z przeszłości. Przedupczyłam w ten sposób parę podręczników historii.

Zboczenie? Może. Wszystko zależy od tego, w jakiej dzielnicy się mieszka. Nie powiem, że jest to równie dobre jak kochanie się z prawdziwym mężczyzną. Nie powiem też, że jest gorsze. Po prostu nie ma w tym czynnika emocjonalnego. Czasami go brakuje, wtedy przypominam sobie Lawrence’a, biorę Shermana do łóżka i wykorzystuję po kres jego możliwości. Z Shermanem jest o wiele bezpieczniej.

Moje powody takiego wyboru częściowo były oczywiste. Miałam dość okazji, żeby zostać zraniona, bez wdawania się w miłość.

Częściowo zaś były głęboko ukryte i dokopanie się do nich zajęło terapeutę Shermanowi wiele sesji. Bałam się prawdziwego penisa. Mógł mnie wpędzić w ciążę, a wtedy miałabym dziecko i znów mogłam zostać zraniona.

Częściowo były to kłamstwa. Te, którymi oszukiwałam samą siebie, i te, którymi oszukiwali mnie inni.

W naszej części lasu nie sposób było powiedzieć, czy ktoś, z kim się idzie do łóżka, ma autentyczne wyposażenie czy znakomitą imitację. Smutne, ale prawdziwe. Istniało bardzo duże prawdopodobieństwo, że jego kutas jest nie bardziej prawdziwy niż kutas Shermana. Ale równie dobrze mógł mieć genitalia, z którymi przyszedł na świat.

Cała idea skórokombinezonu polega na tym, że nie można stwierdzić różnicy. I na pewno nie można o to spytać.

A ja musiałam wiedzieć.

Nie zrozumcie mnie źle. Nie chciałam prawdziwego samca. Chciałam protezy. Jest bezpieczniejsza. Jeżeli mam szukać mężczyzny, który faktycznie jest mężczyzną wyłącznie na poziomie genetycznym, to dlaczego nie wybrać Shermana.

Zimno, zimno.

Ja wiem, że to jest bardzo zimne. Ale nigdy nie obiecywałam, że to będzie ładne. Nikt mi nigdy nie obiecywał, że moje życie nie będzie paskudne, brutalne i bardzo krótkie, i nigdy nie oczekiwałam czegoś innego.

Bierze się, co dają, i w nogi.

Na przykład:

Kiedy Sherman doprowadził mnie do stanu, który uznał za najlepszy dla mnie tego popołudnia, przestał mnie pieprzyć. Przygotował lekki posiłek i przyniósł mi

go do łóżka.

Zdjęłam swój skórokombinezon i masował mnie, kiedy jadłam.

Rozmawialiśmy o tym i o owym. Masując mnie, sprawdzał, czy nie ujawniły się jakieś nowe schorzenia. Mniej więcej co dwa tygodnie coś znajduje. Tego dnia nic nie stwierdził.

Może sprawiam wrażenie, że w swojej prawdziwej postaci wyglądam jak coś, co wyciągnięto z kanałów po trzech tygodniach przebywania tamże.

Nie jest tak źle. Naprawdę. Nie roztaczam żadnych nieprzyjemnych woni. Skórę mam śmiertelnie bladą, ale nienaruszoną. Organy płciowe mam własne. Podejrzewam, że najłagodniejsze określenie mojej twarzy to wyniszczona, ale na razie lustra nie pękają na jej widok. Sztuczna noga nie jest skutkiem choroby, to był wypadek. Nie odczuwam jej braku.

Proteza działa lepiej, a uczucie jest takie samo.

Najgorzej jest z rękami. Ręce i pozostała noga. Nazywa się to paratrąd. Nie jest zaraźliwe. Przechodzi z matki na córkę, zakodowane w genach. Pewnego dnia te ręce mi utną.

Straciłam wszystkie włosy w wieku dziewięciu lat. Właściwie ich nie pamiętam.

Wszystkie poważne problemy mieściły się w środku. Różne organy były w zaawansowanym stanie uszkodzenia. Niektóre zostały już zastąpione sztucznymi. Są takie, które potrafimy zastąpić sztucznymi organami tych samych rozmiarów. Inne wymagają maszynierii wypełniającej cały pokój.

Zresztą co wam się nie podoba, dupki? Jak na dwudziestosiedmioletnią kobietę w moim miejscu i czasie, jestem okazem zdrowia.

Nie myślcie chyba, że organizowaliśmy te porwania dla sportu, co? Chyba już do was doszło, że było to rozpaczliwe rozwiązanie kwestii ostatecznej. Gdybyście mnie zobaczyli bez skórokombinezonu, zrozumielibyście natychmiast.

Ale nie zobaczy mnie nikt oprócz Shermana.

Kiedy skończył mnie masować, wycofałam swoje pretensje. Powinnam tu włączyć podziękowanie dla wspaniałych ludzi, którym zawdzięczamy skórokombinezon. Skaleczcie go i popłynie krew. Pogłaszczcie go i zareaguje jak skóra, którą mieliście albo która jest pod spodem. Człowiek nie czuje, że go nosi, czuje nim. Jest jak żywy i działa w symbiozie z tym, co pozostało z twojego ciała.

Wielką jego zaletą jest większa niż prawdziwej skóry elastyczność. W razie potrzeby można mu nadać inne rysy. W zespołach łapiduchów taka potrzeba często się zdarza.

Przyodziałam się w skórokombinezon i wyszłam z mieszkania.

Mieści się ono na osiemnastym czy dziewiętnastym piętrze kompleksu mieszkalnego.

Nigdy tego nie policzyłam, windy troszczą się, dokąd mnie zawieźć. Budynek jest wykorzystany w połowie.

Zatrzymałam się na galerii i spojrzałam w dół, na tłum tępaków kręcących się po atrium.

Moi ludzie. Tacy piękni i tacy beзуżyteczni.

Możecie nazywać mnie Morlokiem.

Pod koniec dziewiętnastego wieku niejaki Herbert George Wells napisał książkę. Nie miał pojęcia o przemieszczaniu się w czasie, nigdy nie słyszał o Bramie. Jego powieść była głównie komentarzem społecznym.

Ale jego bohater przenosił się w przyszłość. Znalazł tam dwa społeczeństwa, Elojów i Morloków.

My nazywamy ich tępakami i... jak? Ci z nas, którzy pracowali, nazywali się zdechlakami, twardzielami albo frajerami. Zgodziłabym się i na Morloków. W książce Wellsa Eloje byli piękni i beзуżyteczni, ale dobrze się bawili. Morlokowie byli zezwierzęceni i pracowali we wnętrzościach świata.

Nie można mieć wszystkiego, tutaj metafora się wyczerpuje. W naszym przypadku zarówno tępacy, jak i robotnicy byli piękni na zewnątrz, a przegnili od środka. Ale my, zdechlaki, pracowaliśmy, a tępaki nie.

Nigdy tak naprawdę nie miałam do nich pretensji. Słowo daję.

Różne są reakcje na sytuację bez wyjścia.

Rozpacz i beczynność.

Jedz, pij i popuszczaj pasa.

Samobójstwo.

I moja, polegająca na chwytaniu się brzytwy nadziei, jaką daje przemieszczenie się w czasie. Mniej więcej jeden człowiek na tysiąc wybierał mój sposób.

Samobójstwo cieszyło się dużą popularnością. Na wiosnę strach było wyjść na ulicę, z obawy przed spadającymi z góry ciałami. Skakano pojedynczo, parami i całymi rozchichotanymi grupami. Powietrzni nurkowie u kresu czasu. Jednak najpopularniejszym środkiem znieczulającym było życie na pełny gaz. Nie widzę żadnego rozsądnego powodu, dlaczego ten pomysł nie miałby być najlepszy. Dla nich. Co do mnie, gdybym mogła sobie na to pozwolić, już dawno byłabym moką plamą na chodniku.

Kłopot w tym, że mokra plama nie mogłaby zrobić nic, żeby zmienić świat, który zabił moje dziecko. Nie miałam dowodu, że moja praca przyniesie jakiś skutek, ale przynajmniej istniała taka szansa.

Nikt nikogo nie zmusza do pracy. Jeżeli ktoś nie chce, my byśmy nie chcieli jego. Nie wyobrażam sobie przekraczania Bramy do jakiejś starożytnej katastrofy w towarzystwie poborowego.

Praca wiąże się z pewnymi przywilejami. Dodatkowe przydziały lekarstw i odżywek, osobisty robot, czarnorynkowy tytoń... i to chyba wszystko. A, tak. Jako osoba pracująca mogę zabić każdego, kto mi wejdzie w drogę, kiedy wykonuję zadanie związane z Bramą.

Wielki K. chroni prawa obywatelskie tępaków tylko wobec innych tępaków. Ja mogę ich likwidować bezkarnie, mogę wpaść w szal, jeśli zechcę, i położyć trupem tysiące, a Wielki K. nie powie mi złego słowa.

Zazwyczaj z tego nie korzystam. Chociaż czasami rano, na chodniku...

Gdybym natomiast zabiła drugiego pracownika, musiałabym przedstawić diabłu dobry powód. Ale mogę to zrobić, jeżeli uznam, że potrafię się z tego wytłumaczyć.

Może to jest największa różnica między moim światem a tysiącami lat poprzedzającej go cywilizacji. Nie mamy właściwie rządu.

Wielki K. kieruje wszystkim. Jesteśmy anarchią na końcu czasu. Może to dziwnie brzmi w ustach kogoś, kto nosi tytuł szefa zespołu przechwytyjącego, ale ja po prostu objęłam to stanowisko, kiedy się zwolniło. Gdyby ktoś bardzo chciał je zająć, tobym mu ustąpiła.

Pewnego dnia zabraknie chętnych i będziemy mogli zamknąć Bramę.

Na to popołudnie przewidziano jeszcze jedną akcję. Figurowała w planie od trzech dni. W tym czasie gnomy ze sztabu ustalały szczegóły, dobierały zespoły, planowały strategię. Rzadko mamy aż tyle czasu, uczestniczyłam w akcjach organizowanych w ciągu dwudziestu minut.

Jednak tą miałam kierować osobiście. I znów, nie ja się napraszałam. Wybrał mnie Wielki K., ponieważ byłam najpodobniejsza do stewardesy, która znajdowała się sama w pokoju hotelowym od wieczoru poprzedzającego pechowy lot do godziny przed wejściem na pokład. Taki sposób rozpoczęcia akcji nazywamy sposobem na dzokera i ja miałam być dzokerem.

Stewardesa (właściwie hostessa, bo nie działało się to w roku 1955, tylko w politycznie poprawnych latach osiemdziesiątych) nazywała się Mary Sondergard. Pracowała w Pan American World Airways.

To oznaczało, że mam spędzić noc sama w Nowym Jorku. Nie miałam nic przeciwko temu. Nowy Jork w latach osiemdziesiątych to nie jest złe miejsce. Jeżeli tam sobie nie dasz rady, to nie dasz sobie rady nigdzie [*parafraza amerykańskiego powiedzenia: „Jeżeli dasz sobie radę w Nowym Jorku, to dasz sobie radę wszędzie”*].

Do tego porwania przygotowano duży zespół. Było to zderzenie w powietrzu. Dwa duże odrzutowce wpadły na siebie i nasze zadanie polegało, jak zwykle, na wyciągnięciu z nich pasażerów, zanim spadną na ziemię.

Zebrałam ekipę w sali odpraw i sprawdziłam przebrania. Wszyscy mieli wyglądać jak hostessy, zostali więc podzieleni na dwie grupy według uniformów linii lotniczych. Byli tu Lilly Rangun i jej siostra Adelaida, Mandy Dżakarta, Ralph Boston, Charity Capetown, William Paryż–Frankfurt, Cristabel Parkersburg plus kilkoro innych, których słabo znałam.

Wyglądało mi to na dobry zespół.

I dobrze było nie musieć się śpieszyć. Po moim wystąpieniu Cristabel wytknęła mi, że mówię niewyraźnie i używam słów, które w roku 1980 wyszły z użycia. To się zdarza.

Między sobą używamy języka z elementami tak różnymi, jak trzynastowieczna chińszczyzna i czterdziestowieczny gab. Przed każdą akcją staramy się ograniczyć do języka docelowego, ale łatwo się pogubić. W głowie mam fragmenty tysiąca języków. Czasami wychodzi z tego pomieszanie z poplątaniem.

Wzięłam więc dodatkowy zastrzyk dwudziestowiecznego amerykańskiego angielskiego i miałam nadzieję, że wszystko pójdzie dobrze. W jednej chwili w głowie mi zahuczało od słów i idiomów. Nie zawsze idzie tak gładko. Kiedyś połknęłam wirusa aliteracyjnego w wadliwej pigułce językowej – przez całe tygodnie kaleczyłam babiloński i szpikowałam szwedzki głupimi sylabami, tak że trudno było ze mną wytrzymać.

Przekroczyłam Bramę i natychmiast zorientowałam się, że popełniono błąd.

Staraliśmy się złapać tę Sondergard w łazience, najlepiej w wannie. Nigdy nie jest się bardziej bezbronnym, niż kiedy się leży nago po szyję w wodzie. I tak było, wszystko zgodnie z planem, tyle że zamiast wkroczyć do łazienki, zmateriałizowałam się wychodząc z niej.

Jestem przekonana, że Wielki K. znalazłby na to długie naukowe uzasadnienie, lecz na mój nos głupi syn liczydeł musiał odwrócić znaki.

No i miałam kłopot. Nie mogłam dobrać się do Sondergard, chociaż widziałam ją w wannie, bo po prostu przesłabym przez Bramę z powrotem do przyszłości. Jednak Brama ma tylko jedną stronę (nie jest to najbardziej dziwna jej cecha). Sondergard ze swojego miejsca nie widziała Bramy, chociaż patrzyła przez nią. To się zgadzało, ponieważ z jej strony Bramy nie było. Gdyby ją przekroczyła, znalazłaby się w sypialni.

Dlatego przyciągałam jej uwagę, pomachałam ręką, uśmiechnęłam się przesadnie i zrobiłam krok w bok. Przestała mnie widzieć. Czekałam.

Odgłos był taki, jakby wyplusnęła większość wody z wanny. Sondergard coś zobaczyła... albo jej się wydało, że coś zobaczyła.

– Co jest, do cholery? – Nie miała przyjemnego głosu, kiedy była przestraszona. – Kto... cholera... jest tam kto? Hej!

Robiłam w myśli notatki. Głos jest najtrudniejszy do podrobienia, a będę musiała ją naśladować przez jakiś czas. Gdyby tylko przestała wykrzykiwać.

Założyłam, że będzie musiała wyjść, żeby sprawdzić, co się dzieje, niezależnie od tego, jak jest przestraszona. Miałam rację. Wybiegła z łazienki, przechodząc przez Bramę, jakby jej nie było. Z jej strony tak to zresztą wyglądało. Zdążyła owinąć się ręcznikiem.

– Jezu Chryste! Co robisz w moim... – Słowa zawodzą w takich sytuacjach. Czuję, że powinna coś powiedzieć, ale wszystko brzmiałoby tak głupio. Może:

„Przepraszam, czyja nie widziałam pani w lustrze?”

Przybrałam mój najlepszy panamerykański uśmiech i wyciągnęłam rękę.

– Przepraszam za wtargnięcie. Zaraz wszystko wyjaśnię. Widzi pani, ja... – Palnęłam ją w skroń, zatoczyła się i ciężko upadła. Ręcznik spadł na podłogę. – ...zarabiam na studia. – Zaczęła się podnosić, poprawiłam jej więc w szczękę kolanem.

Uklękałam, sprawdziłam dziewczynie puls i potarłam kostki o dywan. Głowy są zadziwiająco twarde. Można sobie zrobić krzywdę, bijąc w głowę. Sondergard nie zrobiłam krzywdy, obluzowałam jej tylko kolanem parę zębów.

Należało przerzucić ją przez Bramę, ale musiałam się zatrzymać. Boże, tak wyglądać bez skórokombinezonu, bez protez! Serce omal mi nie pękło z zazdrości.

Złapałam ją pod kolana i zaciągnęłam do Bramy jak worek mąki. Ktoś wyciągnął ręce, chwycił jej mokre stopy i pociągnął. Żegnaj, moja słodka. Co byś powiedziała na długą podróż?

A potem nie było nic specjalnego do roboty. Usiadłam na brzegu jej łóżka, czekając aż minie podniecenie, a potem zrzuciłam pantofle i wzięłam z nocnego stolika jej torebkę.

Pogrzebałam w niej sobie. Znalazłam napoczętą paczkę Virginia Slims i drugą jeszcze w celofanie. Zapaliłam cztery, zaciągnęłam się głęboko i opadłam na plecy.

Rzadko zdarza się wolna chwila podczas akcji. Była dopiero ósma wieczorem.

Samolot Sondergard odlatywał następnego dnia wieczorem. Nagle opanowały mnie myśli zupełnie niegodne szefa akcji. Za moimi oknami rozciągało się Wielkie Jabłko [*synonim Nowego Jorku*], a ja miałam ochotę wycisnąć z niego trochę soku.

Rozsunęłam zasłony i wyrzesałam na zewnątrz. Oceniałam, że znajduję się na trzecim i ostatnim piętrze jednego z długich, nowych (w latach osiemdziesiątych) lotniskowych moteli.

Nie widziałam samego lotniska i nie byłam pewna, czy to La Guardia, czy Idlewild (przepraszam, J.F. Kennedy). W dole rozciągało się jakieś centrum handlowe, parking był zatłoczony samochodami ludzi robiących gwiazdkowe zakupy. Naprzeciwko mieściła się dyskoteka.

Obserwowałam wchodzące i wychodzące pary, starając się odpędzić chandrę.

Przyjemnie by było pójść tam i przetańczyć całą cholerną noc. Co tam, wystarczyłoby wziąć wózek na zakupy i pojeździć między półkami wielkiego jak stodoła supermarketu.

Gdybym była młodsza, zrobiłabym to. Dla szefa zespołu przechwytyjącego taka radość nie wchodziła w rachubę. Przepisy bezpieczeństwa były tu nieubłagane. Należało minimalizować ryzyko, a jednonoga para trędowata agentka podskakująca do muzyki Bee Gees nie kwalifikowała się jako ryzyko konieczne. A jeśli mnie potrafi samochód na parkingu? A jeśli dostanę ataku szalu pod wpływem kolęd nadawanych w supermarkecie? Z punktu widzenia planu „Brama” nie liczyło się,

czy będę żyć, umrę lub zwariuję, ale dopuszczenie, żeby jakiś doktor z lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku zobaczył moją bioniczną nogę, to inna sprawa.

Zaciągnęłam więc zasłony z powrotem.

Podniosłam słuchawkę i zamówiłam wystawną kolację do pokoju, potem odkryłam, że Sondergard prawie nie ma pieniędzy. Miała dużo plastikowych kart, ale nie byłam przygotowana na podrabianie jej podpisu na czekach. Sięgnęłam więc do własnej torebki i wyciągnęłam zwój banknotów, które zabrałam ze sobą. Sprawdziłam daty na paru (może przesadna ostrożność, ale nigdy nie zaszkodzi się upewnić), a nawet potarłam jeden palcem, żeby mieć pewność, że farba wyschła.

Nie było wątpliwości, że Departament Skarbu da się nabrać.

Usiadłam na łóżku i w oczekiwaniu najedzenie czytałam Biblię Gideona. Ten Gideon niewątpliwie miał swoiste poczucie humoru. Weźcie choćby Księgę Rodzaju. Właśnie uwięzłam w tym, kto kogo zrodził, kiedy zjawił się kelner. Oprócz krwistego befsztyka zamówiłam szóstkę Budweisera i karton Cameli. Zapaliłam dwa papierosy, włączyłam telewizor i zabrałam się do befsztyka. Mięso było mdłe, jak całe jedzenie w dwudziestym wieku. Przeszukałam szafy, ale kulki przeciwmolowe wyszły już z użycia w hotelach, pożarłam więc befsztyk, jaki był.

Potem wzięłam ciepłą kąpiel i wyciągnęłam się na łóżku, ruszając palcami bosych stóp na tle telewizora.

Komu potrzebna dyskoteka? Uświadomiłam sobie, że jest mi bardzo dobrze.

Przyjemnie było być zupełnie samej. Obejrzałam wiadomości i program Johnny'ego Carsona.

Jako nocny film szedł *Kandydat* z Robertem Redfordem. Mogłabym jeść tego faceta łyżkami. Byłam w nim zakochana, odkąd zobaczyłam *Butch Cassidy i Sundance Kid* w samolocie podczas jednej z akcji.

Mogę tylko powiedzieć, żeby lepiej uważał, do jakiego samolotu wsiada. Jeżeli kiedykolwiek wpadnie w moje ręce, Sherman pójdzie na złom.

Spałam do późna. Nie pamiętam, kiedy ostatni raz mi się to zdarzyło.

Telewizja dotrzymała mi towarzystwa przez całe popołudnie, aż wreszcie nadszedł czas, żeby się ubrać, wezwać taksówkę i jechać na lotnisko. Dzień był piękny. Autostradę przykrywał gruby koc spalin. Powietrze było tak nasycone, że paliłam Camele po jednym.

Miałam świadomość, że jestem ponad wszelką wątpliwość jedyną osobą w Nowym Jorku, która napawa się tutejszym powietrzem, ale to było tym przyjemniejsze. Pocięrcie trochę, wy zdrowe dranie!

Celowo przyjechałam w ostatniej chwili. Kiedy dojechałam na miejsce, pozostałe hostessy już wsiadały do samolotu. Udało mi się ograniczyć rozmówki do minimum.

Ponieważ niektórzy członkowie załogi znali Sondergard dobrze, musiałam

uważać.

Udawałam, że mam kaca. Chwyciło. Widocznie nie było to czymś wyjątkowym.

Przez pierwszą część lotu trzymałam się z dala od innych, pracując jak szalona.

Obsługa pasażerów nie zostawiała mi czasu na pogaduszki z resztą załogi. Wywołało to zdziwione spojrzenia; zrozumiałam, że Sondergard nie była dumą Pan Amu, ale nie miało to znaczenia. W trakcie lotu podmieniałam stewardesy jedną po drugiej, w miarę jak Brama pojawiała się i znikwała w toaletach.

To prosta sztuczka. Mam przy zegarku wskaźnik wykrywający obecność Bramy.

Kiedy poczułam łaskotanie w przegubie, po prostu szłam do toalety, otwierałam drzwi i wołałam którąś ze stewardes.

– Spójrz na to – mówiłam z obrzydzeniem. Były niezmiennie zaciekawione, jaką to nową zbrodnię popełnili pasażerowie w ich królestwie. (Stewardesy odnoszą się do baranów prawie z taką samą pogardą jak ja). Kiedy znalazła się w odpowiedniej pozycji, dostawała kopniaka w tyłek i zanim zdążyła złapać oddech, lądowała po drugiej stronie. Jej zastępczyni przybywała prawie równie szybko.

Kiedy uprzątnięto tace z kolacją, zaczęliśmy stary numer z przerzedzaniem pasażerów.

Jest wiele sposobów przechwytywania. Jeżeli to tylko możliwe, najpierw zaczynamy przerzedzać. Często pomagają nam w tym filmy. Gdy kabina jest zaciemniona, ludzie są mało spostrzegawczy. Można wziąć tego lub owego i na ogół nikt ich nie szuka. Kiedy została zastąpiona ostatnia stewardesa, jeden z członków zespołu zajął stanowisko przed toaletami w środkowej części samolotu. Jeśli sytuacja pozwala, pilnujemy, żeby pasażer, który chce się wysikać, zrobił to dopiero za pięćdziesiąt tysięcy lat.

Każda akcja jest jedyna w swoim rodzaju, każda stwarza inne problemy.

W tej czyściliśmy dwa wielkie odrzutowce jednocześnie. To dobrze (im więcej, tym lepiej) i źle, bo Brama może się pojawić w danej chwili tylko w jednym miejscu, a to oznacza, że musi być przenoszona z jednego samolotu do drugiego.

Oba loty były transkontynentalne. To może się wydawać plusem, ale zazwyczaj tak nie jest. Nie możemy wybierać ludzi w pierwszej godzinie lotu i pozwolić, żeby samolot leciał pusty przez pół kontynentu, licząc na to, że pilot ani razu nie wyjrzy z kabiny.

W tym przypadku Boeing zachował częściową zdolność do utrzymania się w powietrzu, co oznaczało, że prawdziwy pilot musiał pozostać w nim do końca. Zabranie go i zastąpienie kimś z naszych, nawet kamikadze, stwarzało zbyt duże ryzyko, że samolot spadnie w miejscu innym, niż to zostało zapisane w historii.

Z DC-10 mieliśmy dużo większą swobodę. Gdyby przyszło co do czego, moglibyśmy zwinąć pilotów i po prostu wykonywać instrukcje ośrodka kontroli

ruchu lotniczego, bo to one miały spowodować tę katastrofę.

Przerzedzanie szło dobrze. Mieliśmy przed sobą jeszcze dwie godziny lotu, a przechwyciliśmy już czterdziestu czy pięćdziesięciu pasażerów Boeinga. Samolot wystartował mając prawie komplet.

Zdawałoby się, że ludzie powinni byli zauważyć puste fotele, ale faktem jest, że zawsze upływa dużo czasu, zanim się zorientują, co się dzieje. Częściowo wynika to z tego, że bardzo starannie dobieramy kandydatów do wyjęcia. Na przykład nigdy nie wzięlibyśmy dziecka bez matki, bo mamusia zaczęłaby szukać. Ale matka z płaczącym dzieckiem jest idealna. Sąsiedzi mogą na pewnym poziomie świadomości zauważyć, że płacz ustał, ale nigdy nie próbują dociekać dlaczego. Jest to dar losu, którego się nie kwestionuje.

W ten sam sposób wypatrywaliśmy osób najbardziej niezadowolonych z ciasnoty, na przykład kogoś siedzącego obok wysokiego sąsiada albo trzech nieznanymi mężczyzn siedzących obok siebie, zwłaszcza jeżeli usiłowali pracować. Kiedy gość w środku wstał, żeby się napić albo odwiedzić toaletę, było pewne, że nie wróci. W takim przypadku też nie słyszałam, żeby ktoś się poskarżył.

Jednak najważniejszym czynnikiem działającym na naszą korzyść była niewyobrażalna natura tego, co robiliśmy. Zdarzało mi się widzieć kogoś zaniepokojonego, gdy przechodziłam między pasażerami. Może zauważył, że po starcie wszystkie miejsca były zajęte, a teraz jest tyle wolnych. Coś tu nie gra. Ale logika jest po naszej stronie. Gość wie, że nikt nie wyszedł z samolotu na papierosa. Zatem logika podpowiada, że wszyscy znajdują się nadal na pokładzie, muszą więc przebywać w innej części samolotu. Nikt nie wykracza poza to rozumowanie, nawet kiedy wybierzemy połowę pasażerów.

Uznałam, że wszystko idzie gładko i warto rzucić okiem na ten drugi samolot, DC-10.

I tak, kiedy pojawiła się Brama, przeszłam do przyszłości, przebrałam się w uniform United, podczas gdy sztab namierzał drugi samolot, i weszłam na pokład Lotu 35 United.

Jeszcze jedna dobra cecha wielkich odrzutowców: nikt nie zauważa nowego członka załogi.

Ponieważ tutaj akcja była mniej ryzykowna, zespół postępował jeszcze bardziej agresywnie. Pod różnymi pretekstami wzywali pasażerów do tylnej części samolotu, skąd już nie wracali. Oceniałam sytuację pozytywnie i dałam znak Ralphowi Bostonowi. Poszedł za mną do kuchni.

– Jak idzie? – spytałam.

– Łatwizna. Za kilka minut chcemy przejść do fazy końcowej.

– Jaki jest czas lokalny?

– Zostało nam dwadzieścia minut.

To potrafi zbić człowieka z tropu. Kiedy opuściłam Boeinga 747, miał przed

sobą trzy godziny lotu, co oznaczało, że znajduje się gdzieś nad Środkowym Zachodem. Ten samolot leciał już nad Kalifornią, w dwie i pół godziny później. Można dostać bólu głowy.

Ale niby dlaczego nie działać w ten sposób? Po co na przykład mieliby tam w przyszłości czekać dwadzieścia cztery godziny, podczas gdy ja oglądam sobie program Carsona w nowojorskim motelu?

Rzecz jasna, nie czekali. Jak tylko Brama znikła z mojego pokoju w motelu, sztab przesunął ją do toalety Boeinga w dniu następnym. Z punktu widzenia Lawrence'a ja wyszłam, Sondergard wpadła, Brama błysnęła i pojawiła się pierwsza stewardesa, którą następnego dnia wepchnęłam do toalety.

Trzeba czasu, żeby do tego przywyknąć.

– Coś nie tak? – spytał Ralph.

W tej akcji nie udawał stewarda. Dzięki swojemu skórokombinezonowi stał się idealną kopią bardzo czarnej i bardzo kobiecej osoby, której pewnie nawet nie znał z nazwiska. Ralph jest drobnej budowy i pracuje w moim zespole od dawna. Od przeszło roku.

– Nie. Możemy zaczynać. Czy mam zostać tutaj, czy wracać do tamtego samolotu?

– Lilly jest sama w pierwszej klasie. Mogłabyś jej tam pomóc.

Tak też zrobiłam. Formalnie, rzecz jasna, to ja dowodzę, ale Ralph dowodził na DC-10, a Cristabel na 747. Przy takim porwaniu jak to, pozwalam kierować akcją szefom poszczególnych podzespołów.

Operacja w pierwszej klasie przebiegała sprawnie. Używaliśmy standardowego zagrania „kawa czy herbata”, opierającego się na naszej szybkości i ich ociężałości.

Pochyliłam się nad dwoma pierwszymi fotelami po lewej stronie.

– Czy jesteście państwo zadowoleni? – spytałam z szerokim uśmiechem.

Pop, pop. Dwa naciśnięcia spustu, tuż przy głowie, tak żeby reszta nic nie widziała.

Następny rząd.

– Cześć. Jestem Louise. Przelećcie mnie.

Pop, pop.

Zbliżałyśmy się do końca kabiny, a nikt się nie zorientował. Wreszcie parę osób wstało i przyglądało się nam z zaciekawieniem. Spojrzałam na Lilly, ona kiwnęła głową i załatwiłyśmy resztę szybkim ogniem. Cała kabina pierwszej klasy była teraz pogrążona w spokojnym śnie, co oznaczało, że nikt tu nam nie pomoże ciągnąć nieprzytomnych do Bramy.

Jest to absolutnie niesprawiedliwe, ale nie ma rady. Dodatkowy przywilej dla latających pierwszą klasą.

Pośpieszyłyśmy do turystycznej, która zawsze stwarza większe problemy. Tu nie zaczęto jeszcze układać pasażerów do snu. Ralph kontynuował numer z

przerzedzaniem.

Właśnie pochylił się nad mężczyzną siedzącym przy przejściu i spytał, czy nie zechciałby wyjść z nią (czyli z nim) na chwilę.

Facet wstał i plecy Ralpha wybuchły. Coś uderzyło mnie w prawe ramię. Obróciłam się na pięcie i przykucnęłam w pozycji strzeleckiej.

Dostrzegłam czerwień na swoich dłoniach i ramionach.

Pomyślałam: porywacz, ten facet jest porywaczem.

I jeszcze: dlaczego zwlekał tak długo?

I: porwania były rzadkością w latach osiemdziesiątych.

I: czy dostałam w ramię? Czy Ralph nie żyje?

I: ten skurwysyn to terrorysta!

Wydawało się, że to trwa wieczność.

W rzeczywistości pocisk trafił mnie w ramię, obróciłam się pod wpływem impetu, uniosłam lewą rękę, by nastawić przełącznik na „likwidację”, przykucnęłam, wycelowałam starannie i rozniosłam faceta na strzepy. Górna część jego tułowia z głową oderwały się od reszty ciała i spadły o sześć rzędów dalej w przejściu. Lewa ręka wylądowała komuś na kolanach, a prawa, wciąż ściskająca rewolwer po prostu spadła na podłogę.

Wiem, mogłam go tylko ogłuszyć.

Miał szczęście, że tego nie zrobiłam. Gdybym zabrała go żywego za Bramę, usmażyłabym jego jaja na śniadanie.

Nie warto opisywać piekła, jakie się rozpętało. A gdyby nawet było warto, miałabym z tym trudności. Długo siedziałam w przejściu, patrząc na krew.

Ekipa musiała ogłuszyć prawie wszystkich. Jedynym pocieszeniem była liczba pasażerów, których udało się przerzucić w fazie przerzedzania. Resztę musieliśmy wynieść na własnych grzbietach.

Kiedy Lilly wreszcie przy mnie przyklęła, myślała, że jest ze mną gorzej, niż było w rzeczywistości. Chyba się bała, że mogę się rozpaść pod dotknięciem.

– W większości to krew Ralpha – powiedziałam, choć wcale nie byłam tego pewna. – Dobrze się stało, że zatrzymałam pocisk. Mógłby przebić kadłub.

– Chyba można i tak na to spojrzeć. Musieliśmy zdjąć załogę kabiny pilota, Louise.

Usłyszeli awanturę.

– Nie szkodzi. Akcja trwa. Przerzucimy ich.

Zaczęłam się podnosić. Raz, dwa i...

Nie tym razem.

– Nie możemy ich jeszcze przerzucać – powiedziała Lilly. Nie podobał mi się wyraz niepokoju na jej twarzy, kiedy próbowałam wstać. To nic, pokażę jej. – Składamy ich przy toalecie – mówiła Lilly. – Ale Brama jest teraz w Boeingu.

– Gdzie jest Ralph?

- Nie żyje.
- Nie zostawiaj go tutaj. Zabierz go z nami.
- Oczywiście. I tak bym musiała, składał się głównie z protez.

Udało mi się podnieść na nogi i tak było trochę lepiej. To nie musi być katastrofa, powtarzałam sobie. Jeden zabity, jedna ranna, nadal panujemy nad sytuacją. Ale zaczynałam dostrzegać złe strony opróżniania dwóch samolotów naraz. Lubię wiedzieć, że Brama jest i czeka w ciągu całej akcji.

My nie mogliśmy na to liczyć.

Najbardziej ograniczającym czynnikiem przy korzystaniu z Bramy jest prawo czasowe, które mówi, że może się ona otworzyć tylko raz w danym czasie. Raz i tylko raz.

Gdybyśmy wysłali Bramę do, powiedzmy, siódmego grudnia 1941 roku, od szóstej do dziewiątej na wyspę Oahu, moglibyśmy porwać większość załogi krążownika *Arizona*, ale wówczas te trzy godziny pozostałyby dla nas zamknięte na zawsze. Jeżeli coś ciekawego dzieje się podczas tych samych trzech godzin w Chinach albo w Amsterdamie, albo nawet na Marsie, trudno. Nie możemy nawet zobaczyć wydarzeń z tych godzin na monitorach czasu.

Powoduje to kolejny paradoks. Strumień czasu jest upstrzony białymi plamami.

Większość jest wynikiem naszych akcji albo wypraw w czasie naszych poprzedników. Ale niektóre są wynikiem wypraw, które dopiero nastąpią. Innymi słowy, za kilka lat albo za kilka dni ktoś uzna, że warto i należy przenieść się w ten czas, do miejsca, które jest nam nie znane.

A ponieważ się tam wyprawimy, ten odcinek czasu jest niedostępny dla naszych monitorów.

Zjawisko to jest znane jako „cenzura czasowa”. Nie mogliśmy spojrzeć wstecz, zobaczyć siebie i dowiedzieć się, co zrobimy. Wiedzieliśmy, że istnieje biała plama i że nikt jeszcze nie wyprawiał się w tamten czas, ale nie mogliśmy się dowiedzieć, dlaczego ktoś postanowi tam się wybrać.

Jeżeli uważacie, że coś z tego rozumiem, to mnie przeceniacie. Po prostu przestrzegam reguł, których mnie nauczono, i robię, co mogę.

Moja prawa ręka była bezużyteczna. Nie powiem, żeby mnie bardzo bolała. Nie zwracałam więc na nią uwagi i wyciągałam barany lewą ręką za włosy, sztuczka znana w naszym żargonie jako środek na ból głowy z epoki kamiennej.

Wreszcie Brama się pojawiła i przerzuciliśmy ich jak worki. Zajęło nam to góra trzy minuty. Jak tylko skończyliśmy, Brama ponownie zniknęła, prawie natychmiast pojawiła się z powrotem i zaczęły napływać pustaki. Nie więcej niż pięć procent miało twarze. DC-10 miał uderzyć z taką siłą o ziemię, że szkoda było naszego wysiłku. Wiele ciał przychodziło w workach, po prostu fragmenty nadpalonych ciał, które rozrzucaliśmy po samolocie. W pewnym momencie widocznie straciłam przytomność. Wiem tylko, że ktoś przepchnął mnie przez

Bramę, ale tego nie pamiętałam. Siedziałam na podłodze i ludzie z zespołu medycznego chcieli ułożyć mnie na noszach, lecz im nie pozwalałam. Coś mnie niepokoiło.

– Kto ma broń Ralpa?! – wrzasnęłam.

Lilly spojrzała na mnie dziwnie i już miała wracać, ale przewrócili ją członkowie naszego zespołu, wbiegający przez Bramę.

– Myślałam, że ty masz – powiedziała.

– Nie mam.

– Szukacie Ralpa? – zapytał ktoś. – Ralph nie żyje.

– Gdzie jest jego paralizator?

Byłam już na nogach i biegłam do Bramy. Nie miałam pojęcia, ile czasu zostało po tamtej stronie do zderzenia, ale to się nie liczyło. Nawet gdyby chodziło o sekundy, musiałam wracać.

Rozległa się syrena ostrzegawcza. Spojrzałam w górę, zdawało mi się, że widzę Lawrence'a rozpaczliwie machającego rękami za szybą pomieszczenia sztabu. Odwróciłam się i coś krzyknęłam, ale Lilly już była za Bramą.

W każdym razie do połowy.

Zdarzyło się z nią coś niesamowitego. Pochylona do przodu, przeszła przez Bramę głową i ramionami, prawie do pasa.

Wtedy Brama się zamknęła.

Rozważaliśmy często, co może się zdarzyć w takim przypadku, ale nie wiedzieliśmy, bo nikt tego nie próbował. Teoria nie była jednoznaczna. Wydawało się pewne, że ciało znajdujące się w połowie drogi nie zostanie po prostu przecięte na pół. Proces był znacznie bardziej skomplikowany. Człowiek przechodzący przez Bramę nigdy nie jest podzielony na dwa kawałki. Całość ciała jest zachowana w niewidocznym dla nas wymiarze.

Lilly nie została przecięta na pół. Znikła. A kiedy to się stało, budynek zatrzęsł się jak od wybuchu. Rozdzwoniły się alarmy.

Podniesiono mnie z podłogi i położono na noszach. Widziałam miotających się gorączkowo gnomów w sztabie. Potem straciłam przytomność.

Poinformowano mnie o wszystkim, kiedy lekarze naprawili mi bark.

Wybuch, który słyszałam, był wynikiem przeciążenia przez ciało Lilly systemu energetycznego zasilającego Bramę. Ze względu na niezbędne naprawy, Brama przez dwa dni będzie nieczynna.

Co stało się z Lilly?

Wolę o tym nie myśleć. Przechodząc przez Bramę, wkraczamy w strefę, która pod wieloma względami nie mieści się w ludzkim pojęciu, jednak pod innymi względami wpływa na ludzki umysł w sposób nieprzewidywalny. Niektórzy ludzie wychodzą z Bramy jako wyjące zwierzęta i tacy już zostają. Tracimy w ten sposób pięć procent baranów i pewną liczbę nowicjuszy z zespołów przechwytyjących.

Lilly tam została. Na zawsze.

5.

SŁYNNNE OSTATNIE SŁOWA

Relacja Billa Smitha

Nigdy nie doszedłem do tego, kto zorganizował tymczasową kostnicę. Briley by się brzydził, ale widocznie Rog Keane miał w zespole kogoś, kto już się tym kiedyś zajmował.

Dość, że kiedy tam przyjechaliśmy, wszystko zostało już zorganizowane.

Osobiście uważam, że byłoby znacznie schludniej i milej, a także bardziej miłosiernie, gdyby wykopać wielki dół w miejscu, gdzie samolot spadł, zgarnąć tam wszystkich i postawić wielki kamień z nazwiskami ofiar. Ale wiem, że nikt na ten pomysł nie pójdzie. Rodzina zawsze chce mieć określone ciało w określonym grobie.

Przy niektórych katastrofach możemy ich zadowolić. Przy najgorszych nie ma na to żadnych szans, ale muszą się przekonać na własne oczy. Wszystko, co zostało z wujka Charlie'ego zmieści się do śniadaniówki.

Co można zrobić? Pokazać im urwaną dłoń i pytać, czy poznają obrączkę? Przecież większość ciał nie ma twarzy.

Kostnica mieściła się w szkolnej sali gimnastycznej. Parking był pełen samochodów członków rodzin, stał tam też wóz lokalnej stacji telewizyjnej.

– Ostrożnie, Bill. – Tom odciągnął mnie łagodnie dalej od kamery. – Nie chcesz chyba wylądować w wieczornych wiadomościach. Nie w ten sposób.

– Mam nadzieję, że piekło istnieje, Tom. A kiedy ci faceci tam trafią, diabeł podetknie im kamerę pod nos i spyta, jak się czują.

– Jasne, Bill, jasne.

Ułżyło mi, kiedy znalazłem się w sali z nieboszczykami.

Ciał było może siedemdziesiąt, może osiemdziesiąt. To znaczy tyle długich, wąskich worków na ciała leżało w równych rzędach. Na drugim końcu sali leżało dużo więcej worków bez żadnego określonego kształtu. Z Waszyngtonu przyjechał zespół FBI. Zdjęli już odciski palców ze względnie całych ciał i teraz pracowali nad palcami, które udało się im znaleźć.

Później zostaną przebadane szczęki, chociaż bylibyście zdziwieni, jak niewiele osób udaje się zidentyfikować na podstawie uzębienia.

Przedstawiono nas odpowiedzialnemu agentowi specjalnemu z Oakland, a waszyngtońskich chłopaków od odcisków palców już znaleźliśmy. FBI otrzymało tę mało przyjemną robotę tylko dlatego, że mieli w kartotece więcej odcisków niż

wszystkie inne organizacje razem wzięte. Jeżeli się czyta ich materiały, można pomyśleć, że mają dziewięćdziesiąt dziewięć procent identyfikacji zwłok. W rzeczywistości po paru tygodniach większość rodzin zostanie powiadomiona, że nie udało się znaleźć ani jednego kawałka ich krewniaka, i w wielu kaplicach odbędą modły za duszę zamiast pogrzebów. Dużo spalonego mięsa wywieziono gdzieś, żeby się tego po cichu pozbyć. Nigdy nie pytałem, gdzie się to wywozi. Lekarze i grabarze powinni mieć jakieś swoje tajemnice.

Spotkaliśmy się z koronerami powiatów Contra Costa i Alameda, szefami zespołów paramedyków i strażaków oraz ze sporą grupą lekarzy. Panował tu ożywiony ruch.

Pracowałem przy katastrofach, gdzie pozwalano krewnym wędrować po kostnicy i zaglądać pod koce. Nie ma sposobu, żeby to było ładne i nie powodowało mdłości, ale są jakieś granice. Tutaj rozpoznawanie odbywało się głównie za pomocą przedmiotów osobistych. W sąsiednim pomieszczeniu stały rzędy stołów z nadpaloną odzieżą i biżuterią, wszystko oznakowane numerem ciała, z którego zostało zdjęte. Tłum ludzi oglądał tę makabryczną wystawę.

Tom i ja szukaliśmy Freddie'ego Powersa, agenta, który ściągnął nas tu do kostnicy.

Wypatrzyliśmy go na drugim końcu pokoju z rzeczami osobistymi. Jest on mniej więcej typowym jasnowłosym, wykształconym Teksaszczykiem w służbie państwowej, wysokim i konserwatywnie ubranym.

– Cześć, Bill, cześć, Tom. Mam tutaj coś, co was może zainteresować. – Jeszcze niedawno powiedziałby: „*Howdy*”. Mówią, że z człowieka nie da się wyprać Teksasu, ale Freddie pracował nad sobą. Mówił niemal zupełnie poprawnie. – Bill Smith, Tom Stanley, a to jest Jeff Brindle.

Brindle – niski, kędzierzawy, pod trzydziestkę, ubrany w zakrwawiony kitel – był lekarzem. Chętnie się uśmiechał i miał lekko wystające zęby.

– Jeff to wszystko poskładał i zwrócił moją uwagę – mówił Freddie. Zdawało mi się, że jest nieco zbity z tropu. Ściśle biorąc, jego obowiązkiem była identyfikacja trupów. Może obawiał się, że wkracza na moje terytorium. A może chodziło o coś innego.

– Właściwie nie wiem, czy to ma jakieś znaczenie, ale niewątpliwie jest cholernie dziwne – wtrącił Brindle. Spojrzał na Freddie'ego. – Mam im pokazać?

– Chciałbym, żeby ktoś to zrobił – powiedziałem.

Freddie kiwnął głową i wziął do ręki męski zegarek, Timex na elastycznym pasku.

Pasek był poplamiony zakrzepłą krwią, a szkiełko popękane, ale sekundnik działał.

– Choć się uszkodzi, ale chodzi – przeciągnął Freddie. Spojrzałem na niego. Kiedy Freddie przeciągał z teksaska, znaczyło to, że zbliża się niespodzianka.

Spojrzałem na zegarek. Wskazywał dziesiątą czterdzieści pięć i parę sekund. Spojrzałem na swój zegarek i stwierdziłem, że pokazuje bez paru sekund dziesiątą.

– U mnie jest dziesiąta i osiemnaście sekund – powiedział Tom.

Freddie zaprosił mnie gestem do następnego stołu, gdzie ułożył około dwudziestu zegarków. Pochyliłem się, żeby je lepiej obejrzeć.

To i owo rzucało się w oczy od razu. Wszystkie chodziły, choć niektóre nie miały szkiełek. Wszystkie pokazywały tę samą godzinę, dziesiątą czterdzieści pięć. Było w nich coś jeszcze, ale na razie nie potrafiłem tego nazwać.

– Wszystkie są mechaniczne – zauważył Tom. Rzeczywiście, to było to.

Freddie nic nie mówił, zaprowadził mnie tylko do drugiego zbioru zegarków.

Tych było więcej, ale widziałem dalej na stole, że główna masa tych dziwnych eksponatów dopiero mnie czeka.

Znów same mechaniczne. Tutaj żaden nie chodził, niektóre były tak stopione, jakby zostały wycięte z obrazu Salvadora Dali. Żaden z tych, które dawały się odczytać, nie wskazywał godziny późniejszej niż dziesiąta. Większość pokazywała dokładnie dziewiątą pięćdziesiąt sześć.

– Samolot uderzył o ziemię o dziewiątej jedenaście – powiedział Freddie.

– A jedenaście i czterdzieści pięć daje pięćdziesiąt sześć. Spieszą się o czterdzieści pięć minut, podobnie jak tamte. Co macie jeszcze?

Chyba zrozumiał, że zaczynam się niecierpliwić, bo dalej już mówił szybciej.

– Te cztery tutaj, też mechaniczne, pokazują pierwszą czterdzieści pięć. Wszystkie chodzą. A tu mamy tuzin mechanicznych zatrzymanych, które pokazują wszystkie dwunastą pięćdziesiąt sześć.

– Ci ludzie nie przestawili zegarków na czas pacyficzny – zaproponował wyjaśnienie Tom.

– Ja też tak myślę.

Zastanowiłem się nad tym. Nic mądrego nie przychodziło mi do głowy, ale musiałem coś powiedzieć.

– Czy te zegarki są z jednego samolotu, czy z obu?

– Z obu. Przeważnie z 747. Wątpię, czy znajdziemy wiele z DC-10, ale te, które znaleźliśmy, zgadzają się z resztą.

W końcu Tom wyraził słowami, co nam wszystkim nie dawało spokoju.

– Kto nastawia zegarek czterdzieści pięć minut do przodu? Mnie nie przychodził do głowy żaden powód, dlaczego pasażerowie dwóch samolotów wpadli na ten sam genialny pomysł.

– Dziękuję, Freddie – rzekłem zbierając się do odejścia. – Nie wiem wprawdzie, co to znaczy, ale na pewno się tym zajmiemy.

Freddie zrobił minę, jakby coś przeszkrobał.

– To jeszcze nie wszystko, Bill – powiedział. Powiniennem być się domyślić.

Zaprowadził mnie kawałek dalej, gdzie rozłożono sporo zegarków

elektronicznych.

Wszystkie były ślepe, zmiążdżone albo nadtopione. – Może te staromodne są najlepsze – mówił Freddie. – W każdym razie te z kólkami zębatymi i sprężynami wyszły z tego lepiej.

Ale mamy też kilka, które przetrwały. Jak ten.

Pokazał mi nie uszkodzony Seiko. W okienku obok daty migwały cyferki w nieodgadniony elektroniczny sposób. Trzecia czternaście, jedenasty grudnia.

– Temu się całkiem popieprzyło – stwierdziłem. – Nie ma nawet nic wspólnego z resztą.

– Mnie to mówisz? Odlicza czas w sposób, który nazwałbym nieco dziwnym.

Przyjrzyj mu się bliżej.

Tym razem zwróciłem uwagę na sekundy. Czterdzieści, trzydzieści dziewięć, trzydzieści osiem, trzydzieści siedem... Rzuciłem zegarek na stół.

– Do diabła, Freddie, każda katastrofa wywołuje jakieś swoje dziwactwa. Skoro wszystkie tamte zegarki śpieszą się o czterdzieści pięć minut, mogę uznać, że to ma jakiś związek z wypadkiem. Albo przynajmniej może mieć. Ale jeden zegarek, który zwariował i chodzi do tyłu... Daj spokój!

Freddie westchnął.

– Zgodziłbym się z tobą, przyjacielu, gdyby nie dwie sprawy. Po pierwsze, miałem trochę do czynienia z elektroniką i nie potrafię wytłumaczyć, co mogłoby spowodować, żeby zegarek zaczął chodzić do tyłu. Rzecz w tym, że wszystko, co by go aż tak skołowało, zniszczyłoby cały chip, rozumiesz?

Nie rozumiałem, ale dzisiaj nikt się nie przyzna, że nie wie czegoś o komputerach, żeby nie wyglądać jak stary dwupłatowiec. Wzruszyłem więc tylko ramionami.

– Powiedziałeś, że chodzi o dwie sprawy. Jaka jest druga?

Wyciągnął tylko rękę i pokazał mi. Dalej na stole leżały jeszcze trzy zegarki elektroniczne. Na wszystkich była trzecia trzynaście i wszystkie chodziły do tyłu.

Donald Janz znajdował się w strasznym stanie. Wyglądał, jakby miał w żyłach więcej valium niż krwi. Był to jeszcze dzieciak, najwyżej dwudziestopięcioletni, młodszy niż Tom Stanley, ubrany w pogniecioną białą koszulę z przekrzywionym krawatem. Bez przerwy skubał wąsy i drapał się po nosie, zasłaniając na różne sposoby twarz. Siedział między Janem Carpenterem ze Związku – przepraszam, Zrzeszenia Kontrolerów Ruchu Lotniczego i jakimś palantem, w którym na odległość wyczułem adwokata.

Siedzieliśmy w pokoju narad na lotnisku w Oakland i zbliżała się druga po południu.

Od rana zjadłem tylko pączka i kanapkę z szynką, mój żołądek nie był więc w najlepszym stanie, ale wreszcie przygotowano taśmę z DC-10 i chciałem ją przesłuchać w obecności Janza.

Przesłuchiwanie taśmy z kabiny załogi na miejscu wypadku nie jest całkiem zgodne z regulaminem. Oryginalna taśma znajdowała się już w drodze do Waszyngtonu. Tam Krajowa Komisja Bezpieczeństwa Transportu dysponuje skomplikowanymi urządzeniami, które czyszczą, wzmacniają i analizują okropne zazwyczaj nagrania, jakie otrzymujemy z rejestratora rozmów. Przepuszczenie taśmy przez ten młyn wymaga zwykle około dwóch tygodni. Dlatego czasami przed wysłaniem taśmy każe zrobić kopię. Właśnie kopii mieliśmy wysłuchać.

Z pomieszczenia wyproszono dziennikarzy. Zacząłem od obserwacji Janza, ale wkrótce wciągnęło mnie to, co słyszałem.

Ktoś mówił:

– United trzy, pięć, tutaj Oakland. Mam was na dwudziestu trzech tysiącach, schodźcie na piętnaście. Pod wami jest ruch... – i tak dalej. Zobaczyłem, że Janz podskoczył na dźwięk swojego głosu. W każdym razie zakładałem, że to jego głos, bo nigdy go nie słyszałem. Jakość dźwięku była całkiem dobra.

Było kilka rozmów, wszystkie rutynowe, i nieco normalnych kabinowych pogwarek, chociaż trzeba przyznać, że dwaj piloci z DC-10 nie mieli sobie zbyt wiele do powiedzenia.

W pewnym momencie usłyszeliśmy, jak wchodzi stewardesa i zamykają się za nią drzwi.

Ciągnęło się to przez dziesięć czy piętnaście minut. Pożyteczne było połączenie głosów z nazwiskami. Byli z nami w pokoju szefowie pilotów Pan Amu i United, żeby nam w tym dopomóc, i zanim usłyszeliśmy z taśmy coś naprawdę interesującego, miałem wszystkich w samolotach zidentyfikowanych.

W DC-10 lecieli kapitan Vern Rockwell, drugi pilot Harold Davis i mechanik pokładowy Thomas Abayta. Zastanawiałem się nad jego narodowością. Co jakiś czas słyszeliśmy głos kapitana Gilberta Craina, pilota Boeinga 747, odpowiadający przez radio na wezwania Janza. W okolicy było też wiele innych samolotów i słyszeliśmy fragmenty ich rozmów, dochodzące do kabiny DC-10 przez radio.

United 35 schodził przez warstwy chmur z północnego wschodu. Janz kierował maszyną przez serię zwrotów prawie dokładnie na kierunek zachodni, żeby ją przekazać wieży w Oakland. Davis wspomniął coś o chmurach, a Rockwell skarżył się na pogodę w Oakland. Sprawiał wrażenie, że nie przepada za tym miastem. Abayta powiedział coś o randce, którą ma wieczorem, i pozostali dwaj chyba się roześmiali. Potem się zaczęło.

– United trzy, pięć – powiedział Janz – widzę was za daleko na południe. Macie na drodze inny samolot. Zwiększ prędkość i skreć w lewo.

– Tak jest, Oakland, ale... – i to był ten moment, bo Janz natychmiast znów był na fonii.

– Pan Am osiem, osiem, zero, zalecam rozpocząć skręt w lewo i natychmiast zmniejszyć prędkość. Jaką masz wysokość, osiem, osiem, zero?

Znów spojrziałem na Janza. Nie musiałyby zadawać tego pytania, gdyby komputer działał. Pokazywałby wysokość obok błysku osiemsetosiemdziesiątki. Janz nie zareagował.

Nie byłem pewien, czy w ogóle coś słyszy.

Ktoś, jestem prawie pewien, że to był drugi pilot Davis, spytał: – Co, do diabła?

– Nie wiem – powiedział Rockwell. – Lepiej go posłucham. Połącz się z nim.

– Oakland, tu United trzy, pięć. Wykonuję...

Ale Janz nie pozwolił mu dokończyć.

– United trzy, pięć, czy widzisz coś z prawej strony?

Nastała chwila ciszy. Mogłem sobie wyobrazić, jak Davis wygląda przez okno. Musiał zbliżyć twarz do samej szyby, ponieważ przy skręcie w lewo jego prawa strona była mocno podniesiona.

– Nic, Oakland – odpowiedział Davis po chwili. – Jesteśmy w chmurach. Czy polecasz...

– Jezus! Tuż nad...

To był znów Rockwell, ale więcej nic już nie zdążył powiedzieć. Usłyszeliśmy zgrzyt metalu, daleki i niewyraźny, a zaraz potem rozdzwoniły się alarmy. To wszystko, co słyszeliśmy przez jakieś pięć sekund. Potem znów odezwał się Rockwell.

– Oakland, tu... trzymaj to, trzymaj!

W tle krzyczał coś mechanik Abayta. Może wyłapiemy jego słowa w laboratorium, będziemy taśmę puszczać tyle razy, aż wreszcie uzyskamy względnie kompletny zapis.

Tymczasem wszyscy słuchaliśmy ostatnich słów Verna Rockwella, wypowiedzianych spokojnym, niemal znudzonym głosem.

– Oakland, tu United trzy, pięć... zderzyliśmy się z czymś i samolot nie reaguje... ster kierunkowy nie działa... nie ma reakcji sterów wysokościowych. Straciliśmy większą część lewego skrzydła i samolot jest w ogniu, powtarzam, samolot w ogniu.

– Wyszliśmy z chmur – wtrącił Davis. – Dawaj, dawaj, wyciągaj go, w górę, w górę.

Znów Rockwell: – Samolot jest w ostrym skręcie w lewo.

Abayta: – Piętnaście tysięcy stóp.

Rockwell: – Opuszczam prawą lotkę... drążek wibruje.

Davis: – Daj nos do góry... spadamy, Vern.

Rockwell: – Tak wygląda.

Abayta: – Brak ciśnienia hydraulicznego, zapasowy system...

Rockwell: – Próbuje... spróbuję... to na nic... dobrze, spróbujemy... cholera!

Nigdy nie słyszałem, żeby pilot spadającego samolotu podniósł głos. Niektórzy bywają bardziej podnieceni niż Rockwell, ale nigdy jeszcze nie zetknąłem się z

objawami paniki. Ci ludzie nauczyli się, że zawsze można coś jeszcze zrobić i będzie im bardzo głupio, jeżeli o tym czymś zapomną. Dlatego próbują, próbują i nie przestają próbować, aż mają ziemię tuż przed nosem i myślę, że wtedy czują się głupio. Wreszcie uświadamiają sobie, że nie mają już czasu, żeby czegoś jeszcze spróbować. Coś przegapili. Spieprzyli sprawę. Są wściekli, że nie rozwiązali problemu na czas, i wtedy mówią: „Cholera!”

Jasne, że się boją. Przynajmniej ci, którzy z tego wyszli i z którymi rozmawiałem, mówią, że czuli coś ogromnie przypominającego strach. Ale ich zadaniem jest utrzymanie samolotu w powietrzu i wykonują je jeszcze, kiedy roztrzaskują się o ziemię.

Można definiować bohaterstwo, jak się chce, ale dla mnie to jest to. Pozostać na stanowisku bez względu na okoliczności. Czy to będzie pilot walczący ze swoim spadającym samolotem, czy telefonistki, lekarze i siostry robiące swoje w bombardowanym Londynie, czy nawet orkiestra grająca do końca na *Titanicu*...

To jest wypełnianie swojego obowiązku.

W pokoju zapadła cisza. Nikomu nie przychodziło do głowy nic, co można by dodać.

Rockwell nie powiedział nic nieśmiertelnego, nic bohaterskiego, co dałoby się zacytować, a jednak nikt nie chciał zepsuć tej chwili.

To należy do moich obowiązków.

– Posłuchajmy drugiej taśmy – powiedziałem i natychmiast podniósł się gwar.

Spojrzałem w lewo, gdzie siedziała z notatnikiem na kolanach stenografistka z United. Była blada i miała wilgotne oczy. Posłałem jej uśmiech, który miał znaczyć: „Nie ma się czego wstydzić, ja cię rozumiem”, ale chyba pomyślała, że ją podrywam. Taką już mam twarz, stwierdzam ze smutkiem. Podobno mój normalny wyraz twarzy jest albo trochę złośliwy, albo trochę lubieżny.

– Jeszcze nad nią pracują. – Eli spojrzał znacząco w stronę Janza, osłanianego przez swoją obstawę. Westchnąłem i podszedłem do niego. Usiadłem na krześle okrakiem, twarzą do Janza. Przedstawiono mi jego adwokata, ale nazwiska nie zapamiętałem.

Nie da się przeprowadzić śledztwa bez adwokatów. Wkrótce będą się tu roić jak robaki w tygodniowym ściervie.

– Miałem i trzydziestkępiątkę, i osiemsetosiemdziesiątkę tam, gdzie być powinny – zaczął Janz ociężałe. Wzrok wbił w swoje dłonie splecione na kolanach. Cały czas myślałem, że ten gość za chwilę spadnie z krzesła. Powieki mu opadały, a potem nagle otwierał oczy i dalej oglądał swoje ręce. Miał dwa sposoby mówienia: za szybki i za wolny. To wybuchał potokiem słów, to z niewyraźną miną mamrotał coś niezrozumiałe.

– I gdzie to było, Don? – powiedziałem zachęcająco.

– Co?

– W jakiej kolejności podchodziły? Oba na Oakland, tak? Który miałeś przekazać wieży w pierwszej kolejności?

Miał nieobecne spojrzenie.

Powinienem się tego spodziewać. Adwokat znów chrząknął ostrzegawczo. Mieliśmy już za sobą wykład, dlaczego jest przeciwny tej rozmowie, i wielokrotnie mi przerywał, oskarżając o gnębienie jego klienta. Gnębienie! Palant w trzyczęściowym garniturze! Do diabła, wiedziałem, że nie należy chłopaka dociskać. Bałem się, że wybuchnie płaczem.

– W porządku, panie doradco – powiedziałem podnosząc ręce. – Żadnych pytań, dobrze? Będę tylko siedział i słuchał.

Pewnie zresztą był to i tak najlepszy sposób. Pytania zbijały Janza z tropu. – Co mówiłeś, Don? – podjąłem rozmowę. Przypomnienie sobie, na czym stanęliśmy, zajęło mu kilka minut.

– A tak. Który był pierwszy. Nie pamiętam.

– Nieważne. Jedź dalej.

– Co? A tak.

Nie wykazywał żadnej ochoty do mówienia, a potem nagle zalał nas znów potokiem słów.

– Miałem chyba z piętnaście samolotów pasażerskich na tablicy. Nie wiem ile prywatnych. Kilka wojskowych... Tej nocy ruch był duży, ale radziłem sobie, panowałem nad sytuacją. Widziałem, że te dwa zbliżają się do siebie, ale miałem masę czasu, żeby im skorygować kurs.

Nie groziła im kolizja. Nawet gdyby nie miały już ze mną kontaktu, powinny się minąć w odległości jakichś... czterech, pięciu mil.

Dałem więc trzydziestkę... skręt w prawo. Niewielki. Byłem z tego zadowolony, bo zrobiłem za trzydziestką większą dziurę dla kogoś... tak, to był PSA coś tam z...

Bakersfield. Numer jedenaście, zero, jeden.

Uśmiechnął się słabo na wspomnienie, jak sprytnie to zrobił. Potem twarz mu się zmieniła.

– Wtedy wysiadł komputer. Miałem pełne ręce roboty. Chyba odsunąłem w myśli trzydziestkę i osiemsetosiemdziesiątkę na dalszy plan; dopiero co zajmowałem się nimi i wiedziałem, że są bezpieczne. Miałem inną sytuację... było kilka innych samolotów... którymi musiałem się zająć. – Janz spojrział na Carpentera. – Jak długo komputer nie działał?

– Dziewięć minut – odrzekł cicho Carpenter.

– Dziewięć minut. – Janz wzruszył ramionami. – Czas wtedy biegnie inaczej.

Oznakowałem je... – Spojrział na mnie pytająco. – Wie pan, jak to jest, kiedy komputer się zawiesi? Wie pan, jak...

– Wiem – powiedziałem. – Wracacie do ręcznego znakowania.

– Zgadza się. Ręcznego. – Roześmiał się niewesoło. – Nie uprzedzano mnie, że to będzie takie trudne. Kiedy już miałem ponownie prawie wszystko pod kontrolą, komputer nagle ożył z powrotem. Kilka lotów było nawet oznakowanych, ale brakowało informacji o wysokości. To się zdarza, kiedy komputer wznawia działanie. Niektóre informacje się gubią, a inne...

– Wiem – potaknąłem. Wyobrażałem go sobie, jak stara się przestawić z jednego systemu na drugi przy niepełnych danych.

– Komputer działał jeszcze wolno. To nie był jeszcze czas rzeczywisty.

– Tak zwykle bywa – wtrącił Carpenter z gniewem skierowanym przeciwko mnie.

Po adwokacie widać było, że się pogubił, i bałem się, że zaraz zgłosi zastrzeżenie.

Wyraźnie znalazł się na obcym terytorium i nie wiedział, czy ma pozwolić klientowi mówić o sprawach, w których nie mógł mu służyć radą. Carpenter zauważył to i potrząsnął głową.

– Niech się pan nie martwi – powiedział. – Don tylko mówi, że komputer się spóźniał.

Zakładamy, że o jakieś piętnaście sekund, co stanowi przeciętną w trudną noc. – Adwokat nadal nie zdradzał zrozumienia, co zdenerwowało Carpentera. – To znaczy, że obraz, który Don widział na ekranie, przedstawiał sytuację sprzed piętnastu sekund. I to było wszystko, na czym mógł się oprzeć. Czasami komputer spóźnia się nawet o półtorej minuty. Nikt nie może winić Dona za to, że jego komputer jest antykiem.

Mina Carpentera zdradzała, że on ma dość dobre wyobrażenie, kogo należy winić, ale na razie nie chce mówić. Adwokat wyglądał na usatysfakcjonowanego.

Janz nie odnotował tej wymiany zdań. Nadal przebywał w ośrodku kontroli, usiłując zapanować nad nową sytuacją.

– Od razu zauważyłem, że trzydzieści pięć i osiemset osiemdziesiąt stanowią problem.

Nie były tak blisko, żeby wszcząć alarm, ale zbliżały się do tego punktu. W każdym razie, uwzględniając opóźnienie komputera, nie sądziłem, że są już w niebezpieczeństwie. Rzecz w tym, że były nie tam, gdzie powinny.

Znajdowały się po niewłaściwej stronie wobec siebie. Do diabła, nie miałem pojęcia, jak mogły się tak minąć. Wychodziło mi, że nie miały na to dość czasu, nawet jeżeli moje wyliczenia kursu były błędne. Ale trzydziestkapiątka powinna lecieć na północ od osiemsetosiemdziesiątki, a było na odwrót. I zbliżały się do siebie.

Oparł głowę na rękach i wolno nią pokręcił.

– Nie miałem dużo czasu na podjęcie decyzji. Obliczałem, że mają przed sobą trzy minuty, ale cholerny alarm nie uruchamiał się i tego też nie rozumiałem.

Oddaliłem je od siebie i uznałem, że się zastanowię nad tym później, pisząc raport. I wtedy zamieniły się miejscami.

Podniosłem głowę i spojrzałem na Carpentera. Skinął ponuro głową.

– Chcesz powiedzieć, Don, że komputer błędnie oznakował te dwa samoloty?

– Tylko na kilka okrążeń ekranu. Nie wiem... błąd transpondera, jednocześnie sygnały... diabli wiedzą. Cokolwiek się tam zdarzyło, komputer przez minutę pokazywał mi, że Pan Am to United, a United to Pan Am.

Spojrzał na mnie po raz pierwszy i w jego oczach zobaczyłem straszliwą pustkę.

– I... tak... co musiałem zrobić na podstawie wskazań komputera... – Głos wiązał mu w gardle. – Widzi pan, chciałem je od siebie oddalić, ale ponieważ na moim ekranie były zamienione miejscami, skończyło się tak, że kazałem im lecieć prosto na siebie.

Zapadła krótka cisza. Kilkoro moich ludzi miało sceptyczne miny... do diabła, może i ja w jakimś stopniu nie dowierzałem. Ale patrząc na chłopaka, trudno było posądzać go, że kłamie. Wciąż spokojnym głosem zakończył swoją opowieść.

– Kiedy komputer skorygował swój błąd, starczyło czasu tylko na uruchomienie alarmu. Spojrzałem i nie było już dwóch błysków, tylko jeden. I ten błysk znikł z ekranu.

6.

JAK NIGDY NIE BYŁO

Relacja Louise Baltimore

Kiedy wreszcie wróciłam do domu, zajął się mną Sherman. O nic nie pytał i nic nie mówił. Sherman to bardzo ciche urządzenie. Sądzę, że jest to skutek jego prawie idealnej identyfikacji ze mną, prawie doskonałego odczytywania moich nastrojów i gruntownej wiedzy, jak je rozładowywać. Ktoś mógłby to nawet nazwać empatią, gdyby ten ktoś nie był taką cyniczną jędzą. I to też, oczywiście, odbierał.

– Rozmawiam z tobą, Louise, kiedy tego potrzebujesz – odezwał się. – A cynizm jest dla ciebie niezbędną, zapewne, zbroją.

Może powinnam teraz porozmawiać, pomyślałam, po godzinie moczenia się w gorącej wodzie, podczas gdy Sherman szorował i szorował krew, która zmyła się dawno temu, ale wciąż wymagała zmywania. Precz, przeklęta plamo!

– Może powinnaś porozmawiać – powiedział.

– Aha! Więc czytasz w myślach, ty chytry androidzie.

– Ja czytam ciała. Druk jest dużo wyraźniejszy. Ale znam twój sposób myślenia i twoje wykształcenie. Pomyślałaś teraz o Makbecie.

– O lady Makbet. Powiedz mi dlaczego.

– Sama wiesz, ale łatwiej by ci było usłyszeć to ode mnie.

– A więc nie pozwolę ci powiedzieć. Ja będę mówić, a ty szoruj, może uda ci się zmyć winę.

– Przesadzasz. Ale jeżeli chcesz nurzać się w tym jeszcze trochę, to kim ja jestem, żeby ci przeszkadzać? Zwykły chytry android.

– Nurzać się? Odgryź sobie język.

– Mówiłem o kąpielach.

Wiedziałam dobrze, o czym mówił, ale chciałam jeszcze rozmawiać.

– Chodzi o paralizator Alpha. Alpha nie żyje, nie można więc mieć do niego pretensji. Do kogo więc? Lilly była druga po starszeństwie, ale gdzie jej szukać, żeby ją postawić przed sądem i rozstrzelać? Pozostają ja. To ja kierowałam akcją i ja powinnam zabrać broń Alpha.

Dwa paralizatory zgubione w jednym dniu!

Sherman nadal mnie mył. Spojrzałam na jego nieobecny twarz, po raz pierwszy żałując, że nie mogę odczytać jej wyrazu.

– Honor wymaga popełnienia harakiri – powiedział. – Czy chcesz, żebym

poszedł po nóż?

– Nie żartuj sobie.

– A co jeszcze mogę zrobić? Jeżeli upierasz się, że ktoś powinien zapłacić życiem za błąd, jaki wszyscy popełniliście w zamieszaniu, to logika wskazuje na ciebie.

– To samo powiedziałam ludziom.

– A co oni na to?

Nie odpowiedziałam. Sama nie wiedziałam, co o tym sądzić. Powiedzieli: „Dobrze, Louise, ale nas też trzeba rozstrzelać”. Twierdzili, co do jednego, że odpowiedzialność za pozostawiony paralizator rozkłada się równo na wszystkich. Wskazywali też, że zginęli już Ralph i Lilly, i zabicie wszystkich innych byłoby strasznym marnotrawstwem.

Nie miałam zdania, ale wiedziałam, że sama bym się chętnie obdarła ze skóry. Są jakieś przywileje dla szefów, do cholery.

– Czy nie za długo myjesz to jedno miejsce?

– Czyżbym odwracał twoją uwagę od ponurych myśli?

– Nie chcę tego. To nie jest odpowiednia chwila.

Jak zawsze nie miałam racji.

I w ten sposób wkroczył w moje życie William Archibald Smith, zwany Billem.

Nie w wannie, rzecz jasna, później, z powrotem przy Bramie, w pierwszych nerwowych dla nas wszystkich godzinach, podczas gdy technicy mierzyli puls strumienia czasu, szukając szkód.

Martin Coventry wyjaśnił to mnie i Lawrence’owi oraz moim najbliższym współpracownikom i kilku gnomom Lawrence’a. Zebrał nas wokół monitora czasu, który ustawił obok konsoli Lawrence’a, i zarysował sytuację.

Muszę przyznać, że lubiłam Coventry’ego. Chodził o własnych siłach i pracował, ale nie był łapiduchem. Zajmował się teorią czasu, co znaczy, że był jednym z może tuzina ludzi na tej planecie, którzy mogli powiedzieć, że rozumieją co nieco z przemieszczeń w czasie.

Przede wszystkim lubiłam go za jego skórokombinezon. Nie wiem, ile miał lat, ale niewiele ponad dwadzieścia. Szeptano o nim, że ma prawie wszystkie zmutowane choroby, jakie można mieć i zachować mózg, ale takie plotki krążą o wielu ludziach. Podejrzewam, że bliżej mu było do stanu gнома niż mnie, chociaż ja byłam starsza. Mimo to zdecydował się na kombinezon, w którym wyglądał na mężczyznę po sześćdziesiątce.

Rzadko się to zdarza. Nawet ja uległam nakazowi mody naszych czasów, który mówi, że skoro masz kłamać na temat swojego wyglądu, to kłam na całego. Moja twarz mogłaby zdobić okładki czasopism, właściwie robiła to. Moje ciało zaś było marzeniem dorastających chłopców z dwudziestego wieku.

A tu tymczasem zjawia się Martin Coventry, pokazując światu oblicze, które

mogłoby się podobać chyba tylko rodzonej matce, udając człowieka tak starego, jaki nie chodził po ziemi od tysięcy lat.

Ale nie mógł dokonać lepszego wyboru. Tępaki pewnie odwracają się z przerażeniem, ale Martin nie musi mieć z nimi więcej do czynienia niż ja. Wszyscy ludzie, z którymi pracuję, zajmują się wędrówkami w czasie. My wiemy, jak wygląda starość, i w głębi serca, podświadomie żywimy szacunek dla mądrości starszych. Coventry znakomicie to wykorzystuje. Dzięki tej twarzy i postawie mógł robić nam wykład niczym stary profesor gromadce uczniów. Nie znam nikogo innego, komu bym się pozwoliła tak traktować.

– Rozpatrzmy sprawę pierwszego twonka – zaczął. – Paralizatora zgubionego w roku 1955 nad Arizoną.

W roku 1955 śledztwo w sprawie wypadków prowadził Federalny Zarząd Lotnictwa.

Poza jego pracownikami na miejsce przybyli szeryfowie powiatów Coconino i Navajo ze stanu Arizona oraz powiatów Kane i San Juan ze stanu Utah. W ciągu od sześciu do dwunastu godzin zjechała się policja i ochotnicza straż pożarna z Red Lake, Cow Springs, Tonolea, Desert View i kilku innych małych miejscowości w Arizonie, a także jednostki z Flagstaff.

Zjawili się tam też strażnicy leśni z pobliskiego Parku Narodowego Wielki Kanion i myśleli, że są pierwsi, ale faktycznie miejsce wypadku obejrzeli już członkowie plemion Hopi i Navajo. Były to podbite grupy etniczne mieszkające na nieużytkach.

W ciągu kilku następnych dni ludzie z Federalnego Biura Śledczego – rodzaju policji państwowej, która rozporządzała wielkimi zasobami kartotek z odciskami palców – Towarzystwa Lotniczego Lockheed, Trans World Airlines i producenta silników Allison Corporation odwiedzili miejsce katastrofy. Wynajęto kilka firm przewozowych, które zabrały większe lub ważne dla śledztwa części samolotu, ale wiele drobniejszych szczątków pozostawiono na miejscu. Kilka miejscowych domów pogrzebowych zaangażowano do wywiezienia pozostałych po wypadku szczątków organicznych, które ostatecznie pochowano w piętnastu stanach i dwóch państwach obcych.

W sumie teren katastrofy w ciągu siedmiu dni odwiedziło pięćset dwanaście osób, w następnym tygodniu przybyły jeszcze dwadzieścia dwie osoby, głównie typy patologiczne, a potem liczba wizyt gwałtownie spada.

Dokonałiśmy przeglądu następnych trzech stuleci. Śledziliśmy tysiące Navajów i Hopi i setki turystów, oglądaliśmy dziesiątki tysięcy kojotów i Wielki Komputer odnotował każdy potencjalny kontakt. Jednak, jak wiecie, pełny przegląd życia każdej osoby od chwili, kiedy ta miała kontakt ze szczątkami samolotu, zajęłoby więcej czasu niż same wydarzenia w czasie realnym. Dlatego musimy się zadowolić przeglądem.

W dodatku nawet dzisiaj na miejscu katastrofy można z głębokości pięćdziesięciu stóp wykopać resztki kadłuba i silników. Robimy to, potrzeba nam jeszcze jednego dnia, żeby całkowicie przesiać ziemię w promieniu trzech mil od miejsca wypadku, ale perspektywy odnalezienia paralizatora są niewielkie. O wynikach będę was informował.

Najbardziej obiecujący trop to, rzecz jasna, pracownicy Federalnego Zarządu Lotnictwa. Siedzimy szczegółowo ich dalsze życie. Wciąż istnieje szansa, że ktoś z przybyłych na miejsce wypadku znalazł broń i ją zabrał. Jeżeli nie znajdziemy jej w naszych wykopaliskach, będziemy musieli przyjąć, że tak się stało. Problem polega na tym, że te szczątki leżały tam przez pięćdziesiąt tysięcy lat i paralizator mógł zostać znaleziony w każdej z dwudziestu sześciu miliardów minut, jakie upłynęły od wypadku.

Zastanawiałam się, dlaczego ja go właściwie lubiłam. Palant się popisywał. Fakty w małym palcu, robimy to i to, dochodzenie jest w dobrych rękach... Nigdy bym nie zaakceptowała podobnego raportu od kogoś z moich podwładnych, nawet z jednej z tych dwudziestu sześciu miliardów minut. Ponieważ jednak nie ja tu rządziłam, przełknęłam gniew i czekałam, kiedy Coventry dojdzie do tego, co naprawdę ważne.

– Ważnym czynnikiem – powiedział, potwierdzając moją opinię na temat tego, co mówił dotychczas – jest sam strumień czasu. Wszystkie dokonane dotychczas pomiary wskazują, że strumień czasu zaabsorbował tego twonka bez anomalii.

Trochę mi ulżyło. Żeby podsumować to, co dotychczas powiedział, bez ozdobników: Zostawiono w przeszłości dwa paralizatory. Jeden z nich prawdopodobnie nigdy nie zostanie odnaleziony. Jeżeli tak, to sama jego obecność w przeszłości nie wystarczy, żeby naruszyć delikatną równowagę wydarzeń. Byliśmy w domu.

Nawet gdyby ktoś broń znalazł, nie musiało to oznaczać katastrofy. Mogła zostać uszkodzona i wtedy byłaby tylko dziwacznym kawałkiem plastyku z jakimiś drucikami.

Mogła wywołać parę zdziwionych min i tyle. Zdziwione miny potrafimy przeżyć.

Mówimy o sztywnej ramie wydarzeń, ale faktycznie ma ona nieco swobody.

Widocznie wydarzenia mają tendencję, żeby przebiegać tak, jak powinny, zgodnie z jakimś planem ustalonym przez kogoś, kto zarządza tym śmierzącym wszechświatem. Zmiany, jeżeli są niewielkie, korygują się same w sposób, którego nikt nie rozumie, ale który sztydzi ze wszystkich teorii na temat wolnej woli.

Wyobraźcie sobie Indianina, przechodzącego przez miejsce katastrofy z roku 1955 w wiele lat później. Natyka się na zgubioną broń Pinky, uszkodzoną, bezużyteczną, ale nie mającą prawa tam być. Podnosi ją, drapie się w głowę i broń odrzuca.

Gdyby wszechświat był absolutnie sztywny, bylibyśmy zgubieni. Chwila, w której miał paralizator w ręku, zmieniałaby jego życie w minimalnym stopniu, ale ta zmiana odbiłaby się echem w czasie, narastając z każdym rokiem. Możecie sobie wyobrazić dowolny scenariusz.

Indianin wraca do swojego tipi o pięć sekund później. Dzwoni telefon, on biegnie, ale się spóźnia i nie odbiera wiadomości, która by do niego dotarła, gdyby się nie schylił po paralizator. (Czy w tipi były telefony? Czy Indianie mieszkali w nich w 1955 roku? Nieważne). Gdyby odebrał telefon, wskoczyłby na konia i pojechał do miasteczka, gdzie wpadłby pod samochód prowadzony przez mordercę, który jechał kogoś zabić, a teraz miał kłopoty z przejechanym Indianinem. Dzięki temu człowiek, który miał być zabity, żyje i za kilka lat znajduje lekarstwo na pewien typ raka, na który zachoruje prezydent Stanów Zjednoczonych w 1996 roku. W ten sposób prezydent nie umrze wtedy, kiedy miał umrzeć, i wybuchnie wojna, która nie miała wybuchnąć.

Gdyby tak to wyglądało, nie moglibyśmy porywać ludzi z „innego” czasu.

Faktycznie jednak działa to tak, że zostaje nam pole manewru. Trzeba tylko pamiętać o dwóch istotnych zasadach.

Pierwsza: Można zabierać rzeczy z przeszłości, jeżeli pozostawia się na ich miejsce odpowiednie zastępstwo.

Druga: Zdarzenia mają tendencję do powrotu na swoje wyznaczone tory.

Cierpicie na brak nośników energii? Dlaczego nie przenieść się za pomocą Bramy do roku pięcioletniego przed Chrystusem i wyciągnąć bilion baryłek ropy naftowej spod Arabii Saudyjskiej, na długo zanim pojawi się tam jakiś nadęty szczyk naftowy?

Świetnie. Nie ma problemu. Pod warunkiem że zastąpicie ją bilionem baryłek ropy nie do odróżnienia od tej, którą podkradliście.

Możemy zabierać tylko te rzeczy, których brak będzie niezauważalny albo których zniknięcie jest logiczne. (Kto liczy, ile spinaczy jest w pudełku? Kto podnosi krzyk, jeżeli zniknie jeden karton papierosów z transportu liczącego dziesięć tysięcy kartonów? Osoba racjonalna, jeżeli w ogóle coś takiego zauważy, zakłada drobną kradzież. Ja sama podkradłam tak niejeden karton).

Ale obowiązuje żelazna zasada. Jeżeli bierzemy coś większego, musimy pozostawić dobrą kopię.

I tak, jeżeli ktoś ma zginąć i nikt już nie zobaczy go żywego, możemy porwać go, kiedy jeszcze żyje, i podstawić pustaka, nie do odróżnienia od trupa, jakim miał się stać.

Zasada druga daje taką możliwość. Kopia nie musi być idealna, nie na poziomie genetycznym, nie na poziomie subatomowym. Może ważyć parę uncji mniej albo więcej niż oryginał. Zawsze będą jakieś drobne różnice, ale wszechświat to znosi do określonej granicy.

Dzięki temu przechwytyjemy ludzi.

Poza tymi drobnymi akceptowalnymi zmianami zaczyna się pole olbrzymiego ryzyka.

Fachowa nazwa tego, czego się boimy, to „paradoks dziadka”. Mówiąc po prostu, cofam się w czasie, popełniam jakieś głupstwo i w rezultacie mój dziadek ginie w wieku lat ośmiu. A to oznacza, że nigdy nie spotkał mojej babki, nie urodził się mój ojciec i ja się nie urodziłam. Paradoks polega na tym, że skoro się nie urodziłam, to jak mogłam wrócić i zabić dziadka?

Nikt nie wie. Wiele jest teorii na temat Bramy, niektóre są kontrowersyjne, ale na ogół przyjmuje się, że wszechświat dostosowuje się po linii najmniejszego oporu. Poprawia się w jakiś wielowymiarowy sposób, a kiedy skończy, okazuje się, że nie było żadnego wehikułu czasu. Mój dziadek żył i mój ojciec się urodził, bo nie cofnęłam się w czasie i nie manipulowałam przy łańcuchu przyczynowo–skutkowym.

Nie wiem, co by to oznaczało dla mnie. Pewnie byłabym tępakiem, śmiałabym się ze wszystkiego, używałam życia, a potem zanurkowałam z wieżowca na bruk. Całe moje życie było związane z Bramą. Nie wyobrażam sobie siebie bez Bramy.

Choć z drugiej strony...

(A przy wędrówkach w czasie zawsze jest jakaś druga strona...). Moi współcześni nie wynaleźli Bramy.

Znajdowała się tam gdzie teraz przez tysiące lat, podczas gdy wokół niej cywilizacje rodziły się i ginęły.

Wierzymy, że została wynaleziona przez ludzi, ale nie możemy zajrzeć do tego czasu, jako że, widocznie, Brama wtedy działała.

I coś stało się z tymi ludźmi.

Chciałabym wiedzieć co. Może tak się przestraszyli tego, w co się wdali, że wyłączyli Bramę i bojąc się albo nie umiając jej zniszczyć, uciekli na pustynię. Wiemy, że koniec Pierwszej Cywilizacji Bramy zbiega się z wielką wojną i ciemnymi wiekami. Ci, którzy przeżyli, nie pisali książek historycznych. Jest to największa wyrwa między moim czasem a wiekiem dwudziestym.

Ludzie z mojego czasu wyprawiali się do tej epoki pierwszego zamknięcia Bramy.

Było ich tak wielu, że nie ma sensu do niej zaglądać; na każdym kroku napotyka się białe plamy temporalnej cenzury.

Nikt z tych ludzi nie wrócił.

Pewnie jest to związane z zasadą przyczyn owości i paradoksem dziadka, ale nie pojmuję jak.

Rzecz w tym, że gdyby Bramy nigdy nie było, żyłabym w zupełnie innym świecie.

Może w lepszym, ale najprawdopodobniej w gorszym. Czy może być coś

gorszego? Owszem.

Wiek Ostatni mógłby nastąpić trzy albo cztery tysiące lat temu zamiast teraz. Gatunek ludzki, zamiast zmierzać ku zagładzie, mógłby już wymrzeć. To prawie cud, że przetrwaliśmy aż tak długo.

To jest jedna z teorii. Najlepsza. Co do najgorszej...

Może się też zdarzyć, że jeżeli paradoks dziadka został uruchomiony i historia od twonka w górę zaczyna się rozłazić...

...to wszyscy cicho i nagle znikniemy.

Nie tylko wy i ja, ale Słońce, Jowisz, Alfa Centaura i Mgławica Andromedy.

I tak dalej.

Znane jest to jako teoria Kosmicznego Obrzydzenia. Albo: Jeżeli macie się tak bawić, to ja zabieram swoje zabawki i idę do domu. Podpisane: Bóg.

Bill Coventry mydlił nam jeszcze oczy przez dobrą chwilę opowieściami o nadludzkich wysiłkach jego sekcji i śledzeniu intymnych momentów z życia około sześciu tysięcy ludzi, którzy umarli tysiące lat temu. Wyglądało mi to na dobry moment, żeby się nieco zdrzemnąć, i pewnie bym to zrobiła. Ostatecznie, przyznajmy to, Coventry i jego sekcja w ciągu dziesięciu godzin odwalili kawał roboty i, jak na razie, chyba wykluczyli wypadek z 1955 jako źródło zakłócenia strumienia czasu. Poczulałam ulgę.

Wtedy Coventry przeszedł do drugiego twonka.

– Tutaj – powiedział – sytuacja wydaje się beznadziejna.

Czy zdarzyło się kiedyś, że włosy na karku stanęły wam dęba? Mnie tak. Usłyszałam w uszach ryk, głos gromu, jak narastające trzęsienie ziemi albo wichry przemian huczące w ruinach czasu.

Słyszałam, jak Bóg mruknął: „W porządku, ludzie, ostrzegąłem was...”.

– Paralizator Ralpa spadł wraz z DC-10 na pastwisko w pobliżu autostrady międzystanowej pięćset osiemdziesiąt, niedaleko Livermore w Kalifornii. Tam został znaleziony przez robotnika zbierającego szczątki i złożony w hangarze Międzynarodowego Portu Oakland, gdzie pozostawał przez czterdzieści osiem godzin. Potem prawdopodobnie wszedł w jego posiadanie William Archibald Smith zwany Billem, pracownik Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu. Spośród wszystkich ludzi, którzy mogli znaleźć broń, on stanowi zapewne najgorszą możliwość. Ma przygotowanie techniczne i dociekliwy umysł.

Nie potrafimy określić, czego się dowiedział z oględzin broni. Wiemy tylko, że wszedł do hangaru, w którym znajdował się paralizator, o godzinie jedenastej w nocy trzynastego grudnia. Możemy go obserwować wewnątrz hangaru tylko przez chwilę, potem następuje biała plama, okres cenzury temporalnej trwający dwie godziny. Kiedy Bill Smith wychodzi z hangaru, możemy opisać jego działania jedynie w kategoriach prawdopodobieństwa.

Ktoś jęknął. Może to nawet byłam ja. Podniósł się ożywiony gwar, wymieniano

niespokojne spojrzenia, powiało grozą. Trudno się dziwić. Kiedy musimy mówić o niezmiennych przeszłości w kategoriach prawdopodobieństwa, to znaczy, że łąno już wpadło do wentylatora i jeżeli go jeszcze nie czujemy, to tylko dlatego że jest w drodze.

Nie będę cytować Martina. Nie byłoby to wobec niego uczciwe. Był tak samo przerażony jak my wszyscy, a u niego strach ujawnia się jako pedanteria. Stał się jeszcze bardziej nieznośnie oschły i drobiazgowy w opowieści prowadzącej do obsadzenia Billa Smitha w roli najważniejszego człowieka we wszechświecie.

Jak tylko zobaczyłam Smitha na ekranie monitora czasu, pomyślałam: Może powinnam wrócić i go zlikwidować?

Nie najlepszy sposób na rozpoczęcie znajomości, ale jeżeli zabicie go miałyby zapobiec naruszeniu struktury historii, zrobiłabym to bez zmruczenia oka.

Rzecz jasna, byłoby to najgorsze, co mogłabym zrobić. Według podglądu Maruna Smith miał przed sobą wiele lat życia, utopił się w 1996 roku i zabicie go w Oakland niewątpliwie naruszyłoby strumień czasu.

Usiadłam i słuchałam szumu rozmów po wyjściu Martina, ale sama się do nich nie włączałam. Miałam pewien pomysł i nie chciałam go spalić.

Wreszcie, sama nie do końca przekonana, wyszłam z sali i udałam się do terminalu.

– Słuchaj, ty... – zaczęłam, ale stwierdziłam, że nie jestem w nastroju do takich gier.

– Wielki K., on–line, proszę.

– On–line – odpowiedział. – Czy rozmawiam z Louise Baltimore?

– Tak, nie udawaj tak wstrząśniętego. Chciałabym uzyskać prostą odpowiedź.

– Dobrze. Jak brzmi pytanie?

– Co wiesz o placu Jacka Londona?

– Plac Jacka Londona jest lub był miejscem blisko wybrzeża w Oakland, w Kalifornii. Został nazwany na cześć znanego pisarza. Powstał w połowie dwudziestego wieku jako część planu przebudowy miasta i pełnił rolę atrakcji turystycznej dla nielicznych turystów odwiedzających Oakland. Chcesz więcej?

– Nie, myślę, że to wystarczy.

Znalazłam Martina Coventry’ego na zewnętrznym balkonie budynku Bramy. Stał i patrzył na pole wraków, albo, jak to czasem nazywaliśmy my, porywacze, Trójkąt Bermudzki. W innych czasach uznano by to może za muzeum. Dla nas była to po prostu historyczna składnica złomu. Podeszłam do Martina i razem z nim patrzyłam na odpadki z pięciu wieków działania Bramy.

Jak dokonać porwania z jednomiejscowego samolotu myśliwskiego? A co z samolotem, który wpada w tarapaty nad oceanem i znika bez śladu? Albo z hiszpańską galeoną zatopioną przez burzę? Albo z kapsułą kosmiczną spadającą na Słońce?

Najlepszą metodą przy tego rodzaju katastrofach jest przeprowadzenie przez Bramę całego pojazdu.

W przypadku odrzutowego myśliwca chwytamy go w pierścieniu hamujące. Samolot zwalnia i staje, my zdejmujemy pilota, zazwyczaj dość oszołomionego, a potem, w zależności od tego, gdzie miał spaść, albo przerzucamy samolot z pustakiem zamiast pilota o tysięczną sekundy później, niż go schwytaliśmy, albo po prostu zostawiamy go na polu wraków.

Kończą tam wszystkie pojazdy, które nigdy nie zostały odnalezione. Po co je odsyłać? Trzeba kupę energii, żeby odesłać przez Bramę transatlantyk. To jest prawdziwy powód, dlaczego nie odnaleziono wraku *Titanica*: rdzewieje u nas na złomowisku.

Tuż obok dumy linii Cunarda leży pojazd kosmiczny z dwudziestego ósmego wieku.

Pole wraków ma kształt zbliżony do trójkąta o boku pięciu mil i jest zapchane lądowymi, morskimi, powietrznymi i kosmicznymi pojazdami, jakie tylko można sobie wyobrazić. Tuż przede mną stały cztery napędzane śmigłami samoloty, które, jeżeli mnie pamięć nie zawodzi, rzeczywiście pochodzą z Trójkąta Bermudzkiego.

Znajdowały się w opłakanym stanie. Przechwyciliśmy je około pięćdziesięciu lat temu i, podobnie jak wszystko na tym polu, padły ofiarą związków chemicznych zawartych w powietrzu. Deszczyk z nieba w tej Wspaniałej Przyszłości, która jest moją ojczyzną, to nie żarty.

– Urodziłem się, żeby być historykiem – powiedział Coventry niespodziewanie. Gdyby mi wyznał, co chce dostać od świętego Mikołaja na Gwiazdkę, nie byłabym bardziej zaskoczona.

– Naprawdę? – spytałam.

– Tak. Czy może być bardziej zaszczytny zawód w Wieku Ostatnim?

I bardziej niepotrzebny, pomyślałam, ale zachowałam to dla siebie. Historycy, jak rozumiem, istnieli po to, żeby przekazywać wiedzę i legendy przyszłym pokoleniom. Bez potomków pisanie historii wydało mi się zajęciem dość bezpłodnym. Ale on zawsze mnie wyprzedzał o krok.

– Wiem, że urodziłem się w niewłaściwej epoce dla tego zawodu – przyznał i po raz pierwszy na mnie spojrział. – Mimo to nie mogę na to patrzeć obojętnie. Cóż to byłby za pomnik! Jaki dowód ludzkiej woli przetrwania!

Wskazywał to, co pozostało z długiej łodzi wikingów, w której porwaniu uczestniczyłam nie więcej niż pół roku temu. Ta gęsta substancja, którą nazywamy powietrzem, wyzarła już w niej zięjące dziury. Tutaj konstrukcja z drewna to jak konstrukcja z sera.

– Czy wyobrażasz sobie wiosłowanie w czymś takim przez Atlantyki?

– Tak, rozumiem cię – powiedziałam. – Tylko ty nie wiesz, że to był prawdziwy pływający dom wariatów. Nie musiałeś mieć do czynienia z jego

szalonym kapitanem.

Nazywał się Lars Łupacz Główny. Powiedział mi, że Thor kazał mu żeglować do Grenlandii.

Lars nie przejmował się nawigacją, chociaż wiedział o niej więcej, niżbyście podejrzewali, ponieważ tym razem prowadził go bóg. Przechwyciłam go wraz z załogą w pasie ciszy morskiej, który przebywali na wiosłach. Dwa dni dzieliły ich od śmierci głodowej. Jeszcze trochę i zaczęliby zjadać swoich towarzyszy, którzy wcześniej przenieśli się do Walhalli.

Powiem ci, że smród na tej...

– Nie ma w tobie cienia romantyzmu, Louise.

Zastanowiłam się nad tym.

– Nie mogę sobie na to pozwolić – odpowiedziałam po chwili. – Za dużo jest jeszcze pracy do zrobienia.

– O tym właśnie mówię. Masz wiele wspólnego z Larsem, niezależnie od tego, czy to rozumiesz.

– Mam nadzieję, że nie pachnę tak jak on.

Niektóre z moich najlepszych ripost przechodzą nie zauważone. Martin ciągnął dalej, jakby mnie nie słyszał.

– Nigdy nie spotkałem kogoś z silniejszą wolą parcia naprzód. Nie ma już nowych łądów do odkrycia. Prawdę mówiąc, wszystko, co możesz zrobić, to przesunąć datę zakończenia przedstawienia o dzień czy o tydzień, a ty pchasz!

Poczułam się niezręcznie. Nie ulega wątpliwości, że pod jednym względem mnie rozszyfrował: mało mnie obchodzą romantyczne idee, takie jak los ludzkości, bogowie albo „dobro musi zatryumfować”. Widziałam los w akcji i mogę wam powiedzieć, że to jedno wielkie świństwo.

– Co ludzie mówią tam w sali? – spytał. – Jak przyjmują moją analizę sytuacji?

– Nikt nie jest zachwycony. Powiedziałeś, że sytuacja jest beznadziejna, i myślałem, że wszyscy się z tobą zgadzają. W sprawach Bramy i strumienia czasu jesteś niekwestionowanym autorytetem.

– Czy nikt nie ma pomysłu? Planu działania?

– Jakim cudem? Oczekują od ciebie, że znajdziesz wyjście. A ty powiedziałeś, że wyjścia nie ma. Gdyby mieli spadkobierców, pewnie pisaliby teraz testamenty.

Spojrzał na mnie z uśmiechem.

– Racja. Jaki więc masz plan?

STRAŻNICY CZASU

Rada składa się z dziewięciu osób. Nie wiem dlaczego, chociaż Wielki K. mógłby mi powiedzieć, gdybym spytała, ponieważ to on wybiera i mianuje członków Rady. Lubiłam sobie wyobrazać, że jeżeli kiedyś spieprzymy sprawę totalnie i wszechświat rozlezie się w szwach, tak że wszystkie epoki będą ze sobą współistnieć, w ten sam sposób ustalilibyśmy drużynę na mistrzostwa świata.

Oficjalna nazwa brzmi Rada Programowa. Jest to czysta uprzejmość. Oni niczego nie programują. Komputery od dawna są zbyt skomplikowane i dokładne, żeby zwykły śmiertelnik mógł grzebać w ich instrukcjach.

Są jednak cechy, których nikomu jeszcze nie udało się wprowadzić do banków pamięci.

Nie pytajcie mnie, jakie to cechy.

Jedną z nich może jest wyobraźnia, inną empatia. Niewykluczone też, że przeceniam gatunek ludzki. Może Wielki K. utrzymuje Radę, żeby mu się nie przewróciło w głowie, żeby nie stać się Bogiem. Istnieje takie niebezpieczeństwo. Może dla zachowania perspektywy Wielki K. potrzebuje kontaktu z głupotą, przesadami, złośliwością i zwykłym samolubstwem.

Albo, jak my wszyscy, musi się co jakiś czas po prostu pośmiać.

Tak czy inaczej, Rada stanowi coś na kształt rządu. Żeby wejść w jej skład, trzeba być niewiarygodnie starym, mieć trzydzieści sześć czy siedem lat, dobrze powyżej średniej przeżywalności.

Nie trzeba dodawać, że wszyscy członkowie Rady są gnomami. Z większości zostało niewiele oprócz centralnego układu nerwowego. Czasem zostaje tylko mózg, a w więcej niż jednym przypadku podejrzewam, że nawet tego nie ma.

Są też poza wiekiem inne wymagania, ale nigdy nie udało mi się ich odkryć. Na pewno inteligencja i ekscentryczność. Jeżeli jesteś trzydziestoosmioletnim supergeniuszem i nie sposób z tobą wytrzymać, to masz znakomite szansę na znalezienie się w Radzie.

Dziwna to zbieranina. Większość z nich, w odróżnieniu od innych gnomów, nie dba o wygląd. Niektórzy zdecydowali się umieścić swoje mózgi w pełnych sztucznych ciałach, ale częściej nie bardziej przypominają ludzi niż mój Sherman. Ali Teheran jest taki jak Larry: tors umieszczony na piedestale. Marybeth jest gadającą głową, gęba na słupku, jak w tanim horrorze. Nancy Jokohama to mózg w naczyniu, a Bezimienny to tylko głośnik na biurku.

Jedynie Wielki K. wie, kim, gdzie i czym on jest.

Kto zna ich prawdziwe znaczenie? Wątpię, czy oni sami potrafią na to odpowiedzieć.

Faktycznie jednak nigdy nie słyszałam, żeby Wieki K. podważył jakąś decyzję Rady. A plan „Brama”, ostatnia wątpla nadzieja ludzkości, wyłągł się w sali Rady, nie w superzimnych synapsach Wielkiego K.

Zrozumiałe, że byłam odrobinę stremowana, mając wystąpić przed tak dostojnym gronem. Z kapsuły czasu wiedziałam, że to mnie czeka. Nie wiedziałam natomiast, że poproszę o audiencję, myślałam, że zostanę wezwana. Nie byłam z tego powodu ani trochę szczęśliwsza.

Chciałam, żeby poszedł ze mną Martin Coventry, ale odmówił. Patrząc na nich, rozumiałam dlaczego. On ich nienawidził, nienawidził z instynktowną pasją, którą znałam aż za dobrze. Podczas gdy moim przeznaczeniem było rozkładać się za życia, póki mnie nie zainstalują wśród innych gnomów w sztabie, Martin Coventry miał trafić tutaj. Od dziewiątego roku życia był niewątpliwym kandydatem do Rady. Nie mam mu za złe, że nie chciał oglądać swojej przyszłości.

Sala Rady zachwycałaby hollywoodzkiego scenografa. Była futurystyczna jak cholera.

Ścian nie mogłam znaleźć, póki na którąś nie wlałam. Zupełnie jakby człowiek stał na rozległej, pozbawionej jakichkolwiek cech równinie, całej białej, z dziewięcioma cudakami siedzącymi za wygiętym czarnym stołem albo na nim.

Cóż, jeżeli im się tak podoba, to bardzo proszę.

Uznałam, że szefem jest Peter Phoenix, bo siedział pośrodku. Miał wygląd bardziej ludzki niż cała reszta razem wzięta, no, może był trochę zrobiony na starotestamentowego Boga. To on rozpoczął uroczystość.

– Rozumiem, że zdarzył się twonk i że masz plan, żeby to naprawić.

– Dwa twonki – powiedziałam, zastanawiając się, czy to właściwa liczba mnoga.

– A ty, być może, jesteś odpowiedzialna za jeden z nich? – Phoenix uniósł ciężką brew. Prawie słyszałam skrzyp lin.

– Możliwe. Jestem gotowa przyjąć wasz osąd w tej sprawie. I waszą karę.

– Mów zatem.

Opowiedziałam im o tym nieszczęsnym dniu, który skończył się śmiercią Pinky, Ralpa i prawdopodobnie Lilly. Przekazałam historię z porywaczem najprościej, jak potrafiłam, nie ukrywając żadnej okoliczności, która mogłaby mieć znaczenie. Minęło około czterdziestu ośmiu godzin czasu rzeczywistego od śmierci Pinky. Ostatnie dwadzieścia cztery z nich, po rozmowie z Coventrym, spędziłam przy monitorze czasu, poznając pana Smitha chyba lepiej niż jego rozwiedziona żona. To był człowiek, o którym chciałam rozmawiać z Radą, ale uznałam, że najlepiej będzie dojść do tego stopniowo.

Streściłam więc wykład Coventry’ego z poprzedniego dnia, opowiadając im historię pierwszego twonka, tego, za który nie ponosiłam odpowiedzialności, poza

pośrednią odpowiedzialnością przełożonego osoby, która błąd popełniła. Powiedziałam im, że nie natrafiliśmy na ślad broni i mamy prawie stuprocentowe prawdopodobieństwo, że jeśli ktoś znalazł paralizator w ostatnich pięciuset stuleciach, nie zrobi! nic, co zmieniłoby jego czyjej życie.

– Nareszcie jakaś dobra wiadomość – wypowiedziała się Nancy Jokohama.

Chciałabyś takich więcej, o odrażająca? Właśnie wpuściłam stadko piranii do tego akwariium, w którym pływają twoje szare komórki, pomyślałam.

Dałam sobie z tym spokój, nawet mój brak szacunku ma swoje granice.

– Nieprawdaż? – rozpromieniłam się. – A teraz klasyczny ciąg dalszy. Zła wiadomość polega na tym, że zlokalizowaliśmy drugi paralizator. Piekielnie trudno będzie go odzyskać.

Czy mogę prosić o monitor?

Spod podłogi tuż koło mnie wyłonił się monitor czasu. Obejrzelismy zmontowane wyniki trzydziestu godzin poszukiwań, efekt pracy prawie tysiąca agentów.

Pierwsza scena pokazywała miejsce upadku DC-10. Prawie czarny ekran rozświetlały drobne, urocze ogniki. Kamera zrobiła najazd, aż ekran wypełnił prawie całkowicie jeden robotnik, który, wyraźnie wstrząśnięty, ciągnął plastikowy worek. Mężczyzna schylił się, podniósł coś i miał wrzucić do worka. Obraz zastygł i na zbliżeniu zobaczyliśmy przedmiot w jego ręku. Był to paralizator Ralpha. W jego wnętrzu płonęło czerwone światełko.

To jest pierwszy kontakt człowieka z tym twonkiem. Nic poważnego, jak widzicie.

Ten osobnik nie ma pojęcia, co znalazł. W jego zachowaniu nie zaszła zmiana, która mogłaby zmienić bieg czasu.

Twonk został zabrany do budynku przeznaczonego na składanie nieorganicznych szczątków pozostałych po katastrofie.

Pozwoliłam im obejrzeć wnętrze budynku przedstawione na monitorze. Układkiem wytarłam ręce o spodnie.

– Nieorganiczne szczątki...

Wciągnęło mnie to. Za dużo czasu spędziłam w towarzystwie Martina Coventry'ego, a co gorsze, wiele okien czasowych, w których mogliśmy obserwować Billa Smitha, zostało pochłoniętych przez nie kończące się zebrania. Nagle przeszłam na płynny język techniczny, uniwersalny żargon wymyślony przez „ekspertów”, żeby imponować niewtajemniczonym.

Zaczęto go pewnie tworzyć w czasach krzemienych siekierek i od tego czasu stawał się coraz mniej zrozumiały.

Nie mogłam nic na to poradzić. Przez dwadzieścia cztery godziny słuchałam popisów mistrzów tego języka na kolejnych naradach, przesłuchaniach i konferencjach prasowych z powodu katastrofy.

Niemniej jednak musiałam uważać. Jeszcze trochę, a znajdę wspólny język z biurokratami, stamtąd już tylko jeden mały krok do dna upadku, które w dwudziestym wieku znano jako język prawniczy.

– Nie widzimy go tutaj – kontynuowałam. – Zadanie utrudnia nam to, że między zdjęciem Bramy po zakończeniu akcji a krytyczną chwilą w czterdzieści osiem godzin później, kiedy sytuacja paradoksalna stała się nieuchronna, napotykamy cztery białe plamy.

Rzecz jasna nie możemy wiedzieć, w jakim celu używano Bramy te cztery razy, ale wiemy, że nie jest to skutek naszych wcześniejszych działań.

– Zatem będą spowodowane wyprawami w przeszłość, które dopiero zostaną podjęte – odezwał się Ali Teheran.

Czy za takie genialne spostrzeżenia żywię do Rady nabożny szacunek? No cóż.

Kiwnęłam głową i jechałam dalej.

– Pomijając to... powtórne natrafienie na ślad twonka jest teraz kwestią prawdopodobieństwa.

Stwierdzeniem tym wywołałam podobną reakcję, jak wcześniej Martin Coventry.

Usłyszałam nawet czyjś jęk, tym razem na pewno nie mój. Wydaje mi się, że to był Bezimienny.

– Wszystko teraz zależy od zachowania tego człowieka. William, zwany Billem, Smith, czterdzieści parę lat, szef terenowego zespołu śledczego Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu.

Na ekranie ukazał się obraz dość niechlujnego, zakatarzonego, ciemnowłosego faceta, którego w ostatnich godzinach poznałam aż za dobrze. Przytrzymałam go, żeby Rada mogła sobie lepiej obejrzeć człowieka, który nagle stał się punktem zwrotnym historii w znanej nam wersji. Nie mogłam się powstrzymać, żeby też jeszcze raz na niego nie spojrzeć. Nie był to ktoś, kogo bym wybrała do roli najważniejszego człowieka we wszechświecie...

Dziwne, ale przypominał trochę Roberta Redforda. Gdyby Redford ostro pił i gdyby dodać mu piętnaście lat cichej rozpaczki oraz niefortunny sposób zaciskania ust, a także lekkiego zęza i nos skręcający w lewo... gdyby Redford był moczygębą i pechowcem, byłby Billem Smithem. Wyglądało to tak, jakby dwóch ludzi budowało model z identycznych części, ale jeden trzymał się instrukcji, a drugi zebrał wszystko byle jak i upaprał klejem.

Przeszłam do podsumowania.

– Działania Smitha, począwszy od ostatniej białej plamy, są decydujące. Ustaliliśmy, że wszedł do hangaru ze szczątkami samolotu w czterdzieści osiem godzin po katastrofie.

Kiedy wychodzi, jest już obłuzowany w strumieniu czasu. – Pokazałam ten fragment na monitorze. Byłam zmęczona gadaniem.

Zobaczyliśmy go, jak wychodzi, ale nie stanowił tak ostrego, idealnego obrazu człowieka, jak kiedy wchodził. Miał rozmazane kontury, był jak nieostre zdjęcie albo raczej jak pięciokrotna ekspozycja na tej samej kliszy.

– Określiliśmy pięć różnych głównych linii działania z tego punktu wyjścia – mówiłam dalej. – W dwóch z nich wychodzi z hangaru z bronią, przynajmniej tak nam się wydaje.

Bardzo trudno dostrzec szczegóły. W jednej z tych dwóch linii broń jest zbyt słabym czynnikiem, żeby zburzyć jego życie, i po jakimś czasie świat wraca w stare koleiny. W drugiej znalezienie paralizatora zmienia życie Billa Smitha na zawsze z wiadomymi konsekwencjami dla nas.

W trzech pozostałych scenariuszach wychodzi z hangaru bez broni. W dwóch z nich włącza się na powrót w bieg historii. Ale w ostatnim, piątym, wyłamuje się radykalnie.

– Mimo że nie ma paralizatora? – spytał Peter Phoenix.

– Zgadza się. Nie wiemy dlaczego.

– Coś mu się przydarzyło tam w środku – powiedziała Jokohama.

– Tak. Rzecz jasna próbowaliśmy się dowiedzieć, co to było, jednak ponieważ stało się to podczas temporalnej cenzury, pewnie nigdy się nie dowiemy. – Zakładałam, że nie trzeba im tego zjawiska wyjaśniać, ale może warto się chwilę nad tym zatrzymać, bo miałam teraz olśnić ich swoim planem, który opierał się na prawach cenzury.

Istnieje absolutna cenzura temporalna i cenzura bliskości. Obecność Bramy jest najlepszym przykładem tej pierwszej. Kiedy Brama jest czynna, kiedy rzeczywiście pojawia się w określonym czasie, nigdy już nie możemy wyprawić się do tego czasu ani go zobaczyć.

Efekt bliskości działa nieco inaczej. Moja ostatnia wyprawa do Nowego Jorku w rok 1984 stanowi dobry przykład. Brama się pojawiła, przerzuciłam przez nią Mary Sondergard i Brama znikła. Wróciła do tego roku dopiero następnego dnia. Ale przez prawie dwadzieścia cztery godziny ja żyłam w przeszłości, stając się czymś w rodzaju twonka. Gdybym spróbowała zajrzeć do tych dwudziestu czterech godzin w Nowym Jorku, zobaczyłabym tylko wyładowania elektryczne, bo stanowiłam zakłócenie w strumieniu czasu. Nieożywiony twonk działa tak samo, tylko dużo słabiej.

Nie można spotkać samego siebie. O ile wiemy, jest to absolutnie niezłomna zasada podróży w czasie. Rozciąga się ona także na widzenie siebie i dalej, na widzenie siebie przez kogoś, kto mógłby ci opowiedzieć, co widział. W ten sposób Martin Coventry nie mógł zajrzeć do pokoju motelowego, w którym spędziłam noc, podobnie jak nikt inny z mojego czasu. Ten okres był dla nas zamknięty.

Co więcej, moja obecność w tym pokoju stworzyła strefę ocenzurowaną, obejmującą większość Wschodniego Wybrzeża. Mogliśmy nadal monitorować

Kalifornię podczas tej nocy, ale na próżno próbowalibyśmy zobaczyć coś, co się wydarzyło w Baltimore.

Z tego samego powodu nie mogliśmy zbyt dokładnie obserwować Smitha po jego przybyciu do Kalifornii i rozpoczęciu śledztwa. Na tym właśnie miała się opierać moja argumentacja wobec Rady. Oprócz okien absolutnej cenzury, wskazujących, kiedy Brama będzie użyta, było wiele miejsc objętych efektem bliskości.

To prawdopodobnie oznaczała, że ktoś z nas związany był z wydarzeniami w hangarze. Przynajmniej dla Coventry'ego i dla mnie znaczyło to, że ktoś z naszego czasu znajdzie się w 1983 roku, na skutek czego cenzura temporalna nie dopuszcza do nas wiadomości, które mogłyby się przydać w planowaniu tego, co chcemy zrobić, czyli co zrobiliśmy.

Jeżeli tego nie rozumiecie, weźcie pięćdziesiąt aspiryn i zadzwońcie do mnie jutro z rana.

– Rozumiem, że jesteś za wysłaniem kogoś w celu naprawienia sytuacji – uprzedzając mnie odezwał się Phoenix.

– Tak, z dwóch powodów. Jeżeli nie zrobimy nic, narastające skutki tego faktu będą posuwać się w górę czasu. Powiedziano mi, że tempo zbliżania się tej fali... jeden z inżynierów nazwał to „trzęsieniem czasu”... wynosi około dwustu lat na godzinę. Czy taka liczba ma jakiś sens? Ja...

– Znamy tę teorię – skarcił mnie Teheran. – Kiedy fala dotrze tutaj, gdzie było źródło zaburzenia, nastąpi korekta rzeczywistości, w górę i w dół strumienia czasu.

– I my wszyscy zostaniemy z niego usunięci – dokończyłam za niego. – My i wszystkie efekty naszej działalności. Sto tysięcy uratowanych ludzi pojawi się na powrót w spadających samolotach, na tonących statkach, w wybuchających fabrykach, na polach bitew i na dnie kopalń. Plan „Brama” przestanie istnieć. Nas to będzie mało obchodzić, bo nas też nie będzie.

Nigdy się nie urodzimy.

– Są też inne teorie – odezwał się Bezimienny.

– Wiem o tym. Jednak w pięćsetletniej historii akcji ratunkowych nikt nie zaproponował, żeby się na którejś z nich oprzeć. Kilka godzin temu posłałam na śmierć dziewczynę, ponieważ wpojono mi przekonanie, że należy traktować tę teorię jako dowiedziony fakt. Czy to znaczy, że zmieniamy teraz teorię? – Potwierdź to, ty plugawa kreaturo, a odnajdę cię i wymyślę sposób, żeby ci zadać ból.

– Nie – odpowiedziało to coś. – Mów dalej. Wspomniałaś o drugim powodzie, dla którego należy podjąć to działanie.

– Lecz w mojej opinii – wtrącił Teheran – nasze działanie może wywołać taki sam kataklizm jak ten, którego chcemy uniknąć.

– W tej sprawie muszę się odwołać do waszego sądu – powiedziałam. – Sama

podejrzewam, że coś takiego może się zdarzyć. Jednak drugi powód wiąże się z wiadomością z kapsuły czasu, którą przeczytałam dwa dni temu.

Nastało wśród nich poruszenie. Kto mówi, że my, wysoko rozwinięci ludzie przyszłości, nie jesteśmy przesądni? Wiadomość była napisana moją ręką. Znaczyło to, że napiszę ją, kiedy będę trochę starsza i, miejmy nadzieję, trochę mądrzejsza.

I równie cyniczna. „Nie wiem, czy ta misja jest sprawą życia i śmierci, ale tak im powiedz”, napiszę.

Nie było potrzeby dodawać: „Nie pokazuj nikomu tego listu”. Takie łgarstwo nigdy by nie zadziało, gdyby ktoś oprócz mnie zobaczył wiadomość.

Powiedziałam więc:

– Otrzymałam wiadomość, że ta wyprawa ma decydujące znaczenie dla planu „Brama”. – Oparłam się wygodnie i czekałam.

Po dwudziestu minutach miałam w ręku niezbędne upoważnienie.

8.

MOJE POTRÓJNE JA

W grę wchodziły cztery dni, od dziesiątego do trzynastego grudnia. W czasie tych czterech dni Brama została (czy też zostanie) użyta sześć razy.

Po raz pierwszy dziesiątego, kiedy wkroczyłam do nowojorskiego motelu.

Za drugim razem był to właściwie szereg starannie zaplanowanych wejść od popołudnia do wczesnych godzin nocnych jedenastego grudnia, podczas lotu obu samolotów.

Oba te okresy były teraz dla nas zamknięte. Nie miało to znaczenia, gdyż dotyczyło czasu przed zgubieniem paralizatora.

Samoloty zderzyły się o dwudziestą pierwszą jedenastej czasu pacyficznego.

Pierwsza biała plama czasowa po tej katastrofie występuje od ósmej do dziewiątej rano następnego dnia, czyli dwunastego grudnia. Postanowiliśmy nazwać to Oknem A, ponieważ był to pierwszy okres, do którego nie wysłaliśmy jeszcze Bramy, co znaczyło, że kiedyś wysłamy.

Drugie okno, które wykazując duży brak wyobraźni nazwaliśmy Oknem B, przypadało później tego samego dnia, od drugiej do czwartej po południu. Okno C było długie. Zaczynało się o dziewiątej wieczorem dwunastego i ciągnęło się do dziesiątej rano dnia następnego.

Okno D było oknem paradoksu. Zbiegało się z wizytą Smitha w hangarze nocą trzynastego.

Każde z tych okien miało swoje wady i zalety.

A znajdowało się w takiej odległości od paradoksu w głąb czasu, że Smith nie miał jeszcze szans, żeby coś zwęszyć. Zgodnie z naszymi badaniami w czasie Okna A prawie wszystkie szczątki obu samolotów znajdowały się w hangarze. Gdybyśmy wykorzystali to okno, próbowalibyśmy odnaleźć paralizator przed sortowaniem szczątków. Gdyby nam się udało, oznaczałoby to koniec kłopotów.

Okno B zapowiadało się najmniej obiecująco. W tym czasie prawdopodobnie odbywało się pierwsze przesłuchanie nagrania z kabiny załogi Boeinga 747. Uznałam, że wyprawię się tam, jeżeli i kiedy zawiedzie moja pierwsza opcja, gdyż B nadal oznaczało minimalną interwencję.

Co do Okna C...

Tylko ja czytałam list z kapsuły czasu i już na tak wczesnym etapie przygotowań nabrałam lęku do C. Nie wiem dlaczego, ale czułam się okropnie na myśl o spędzeniu nocy w Oakland. „Powiedz mu o dziecku. To tylko pustak”.

Dziękuję, nie.

Coventry przekonywał do D. Brać byka za rogi, to było jego podejście. Zastanawiałam się, czy zaczął się widzieć w roli Larsa Łupacza Główny, już nie historyka, lecz człowieka czynu. I zastanawiałam się, czy myślałby tak samo, gdyby to on miał przejść w tamte czasy i stawić czoło groźbie paradoksu.

Jeszcze raz dziękuję.

Ja opowiedziałam się za A i opowiadając się twardo i często, postawiłam na swoim.

Potem uznałam, że ekspedycja winna być jak najmniej liczna, to jest jednoosobowa. Coventry musiał przyznać mi rację. Kiedy manipulujesz przy strumieniu czasu, im delikatniej to robisz, tym lepiej.

A kiedy chcesz, żeby robota była wykonana należycie, możesz posłać tylko jedną osobę. Siebie.

Przy tempie dwustu lat na godzinę mieliśmy na rozwiązanie problemu nieco ponad osiem dni. Nie było to zbyt wiele. Z drugiej strony było tego tyle, że postanowiłam wykorzystać wszystkie dostępne mi środki. Dlatego zamiast przeskoczyć przez Bramę do ranka dwunastego grudnia i grzebać w odpadkach, postanowiłam się nieco podedukować.

Było to dziesięć godzin dobrze spędzonych.

Trzy cybernetyczne pamięci wszczepione w mój mózg zostały wypełnione danymi.

Wielki K. wziął wszystko ze swojej pamięci na temat dwudziestego wieku do początku lat osiemdziesiątych i przekazał to moim mózgowym mikroprocesorom.

Nie powinnam wyśmiewać się ze zdolności umysłowych mieszkańców dwudziestego wieku. Robili to, co mogli, z tym, co mieli. W ciągu pięciuset stuleci mózg ludzki rozwinął się niewiele: mogłam nauczyć się języka w sposób konwencjonalny w ciągu dwóch dni, ale zmiana jakościowa była znikoma. Dobrym porównaniem mogą być czasy w biegu na jedną milę. Kiedyś granica czterech minut wydawała się nieosiągalna. Później przekraczanie jej stało się normą i biegacze atakowali trzy i pół minuty. Ale nikt nie planował przebiegnięcia mili w równe dwie minuty.

Tymczasem przebycie mili w jedną sekundę nie jest problemem, jeżeli się dysponuje silnikiem odrzutowym.

W podobny sposób nauczenie się języka suahili w ciągu jednej minuty lub pochłonięcie zawartości całej biblioteki w ciągu godziny nie jest wielką sztuką, jeżeli się ma wbudowane w głowę odpowiednie urządzenia do przechowywania i sortowania danych.

To wspaniałe narzędzie. Człowiek uczy się płynnego, idiomatycznego języka i otrzymuje rozległy kontekst kulturalny.

Trzy miniaturowe krystaliczne pamięci wessały encyklopedię, prasę, filmy, programy telewizyjne, mody, fantazje i przesady z równą łatwością. Kiedy

skończyłam, miałam wiedzę o dwudziestym wieku w małym palcu. Mogłam czuć się w latach osiemdziesiątych zupełnie swobodnie.

Jak każde narzędzie, taki cybernetyczny dopalacz ma swoje słabe strony. Jest lepszy w języku i faktach niż w rozpoznawaniu obrazów. Nie potrafiłabym na przykład spojrzeć na strój i tak jak ktoś miejscowy określić dziesięciolecie, z którego pochodzi. Mogłam poruszać się w dwudziestym wieku z pewną swobodą, ale gdybym posiedziała tam odpowiednio długo, na pewno palnęłabym jakieś anachroniczne głupstwo.

Ale co może się zdarzyć w ciągu jednej godziny?

Dzień był okropny. Całą noc padało i jedynym powodem do radości w tym dniu było to, że wreszcie deszcz ustał. Niestety, razem z nim odeszła pokrywa chmur i, co gorsza, opad wymył prawie cały smak z powietrza. Niebo było ogromne, nieziemsko błękitne i oddalone o miliard mil. Słońce świeciło tak jasno, że nie mogłabym na nie spojrzeć, nie ryzykując uszkodzenia siatkówek. Jakby nie było dość, że łało się z niego niezdrowe promieniowanie.

Jak ci ludzie mogli żyć z takim czymś wiszącym im nad głową? A powietrze było tak mdłe i czyste, że widziałam powiat Marin.

Słowa są zabawne. Uświadomiłam sobie, że właśnie opisałam coś, co ludziom z dwudziestego wieku wydawało się pięknym porankiem. Rześki chłodek, czyste powietrze, dużo zdrowego słońca, doskonała widoczność.

A ja stałam tam, nie mogąc złapać tchu i czując się naga pod tym okropnym niebem.

Kłopoty z oddychaniem w dziewięćdziesięciu procentach wynikały ze zdenerwowania, mimo to poczułam się znacznie lepiej po użyciu inhalatora, który przytomnie zabrałam. Gdyby skorzystał z niego ktokolwiek inny, czekałaby go przykra niespodzianka.

Zawarte w nim związki chemiczne zabijają karaluchy i zostawiają plamy na nierdzewnej stali.

Brama wyrzuciła mnie przy wschodniej ścianie gigantycznego stalowego hangaru, w którym składowano szczątki obu samolotów. Tak przynajmniej mówiła teoria. Obeszłam róg i przez otwarte drzwi zajrzałam do środka. Stały tam dwa PSA 727, a wokół nich kręciła się kupa mechaników.

Niedobrze. Oznaczało to zaburzenie strumienia czasu. Rozejrzawszy się i określiwszy strony świata, stwierdziłam, że właściwy hangar znajduje się w odległości ćwierć mili.

Taka pomyłka w drugą stronę oznaczałaby wyrzucenie mnie do zatoki. Oczywiście zawsze pozostawał jeszcze jeden kierunek: mogłam wyjść ćwierć mili nad lotniskiem...

Było to długie ćwierć mili. Czulałam się jak mrówka na talerzu. Nic tylko bezkresny beton, jeszcze mokry po nocnym deszczu, i to nieskończone okropne

niebo. Myślicie może, że po pięciuset stuleciach znaleźliśmy pigułkę na agorafobię.

W hangarze natychmiast zauważyłam dwie kobiety ubrane tak jak ja. To dodało mi otuchy, znajdowałam się na znajomym gruncie. Spędziłam dużo czasu na udawaniu jednej z tych umundurowanych kobiet. Obserwowałam je uważnie, żeby się zorientować, co robią, i okazało się to wielce prozaiczne. Robotnicy zbierający szczątki pracowali przez całą noc i większość z nich nie miała nawet chwili najedzenia. Dlatego United przysłało kilka stewardes, żeby rozdawały kawę i pączki. No, w tym miałam spore doświadczenie.

Przechwytywanie pasażerskiego odrzutowca składa się w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach z podawania kawy i w jednym procencie z przechwytywania.

Znalazłam stół, na którym ustawiono maszynkę do kawy, i wymieniłam kilka uprzejmości z obsługującą ją kobietą. Z miejsca uznała mnie za osobę, za którą się podawałam. Wzięłam tacę, ustawiłam na niej tuzin styropianowych kubków, napełniłam je, zgrnęłam garść torebek z cukrem, parę śmietanek w proszku i ruszyłam w obchód.

W każdym razie starałam się sprawiać wrażenie, że roznoszę kawę. Szybko zorientowałam się, że jedna kobieta może sobie dać radę z pracą, do której United przydzieliło trzy. Nic zaskakującego, od czasów, kiedy ludzie żyli w lepiankach, przyjęła się zasada, że trzeba przynajmniej trzech osób, żeby coś zrobić: jedna do roboty, jedna do kierowania i jedna do dawania dobrych rad. Widziałam to podczas polowania na mamuty w roku czterdziestotysięcznym przed Chrystusem i widziałam to na statkach międzygwiazdnych. Mogłabym wpaść w tarapaty, gdyby nie inna powszechna ludzka cecha.

Jeżeli sprawiasz wrażenie osoby zajętej, która wie, co robi, najprawdopodobniej nikt cię nie zaczepi.

Zabrałam się więc do pracy. W ciągu pierwszych dwudziestu minut wydałam jeden kubek kawy i omal nie pozbyłam się jednego pączka, ale facet w końcu się rozmyślił. Pewnie po tym, co widział tego ranka, zastanawiał się, czy w ogóle będzie jeszcze kiedyś jadł.

Ilekcroć miałam okazję, zerkalam na zegarek. Był to tym razem cyfrowy Seiko, nie bardziej autentyczny niż dolary w mojej torebce. Miał wbudowany wskaźnik, który powinien kierować się na przeciek energii z uszkodzonego paralizatora.

Między stosami szczątków pozostawiono przejścia, niektóre tak szerokie, że mogła nimi przejechać ciężarówka, zresztą strumień ciężarówek nadciągał nieustannie z Livermore przez cały czas, kiedy tam byłam, i około pięćdziesięciu ludzi było stale zatrudnionych przy ich rozładunku. Dwóch czy trzech mężczyzn kierowało selekcją szczątków na kilka kategorii: elementy kadłuba, silnik, elektronika, hydraulika i tak dalej. Wydzielono też obszar na wyposażenie wnętrza, głównie wypalone skorupy foteli.

Widać było dużo kolorowych papierów i folii, na ogół nadpalonych po brzegach.

Musiałam sięgnąć do mojej cybernetycznej pamięci, żeby się zorientować, że są to pozostałości gwiazdkowych prezentów. Widziałam nowe ubrania, niektóre wciąż w foliowych opakowaniach, oraz ozdobnie zapakowane paczuszki. W jednym miejscu leżał stos zwęglonych dziecięcych zabawek.

Wydzielono też miejsce, największe jak dotychczas, na kategorię szczątków, które najprościej można by określić jako nie wiadomo co.

Zajmowało to chyba z akr powierzchni i mój zegarek wskazywał, że paralizator jest gdzieś tam.

Stały tu duże foliowe worki na śmiecie. Z części przewróconych worków wysypała się zawartość i sama miałabym trudności z określeniem, co to jest. Niewykluczone, że znajdowały się tam nawet jakieś kawałki pasażerów. Widocznie robotnicy chodzili po miejscu katastrofy zbierając wszystko, co nie powinno się znajdować na pastwisku, i jeżeli nie wiedzieli, co to jest, zwalali znalezisko tutaj do późniejszej selekcji.

Naliczyłam sto worków, a nie doszłam jeszcze dalej jednej czwartej sektora.

Starłam się wymyślić jakieś usprawiedliwienie, dlaczego grzebię w workach, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Nadal nie wiem, co by tu można wymyślić. Gdybym miała choć z dziesięć osób i pięć albo sześć godzin na poszukiwania, pewnie bym znalazła ten paralizator. Tymczasem miałam trzydzieści minut, siebie i tylko siebie oraz stu pięćdziesięcioosobową zaciekawioną widownię. (Czego tam szukasz, mała? Pamiątek? Palców z pierścionkami? Najważniejszego przedmiotu w całym wszechświecie?).

– Chętnie skorzystam z tej kawy...

Kawa? A, prawda, jestem tutaj, żeby częstować kawą. Odwróciłam się ze starannie wyliczonym uśmiechem i zobaczyłam jego.

Billa Smitha. Gwiazdę przedstawienia.

Czas jest podstawowym materiałem w moim zawodzie i nie powinnam już być zaskoczona figlami, które potrafi płać, jednak ta chwila była bardzo podobna do niewiele wcześniejszej, kiedy kula terrorysty trafiła mnie w ramię. Czas stanął w miejscu i chwila stała się wiecznością.

Pamiętam strach. Byłam aktorką, grającą na scenie przed najważniejszą publicznością w moim życiu, i zapomniałam roli. Byłam oszustką, każdy to widział, nie mogłam uciec przed demaskacją. Byłam żalonym monstrem ukrywającym się w oszukańczym skórokombinezonie, stworem z niewyobrażalnej przyszłości. Cały świat opierał się na tym jednym człowieku i na tym, co z nim albo jemu zrobię, a oto miałam się do niego odezwać i podać kubek kawy jak jakiemuś zwykłemu śmiertelnikowi.

A jednocześnie taki właśnie był. Dobrze znałam Billa Smitha: rozwód,

rozwijający się wrzód, problem alkoholowy i tak dalej. Czytałam jego biografię od dzieciństwa w Ohio przez szkołę lotniczą marynarki, lądowania na lotniskowcu, lotnictwo cywilne i praca u Boeinga, kolejne awanse w Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu i wcześniejsza emerytura, aż wreszcie wypadek na łodzi, w którym zginie.

I to było bolesne. Wiedziałam, jak ten człowiek zginie. Jeżeli moja misja się powiedzie, jeżeli zdołam zawrócić bieg wydarzeń na tory, które strumień czasu zaakceptuje, na drogę przeznaczenia, to Bill Smith będzie kontynuował swój powolny upadek. Będzie sam siebie zabijał, aż śmierć stanie się wyzwoleniem.

Po raz pierwszy dla mnie baran uzyskał nazwisko i biografię. I krzywy, zmęczony uśmiech.

Odwrociłam się, popatrzyłam na niego może przez sekundę i zaczęłam się oddalać. – Hej, a co z kawą? Szłam coraz szybciej. Prawie biegłam.

W swojej pracy z Bramą popełniałam różne błędy. Zdarzały mi się niepowodzenia. Z chwilą, kiedy objęłam najwyższe stanowisko, błędy innych stały się w pewnym sensie moimi błędami. Na przykład, zawsze będę niosła brzemię błędu, który popełniła Pinky. Moja wina, że nie wyćwiczyłam jej, jak należy.

Ale szczególna wina wiąże się z tym dniem, z tą pierwszą wyprawą w celu zapobieżenia paradoksowi, bo sama nie wiem, czemu postąpiłam tak, jak postąpiłam.

Wypadłam z hangaru i przebiegłam ćwierć mili do miejsca, w którym Brama mnie wyrzuciła. Siedziałam pod rym nienawistnym niebem, aż zgodnie z planem Brama pojawiła się powtórnie i mogłam do niej wskoczyć.

„Przeznaczenie” jest najobrzydliwszym słowem w każdym ludzkim języku.

To pierwsze spotkanie było jedną jedyną niepowtarzalną szansą, żeby przeciąć węzeł paradoksu w sposób czysty, u samego źródła, a ja to spałam. Czy powołuję się na przeznaczenie, żeby usprawiedliwić swoją winę, czy też nieunikniony los rzeczywiście schwycił mnie jak marionetkę i przegnał przez tor przeszkód jakiegoś kosmicznego rytuału?

Czasami wołałabym się w ogóle nie urodzić.

Z drugiej strony, żeby wyrazić takie życzenie, trzeba się najpierw urodzić. A jeżeli znów nawalę, tak jak za pierwszym razem, wszyscy znajdziemy się w takiej właśnie sytuacji.

Ludzie, którzy się nie urodzili, nie żyli, nie zaznali smaku powodzenia ani porażki. Może to kiepskie życie, ale moje własne, i akceptuję je bez zastrzeżeń.

Wróciłam z nie zmienioną determinacją. Nikt nie oczekiwał, że ta pierwsza wyprawa zakończy się sukcesem. Było to po prostu podejście bezpośrednie i

jedyne, które mogło kompletnie wyeliminować paradoks. Teraz spróbujemy metod bardziej wyrafinowanych.

Teraz rozpoczniemy wojnę powstrzymującą przeciwnika. Naszym zadaniem będzie ograniczenie paradoksu do rozmiarów, które wszechświat potrafi przełknąć: musimy go zamknąć, otorbić, łagodnie skierować wydarzenia na ich dawny tor i jeśli linia czasu drgnie jak struna gitary długości ośmiu miliardów lat, modlić się, że jej domniemana elastyczność ostatecznie zwycięży.

– To jest jak upychanie neutronów z powrotem do krytycznej masy uranu – zauważył Martin Coventry.

– Świetnie – powiedziałam. – Masz przecież maszynę, która to zrobi. Zaczynamy upychać.

– Sądzę, że on mówił w kategoriach dwudziestowiecznych – wtrącił Sherman.

Tak jest. Sherman.

Spojrzałam na niego ze złością. Widocznie za mało dziwów spotyka mnie w życiu.

Teraz mój robot zaczął się zachowywać dziwnie.

Był na miejscu, kiedy wróciłam przez Bramę, uśmiechał się i wyglądał, jakby coś przeszkrobał. Jedno i drugie trudno zrobić bez twarzy, zafundował więc sobie twarz na tę okazję. Jego obecność tam była sama w sobie niezwykła. O ile wiem, nigdy nie opuszczał mieszkania, odkąd go rozpakowałam. Ale twarz była czymś nie do pomyślenia.

Teraz zamknęliśmy się we trójkę w pokoju niedaleko pomieszczeń sztabu, żeby omówić klęskę pierwszej wyprawy. Obecny był także Lawrence za pośrednictwem dwustronnej łączności tele i podejrzewam, że przez Wielkiego K. mógł nas słuchać ktoś z Rady.

We trójkę! To pokazuje, do jakiego stopnia Sherman mną wstrząsnął. Wcześniej nie przyszłoby mi do głowy liczyć Shermana, tak jak się nie liczy stołu czy krzesła.

– Myślę, że Louise ma rację – odezwał się Lawrence. Spojrzałam na jego twarz na ekranie. – Nie należy się tym zbytnio przejmować. Powinniśmy przejść do następnej fazy.

– Obawiam się, że powstała już zbyt duża szkoda – rzekł Martin. Wyglądał na autentycznie przestraszonego. Widocznie wyszedł z fazy człowieka czynu, był znów ostrożnym historykiem... gorzej, historykiem praktykiem obdarzonym przerażającą zdolnością do pisania własnej historii.

– Jaka szkoda? – spytałam. – W porządku, nie zdobyłam tego, po co się tam wybrałam.

Jeszcze zanim tam wyruszyłam, nie ocenialiśmy moich szans zbyt wysoko.

– Zgadza się – powiedział Sherman. Czekałam, kiedy Martin albo Lawrence zaprotestują przeciwko idiotycznemu pomysłowi, żeby wibrator najnowszej

generacji zabierał głos w tych sprawach, ale żaden z nich nawet nie mrugnął okiem. Odwrócili się do Shermana, wyraźnie zamierzając go wysłuchać, zrobiłam więc to samo.

– Podsumujmy zdarzenia – kontynuował mój robot. – Smith ją zobaczył, ona spojrzała na niego i uciekła. Czy dobrze mówię? Nie szczerz się tak, Louise, nie do twarzy ci z tym.

– Poczekaj, aż dopadnę cię w domu ze śrubokrętem i lutownicą.

– Co będzie, to będzie. Teraz mówimy o twoim ostatnim niepowodzeniu. Czy moja relacja z tego niepowodzenia była zgodna z prawdą?

– Zaraz zedrę ci z głowy tę głupią gębę, ty...

– To nie ma żadnego związku z kwestią twojego...

– Przestań używać tego słowa!

– ...niepowodzenia. Siadaj, Louise. Oddychaj głęboko i zawrót głowy ci minie.

Posłuchałam i przeszło.

Sherman pochylił się nade mną i powiedział tak, żeby pozostali nie mogli słyszeć.

– Podjąłem pewne działania, które uznałem za właściwe. Ta nowa twarz jest jednym z nich. Sprowokowanie twojego wybuchu gniewu i jego rozładowanie też. Jeżeli już się uspokoiłaś i jeżeli uznasz moje prawo do udziału w tej naradzie, możemy wrócić do tematu, a twoje pretensje wyjaśnimy sam na sam.

Przełknęłam ślinę i kiwnęłam głową. Nie byłam pewna, czy mogę już mówić.

– Zatem zobaczył cię, a ty uciekłaś. Czy to jest istota sprawy?

Jeszcze raz kiwnęłam głową.

– Wobec tego nie sędzę, żeby powstała jakaś poważna szkoda. Nikt nie podejrzewa, że byłaś przebrana.

– Zgadza się – powiedział Lawrence. – Spójrzmy na to z jego strony. Zobaczył kobietę w uniformie stewardesy United Airlines, która przed nim uciekła.

– Dziwne zachowanie – wtrącił Martin.

– Jasne, ale będzie mogła się wytłumaczyć, kiedy go spotka następnym razem.

Możemy wymyślić jakąś opowieść...

– Zaraz, zaraz. O jakim następnym spotkaniu on mówi?

– To był mój pomysł – rzekł Sherman.

Przeniosłam powoli wzrok z jednego na drugiego.

– Nie proponowałaś tego w mojej obecności – powiedziałam. – To znaczy, że rozmawialiście już w trójkę beze mnie.

– Zgadza się – potwierdził Lawrence. – Sherman zjawił się w chwili, kiedy dotarła do nas nowa informacja.

– Jaka znów nowa informacja?

– Lawrence ujął to nie najlepiej – tłumaczył Sherman. – Przyszedłem i po wielkich kłopotach zmusiłem ich, żeby mnie wysłuchali. W końcu

poinformowałem ludzi w sztabie, że wiem, co za chwilę odkryją. Odkryli to wkrótce potem.

– Nie mamy pełnej jasności co do kolejności zdarzeń – wykręcał się Lawrence.

– Ja mam jasność – uciał Sherman.

– Czy ktoś może mi normalnie powiedzieć, o co chodzi? – spytałam. – Od początku do końca, tak jak dzieje się w czasie realnym?

Wymienili między sobą spojrzenia i, przysięgam, Martin i Lawrence mieli niepewne miny, podczas gdy Sherman był niewzruszony jak kamień.

– Niech lepiej on opowie – dał za wygraną Lawrence.

– Bardzo proszę – zgodził się Sherman. – Pół minuty wcześniej, niż ty przeszłaś przez Bramę, ja byłem na poczcie, dokąd wezwał mnie Wielki Komputer. Przeczytałem czekającą na mnie wiadomość w chwili, kiedy ty przechodziłaś na drugą stronę. Posłuszny poleceniu zawartemu w liście przyszedłem tutaj.

Nie wiedziałam, że na Shermana czeka wiadomość. W ogóle nie słyszałam, żeby jakiś robot otrzymał kapsułę czasu.

Była to niezwykła wiadomość. Na kapsule zastrzeżono, że żaden człowiek nie może się dowiedzieć, kto jest odbiorcą, ani poznać daty otwarcia. Wielki K., jak już mówiłam, wykonuje takie instrukcje dosłownie. Teoretycznie to Rada Programowa poleciła Wielkiemu K. postępować zgodnie z zastrzeżeniami na kapsułach czasu, ale nie wiem, co by Wielki K. zrobił, gdyby Rada zdecydowała odmiennie.

Wiadomość zawierała polecenie (między innymi, ale do tego dojdziemy), żeby Sherman udał się do sztabu akcji „Brama” i zawiadomił Lawrence’a o moim spotkaniu oko w oko z Billem Smithem oraz o niepowodzeniu misji. Znow to słowo.

Tak też zrobił, a właściwie spróbował zrobić. Trudno ich było skłonić do słuchania z dwóch powodów: zespół sztabowy wciąż zaglądał przez monitory w okolice tego czasu i sprawy nieco się wyjaśniały, a po drugie... Sherman był robotem. Ludzie reagowali zdumieniem na jego przyjście. Trochę tak jakby moja lodówka wkroczyła do sztabu stepując i podśpiewując z plakatem obwieszczającym koniec świata.

W końcu jednak im powiedział. Jednocześnie, albo w kilka sekund później, w zależności od tego, komu wierzyć, jeden z operatorów wypatrzył Billa Smitha w śmigłowcu wracającym z miejsca upadku Boeinga, a ktoś inny znalazł ten sam śmigłowiec zaparkowany przed hangarem, do którego ja weszłam. Wniosek: Smith i ja mogliśmy się spotkać wewnątrz hangaru.

Od tego momentu zaczęto słuchać, co mówi Sherman. Wystarczyło parę sekund, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście otrzymał kapsułę czasu, po czym jego akcje gwałtownie poszły w górę. Niedawno odczułam ten sam efekt na sobie. Ja i moi współcześni zazwyczaj słuchamy kogoś, kto świeżo otrzymał przesyłkę z

przyszłości.

I, rzecz jasna, od tej chwili Sherman zaczął coś ukrywać.

– Wiadomość była dość specyficzna – mówił. – Pewne informacje mogę wam przekazać, a inne muszę zachować w tajemnicy.

– Daj spokój – powiedziałam. – Nie wstawiaj nam tu pierdo... – Przerwałam i pożałowałam, że nie zrobiłam tego o dwie sylaby wcześniej. Przypomniałam sobie swoje podejrzenie, że Rada może nas słuchać, a także zainspirowane kapsułą czasu przedstawienie, jakie im urządziłam, żeby uzyskać zgodę na tę operację.

– Słuchajcie więc, co mogę ujawnić – ciągnął Sherman. – Po pierwsze, moja wiadomość potwierdza twoją, Louise. Ta operacja ma kluczowe znaczenie dla powodzenia akcji „Brama”. – Spojrzał na mnie i pożałowałam, że nie mam większego doświadczenia w czytaniu z jego oczu, ale nie można przecież się uczyć czytać z tego, czego nie ma. Jego nowe oczy były, rzecz jasna, sztuczne, ale wyglądały bardzo naturalnie. Usta natomiast były ledwo zarysowane. Mogły przybierać wyraz w takim samym stopniu co komiksowy rysunek. O nos Sherman nie zatroszczył się w ogóle.

– Druga sprawa wiąże się z drugą fazą, bo wszyscy chyba jesteśmy zgodni, że wyprawa do Okna A okazała się bezowocna.

Zatem wracaliśmy do okien. Zostały nam B, C i D. Uważałam, że D było zbyt ryzykowne, B mało obiecujące, a C...

„Powiedz mu o dziecku. To tylko pustak”.

Nikt oprócz mnie tego nie wiedział, ale nie miałam zamiaru wracać do Okna C.

Wzięłam głęboki oddech, szykując się do popełnienia tchórzliwego czynu i zrobienia wszystkiego co w mojej mocy, żeby wybór padł na B. Byłam raczej pewna, że Martin będzie głosować tak jak ja, i sądziłam, że uda mi się przekonać Lawrence’a. Jednego byłam pewna na sto procent: nikt nie opowie się za Oknem D. D było ogniskiem paradoksu, miejscem zbyt niebezpiecznym dla odwiedzin.

– Po trzecie mogę wam jeszcze powiedzieć – ciągnął Sherman – że następną wyprawę należy podjąć do godziny dwudziestej trzeciej czasu pacyficznego trzynastego grudnia. Jest to okno, które oznaczyliście literą D. I Louise powinna pokierować akcją.

NIEUCHWYTNA DZIEWCZYNA

Relacja Billa Smitha

Niedaleko naszej sali konferencyjnej znajdował się barek. Weszliśmy tam, bo uznaliśmy, że na nic bardziej eleganckiego nie mamy czasu. Znałem bary na lotniskach od Los Angeles do Orły i zawsze się zastanawiałem, dlaczego ludzie chcą jeść na stojąco nie pierwszej świeżości hot dogi. Tymczasem odpowiedź była oczywista. Śpieszyło im się, tak jak nam teraz.

Dostałem coś, co uchodziło za kanapkę z pieczenia, a potem straciłem dużo czasu na rozrywanie i wyciskanie zawartości małych torebek z musztardą, keczupem i nieokreślonym białym sosem, żeby zabić podejrzany smak mięsa. Tom dostał parówki z sosem chili, które musiał jeść plastikowym widelczykiem.

– Słyszałeś już kiedyś coś takiego? – spytałem.

– Częściowo. Podejrzewałem, że coś podobnego usłyszymy.

– I co o tym myślisz?

Tom odpowiedział nie od razu. Byłem ciekaw jego zdania, bo to specjalista od kontroli naziemnej, a w dodatku wiedział dużo o elektronice, która, przyznaję, nie jest moją mocną stroną. Tom ukończył nauki komputerowe w Massachusetts Institute of Technology, a ja pochodzę z ostatniego pokolenia, które wie, jak wygląda suwak logarytmiczny. W mojej pracy trzeba wiedzieć co nieco o komputerach i ja wiedziałem, ale nigdy nie zdołałem zapalać do nich miłością.

– To się mogło zdarzyć – powiedział po namyśle.

– Myślisz, że się zdarzyło?

– Wierzyłem mu, jeżeli o to pytasz. Możemy nawet uzyskać potwierdzenie z komputera, ale po dłuższej pracy.

Zastanowiłem się przez chwilę.

– W porządku. Zakładając, że to prawda, kogo, jak sądzisz, za karę powiesimy?

– Chcesz, żebym zgadywał?

– Dlaczego nie?

– Do diabła, nie wiem, czy w ogóle będziemy mogli kogoś obciążyć. Jest jeszcze za wcześnie. Może odkryjemy coś, co...

– Tylko między nami, Tom.

Kiwnął głową.

– Dobrze. Możemy w ogóle nie znaleźć winnego.

– Posłuchaj, Tom. Jeżeli trąba powietrzna wyskoczy z jasnego nieba i uszkodzi

samolot, zgodzę się, że to nie była niczyja wina. Jeżeli uderzy w samolot meteor, pewnie nic nie można było poradzić. Jeżeli...

– Oszczędź mi tego przemówienia – przerwał mi. – Już je słyszałem. A co będzie, jeżeli się okaże, że to my zawiniliśmy? Ty, ja i Komisja?

– To się już zdarzało. I zdarzy się jeszcze. – Nie kontynuowałem, bo Tom wiedział, o co chodzi. Czasami nie potrafimy ustalić, co było przyczyną wypadku, i wtedy nie wiadomo, czy to nie my źle szukaliśmy. Innym razem znajdujemy przyczynę, opisujemy w raporcie, mówimy, co należy zrobić, a ludzie nic nie robią. Naciska się, żeby zaczęli wreszcie działać, ale nigdy nie wiadomo, czy się docisnęło wystarczająco mocno. Czy rzeczywiście dalej już była ściana i czy warto ryzykować posadę dla... i tak dalej. Jak dotychczas nigdy nie zdarzyła się oczywista sytuacja, kiedy samolot rozbił się, boja czegoś nie dopatrzyłem, coś zaniedbałem. Ale bywało, że zastanawiałem się po wypadku, czy gdybym nacisnął nieco mocniej...

– Eli mówił, że już taki przypadek widział – powiedział Tom.

– Czy opisał go w raporcie? – Eli jest przyjacielem, ale są granice.

– Mówi, że tak. Widział coś takiego tylko raz, ale słyszał o dwóch, trzech innych przypadkach. Uznano to za tak drobną sprawę, że nikt nie podjął żadnych kroków. Wiesz, generalny problem przestarzałych komputerów przesłania tę szczególną usterkę. W Waszyngtonie jest na ten temat notka w kartotece.

– Widziałeś ją?

– Tak. Zastanawiałem się nawet nad rozwiązaniem, ale nie wiem, czyby się sprawdziło bez wymiany sprzętu.

– Co to oznacza?

– To coś zdarza się raz na milion przypadków. Może nastąpić, kiedy samoloty znajdują się w tym samym sektorze i w równej odległości od czaszy radaru. Stacja naziemna nawiązuje kontakt z urządzeniami odzewowymi samolotów, one odpowiadają i sygnały docierają na ziemię jednocześnie. Muszą być naprawdę bliskie, nie dalsze niż tysięczne części sekundy. I wtedy czasami komputer nie potrafi sobie z nimi poradzić. Myli sygnały i daje fałszywe oznakowanie na ekranie. Zasada „śmieć włożysz, śmieć dostaniesz”.

Wiedziałem, o czym Tom mówi, ale nie byłem pewien, czy ma rację. Komputery, w przeciwieństwie do tego, co o nich słyszeliście, nie są inteligentne. Są tylko szybkie. Można je zaprogramować, żeby działały inteligentnie, ale to programista jest inteligentny, nie komputer. Jak dasz komputerowi wystarczająco dużo czasu do wgrzania się w problem, to zazwyczaj znajdzie rozwiązanie. A ponieważ dla komputera dużo czasu to milionowa część sekundy, mamy wrażenie, że jest inteligentny.

– No dobrze – powiedziałem. – Zatem informacja, którą komputer otrzymał, była śmieciem, a w każdym razie prowadziła do błędnych wniosków. Komputer kontroli ruchu lotniczego nie powinien przyjąć informacji, która jest jawnym

śmieciem.

– Tylko jak jawnym? I nie zapominaj, że komputer był wcześniej wyłączony. Może nie miał się na czym oprzeć? Może zaczynał od zera i wydawało mu się całkiem możliwe, że te samoloty zamieniły się pozycjami?

– To powinno być oczywiste.

– Cóż – westchnął – to byłoby oczywiste dla nowego komputera, który, po pierwsze, by się nie wyłączył. – Przez chwilę żuł parówkę, która wydawała się twardsza, niż dopuszcza ustawa.

– Chcesz powiedzieć, że nowy komputer poradziłby sobie z tą sytuacją? – spytałem.

– Pewnie że tak. Robią to codziennie. Tam gdzie są już zainstalowane. Co więcej, siedem czy osiem lat temu mieliśmy już komputery, które nie popełniłyby takiego błędu.

– Należało więc mocniej naciskać.

– Jak mocno można naciskać?

Nawiązywał do posiedzenia sprzed pół roku. Z powodu przeciążenia komputera w strefie Bostonu powstała sytuacja, o której nas powiadomiono. W tamtym przypadku nie doszło do zderzenia, ale dwa samoloty leciały wprost na siebie, póki jeden z pilotów w ostatniej chwili nie poderwał maszyny. Jeszcze raz podnieśliśmy wówczas sprawę wymiany komputerów.

Większość komputerów używanych w kontroli ruchu lotniczego została zakupiona i zainstalowana w 1968 roku. Ktoś z Federalnego Zarządu Lotnictwa miał pomysł, żeby kupić komputery, zamiast je wynajmować, i wkrótce rząd Stanów Zjednoczonych był właścicielem komputerów wartości milionów dolarów.

Mijały lata.

Jeżeli orientujecie się choć trochę w dziedzinie komputerów, to wiecie, że komputer zbudowany przed dziesięciu laty może równie dobrze pochodzić z epoki kamiennej. To nieważne, że jest w doskonałym stanie, że znakomicie wykonuje zadania, do których został zaprojektowany: jego wartość jest zerowa. Dobrze, jeżeli uda się go sprzedać na złom, bo kto zechce kupić wielki komputer, nie potrafiący robić połowy tego, co teraz wykonuje maszyna sto razy mniejsza?

Komputery Federalnego Zarządu Lotnictwa były teraz antykami. Nadal działały, chociaż zbliżały się do granic przewidzianego dla nich obciążenia i zdarzały im się przestoje.

Stopniowo je zastępowaliśmy, ale koszty są duże, a budżet ograniczony. Szło to powoli.

Trudno się dziwić. W tym biznesie, zanim się coś rozpakuje i podłączy do sieci, ktoś wprowadza na rynek coś dwa razy lepszego za pół ceny i stale oczekujemy, co pokaże się za rok, zastanawiając się, czy nie rozsądniej będzie poczekać jeszcze trochę.

Ja byłem przeciwny zwlekaniu. Chciałem, żeby wszystkie komputery wymieniono w ciągu roku i do diabła z przyszłorocznymi modelami, ale sprawa nie była warta utraty posady.

Jak się dobrze rozejrzeć, zawsze znajdzie się winnego.

Kiedy wróciliśmy z lunchu, wszystko było gotowe do przesłuchania taśmy z 747.

Zebrałiśmy się w liczniejszym gronie tym razem. (Nie wiem, jak to się dzieje, ale śledztwo obrasta w ludzi jak pies w pchły). Puszczono taśmę. Co jakiś czas występowały zakłócenia, ale większość słów można było usłyszeć.

W kabinie znajdowały się cztery osoby. Dobrze się bawili, rozmawiając i rzucając żarciki.

Gil Crain, pilot, był dla mnie najłatwiejszy do identyfikacji. Znałem go, a prócz tego miał silny południowy akcent. Autentyczny, nawiasem mówiąc, bo połowa pilotów linii pasażerskich naśladuje przez radio zachodniowirginijskie dudnienie Chucka Yeagera [*legendarny as lotnictwa myśliwskiego*], który zapoczątkował tę modę w latach pięćdziesiątych. Reszta posługuje się znudzonym śpiewnym żargonem, który nazwałem „wietnamski jet jockey”. Czasami można pomyśleć, że słucha się wielu kierowców ciężarówek rozmawiających przez swoje CB. Ale Gil Crain urodził się i wyrósł w Dixielandzie. Wkrótce zostanie tam pochowany.

Dużo mówił o swoich dzieciach. Niełatwo było tego słuchać, biorąc pod uwagę, co miało mu się przytrafić. Przypomniała mi się taśma z katastrofy w San Diego. Rozmawiali o ubezpieczeniach na życie, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo będą im potrzebne za kilka minut.

Facet ze śmieszkim w głosie to był Lloyd Whitmore, mechanik. John Sianis, drugi pilot, miał lekki obcy akcent i wyrażał się oschle, precyzyjnie.

Czwartym człowiekiem w kabinie załogi był Wayne DeLisle. Figurował na liście jako obserwator, ale słuszniej byłoby go nazwać pasażerem na gapę. Był pilotem Pan Amu, który się zabrał na odchyłane siedzenie w kabinie. Miał następnego dnia lecieć z San Francisco do Hongkongu. Znajdował się dość daleko od mikrofonu i nie było go słychać zbyt wyraźnie, ale mówił tak dużo, że wkrótce nie miałem kłopotów z odróżnieniem go od reszty.

Kłopoty zaczęły się w bardzo podobny sposób. Kapitan Crain usiłował protestować przeciwko poleceniu Janza, które wydało mu się bezsensowne, ale wiedziałem, że nie będzie się opierał długo. Musiał założyć, że kontroler naziemny, patrzący na swój ekran, zna sytuację dużo lepiej niż on, lecący w warstwie chmur i widzący tylko mgłę za szybą.

W kabinie załogi natychmiast ucichły pogwarki i zapanowała rzeczowa atmosfera.

– Ciekawe, o co mu chodzi – odezwał się Craig. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale umilkł w pół słowa. Zrobiło się głośno, kiedy samoloty się zderzyły.

Ktoś coś krzyknął, a potem zabrali się za pilotowanie uszkodzonego samolotu.

Słuchaliśmy, jak cała trójka wzięła się do roboty. Crain sprawdzał, co mu zostało, informując krok po kroku, co robi, i stopniowo głos mu się rozjaśniał. Samolot nadal spadał, ale Craig walczył, żeby podnieść nos, i sądził, że panuje nad maszyną wystarczająco, by wyrównać. Przyznawałem mu rację, ale jednocześnie wiedziałem coś, czego on nie wiedział, a mianowicie że nie ma steru kierunkowego i że tam w dole czeka na niego góra, której nie będzie mógł ominąć. Wtedy usłyszałem DeLisle'a.

– Cofnijcie kawałek – poprosiłem. – Co on powiedział?

– Coś jak: „Zobacz pasażerów” – ktoś zasugerował.

Taśma znów ruszyła, usłyszeliśmy Gila, jak mówi o działaniu steru. Pochyliłem się, żeby złapać następne zdanie DeLisle'a, kiedy ktoś odezwał się tuż nad moim uchem.

– Czy napije się pan kawy, panie Smith?

Znów nie dosłyszałem. Odwróciłem się wściekły, gotów krzyknąć, żeby zabrali stąd tę cholere... i stwierdziłem, że mam przed sobą twarz stewardesy o urodzie gwiazdy filmowej, którą widziałem w hangarze. Miała przemiły uśmiech, niewinny jak u dziecka. Pomyślałem, że nie całkiem pasuje do kogoś, kto uciekł jak złodziej przy poprzednim spotkaniu, zaledwie kilka godzin wcześniej.

– Co pani tu...

– On powiedział: „Idę zobaczyć, co z pasażerami” – odezwał się Jerry z mojej drugiej strony. – Dlaczego miałby... Bill, ty mnie słuchasz?

Owszem, słuchałem, ale właściwie byłem bez reszty pochłonięty tą kobietą. Czuję się rozdzierany na pół. Spojrzałem na Jerry'ego, potem z powrotem na kobietę, która już odchodziła z tacą.

– Jak myślisz, dlaczego on to powiedział? – powtórzył Jerry. – Dlaczego zdecydował się wyjść z kabiny w takim momencie?

– Można by oczekiwać, że będzie się bał odpiąć pasy – dorzucił ktoś inny.

Skupiłem się znów na naszej pracy.

– Nie ma sensu zastanawiać się, dlaczego wyszedł – stwierdziłem. – Nie miał w kabynie żadnych obowiązków, nie możemy więc mieć do niego o to pretensji. Był tylko balastem, ale może pomyślał, że przyda się do pomocy stewardesom przy pasażerach.

– Dziwi mnie, że pomyślał o tym tak szybko – powiedział Craig.

– A ja nie – odezwała się Carole. – Pomyślcie tylko. Jako pilot jest w kabynie załogi bezużyteczny. Jego wykszolenie każe mu coś robić, ale to jest zadanie pilota. Nauczono go, że ma ratować pasażerów, wychodzi więc z kabiny załogi, gdzie nie może w niczym pomóc, i idzie do pasażerów, gdzie może się przydać.

Kiwnąłem głową. To było logiczne. Tom też się zgadzał.

– Sprawa wyjaśniona – powiedziałem. – Ale formalnie biorąc on nie był

członkiem załogi i powinien czekać na polecenia, a nie działać z własnej inicjatywy. Powinien czekać na rozkazy Craina.

– Crain był zbyt zajęty, żeby się tym zajmować.

Wałkowano to jeszcze przez chwilę, póki nie zakończyłem sprawy.

– Posłuchajmy dalej.

Ten odcinek był nieco dłuższy i w pewien sposób gorszy. Czuło się, że Gil naprawdę uważa, że ma szansę. Czytał wskazania wysokościomierza, które wyglądały lepiej. Kąt natarcia się poprawiał. Drugi pilot wypytywał się przez radio o miejsca, w których mogliby awaryjnie lądować, zastanawiając się, czy mogliby dociągnąć do płycizn zatoki lub rzeki Sacramento. Mówili o polach i bocznych drogach... i nagle rozkrzyczał się alarm ostrzegawczy o zderzeniu z ziemią. I to była góra.

Trudno byłoby ją wyminąć nawet mając ster. Próbował wszystkiego, co miał, wszystkich powierzchni sterowych, spojlerów, lotek, klap, sterów poziomych, żeby zmusić swoją wielką bestię do skrętu. Rozmowy w kabinie stały się jeszcze szybsze, ale były wciąż uporządkowane, załoga pracowała.

Crain postanowił poderwać nos do góry, opuścić kłapy, zahamować silnikami i spróbować opaść na zbocze góry jak naleśnik. Nie miał już wtedy dobrego wyjścia i myślał widocznie w kategoriach minimalizowania siły uderzenia.

I wtedy usłyszeliśmy najdziwniejszy dźwięk. Ktoś w kabinie załogi krzyczał. Był to raczej na pewno głos mężczyzny. A krzyk był histeryczny.

Słowa sypały się prawie za szybko, żeby je można zrozumieć. Siedziałem na skraju krzesła, zaciskając powieki w wysiłku, by dosłyszeć, co ten ktoś wykrzykuje.

Zidentyfikowałem już głos – krzyczał DeLisle.

Ale dlaczego? I co on mówił?

W tym momencie taśma zatrzymała się gwałtownie i coś ciężkiego uderzyło mnie z boku. Podskoczyłem, otworzyłem oczy i spojrzałem na swoje kolana. Leżał tam przewrócony styropianowy kubek, a ciepły brązowy płyn wsiąkał w moje spodnie.

– Tak mi przykro, o mój Boże! Pomogę panu. Jestem taka niezgrabna, nic dziwnego, że nie przyjęto mnie na stewardesę.

Biadoliła tak przez jakiś czas, kucając i usiłując wytrzeć mi spodnie małą papierową serwetką.

Przez chwilę byłem całkowicie zdezorientowany, zostałem wyrwany z pełnej koncentracji na tych nieboszczykach w samolocie, a tu nagle spadło na mnie to. Dosłownie.

Kucała obok, miała dziwny wyraz twarzy i gładziła mnie po udach moką chusteczką. Nie mogłem od niej oderwać oczu.

– Nic się nie stało – ocknąłem się wreszcie. – Wypadki się zdarzają.

– Ale dlaczego zawsze mnie? – powiedziała żałośnie.

Był to rzeczywiście nie lada wypadek.

Potknęła się o przewód elektryczny na podłodze, co wyłączyło magnetofon. Jej taca z kawą poleciała w jedną stronę, a ona, z kubkiem w ręku, w drugą. Ona wylądowała na podłodze obok mnie, a kawa z tacy zalała magnetofon.

Przystąpiłem do oceny strat.

– Potrzebny mi będzie nowy odtwarzacz – rzekł operator. – Cholerna głupia baba. To jest urządzenie za pięć tysięcy dolarów, a kawa...

– A co z taśmą? – Sama myśl mnie zmroziła. Miałem szczęście, że to była tylko kopia.

Nikt w Komisji nie byłby zachwycony, gdyby taśma, która przetrwała katastrofę lotniczą, została zniszczona rozlaną kawą.

– Powinna być w porządku. Przewinę ją i wysuszę ręcznie. – Spojrzał na zegarek. – Dajcie mi pół godziny.

Kiwnąłem głową i odwróciłem się, żeby poszukać dziewczyny, ale nigdzie jej nie było.

10.

CZŁOWIEK, KTÓRY PRZYSZEDŁ ZA WCZEŚNIE

Relacja Louise Baltimore

Zrozumiałam, co musiała czuć Rada. Powiedziałam tym dziewięciu żalonym geniuszom, że moja misja jest niezbędna dla powodzenia planu „Brama”, i oni to kupili.

Teraz Sherman robił to samo ze mną. Podejrzewałam, że jego autorytet jest równie wątpliwy jak wcześniej mój, ale nie śmiałam tego powiedzieć, a poza tym... mógł mieć rację. Czułam zabobonny lęk przed sprzeciwieniem się poleceniu z przyszłości.

Jednocześnie zdrowy egoistyczny instynkt – można to nazwać lękiem – nakłaniał mnie do sprzeciwu wobec tej propozycji. Lawrence i Martin nie mieli obiekcji. Zakładając, że ktoś musi tam pójść, urządziło ich, żebym to ja poprowadziła atak na ten fatalny hangar w tę fatalną noc. Mogli sobie siedzieć bezpiecznie w górze czasu i z mądrą miną pouczać mnie, kiedy wrócę z następną klęską.

Miałam bardzo nienaukowe, bardzo prymitywne przeczucie, że znów mi się nie uda.

Myślę, że Sherman to wiedział.

Wszystko poszło bardzo szybko. Pozostało dopracowanie szczegółów.

Lawrence był przerażony, dowiedziawszy się, jak daleko od celu mnie wysadził.

Zapędził swoje zespoły do pracy i wkrótce mógł mnie zapewnić, że może mnie dostarczyć na żądane miejsce z dokładnością do dziesięciu cali. Nie uwierzyłam, ale po co miałam mu to mówić.

Szczegóły praktyczne w mojej działce były znacznie mniej skomplikowane. To miał być rzeczywiście atak komandoski. Wybrałam trójkę moich najlepszych ludzi. Byli to Mandy Dżakarta, Tony Louisville i Minoru Hanoi. Tym razem szliśmy bez żadnych przebieranek, mieliśmy się zjawić jak złodzieje w nocy. Naszym celem było dostać się niepostrzeżenie do hangaru, znaleźć paralizator i wyjść.

Wybór sprzętu i planowanie akcji przydzieliłam Tony’emu.

Domyślałam się, że Tony został napompowany danymi tak samo jak ja. W każdym razie widocznie oglądaliśmy te same filmy. Stroje, które dla nas wybrał, pasowały do filmu o drugiej wojnie światowej. Byliśmy ubrani od stóp do głów na

czarno, z rękawiczkami i miękkimi czarnymi butami. Zdobył nawet sadzę do posmarowania twarzy, czego Mandy mogła nie robić.

Mieliśmy pasy do przypięcia ekwipunku, a przy nich jedynie urządzenia wykrywające, które miały nam pomóc w odnalezieniu paralizatora. Nie braliśmy żadnej broni na tę wyprawę. Obezwładnienie kogoś tylko by pomnożyło nasze kłopoty.

Martin Coventry krążył wokół nas niczym inspicjent teatralny, kiedy czekaliśmy w kolejce na zgranie Bramy. Zasypywał nas pożegnaniowymi radami.

– Będziecie tam od jedenastej do północy – mówił. – Z naszych obserwacji wynika, że Smith wchodzi o jedenastej trzydzieści i wychodzi po godzinie. To znaczy, że przez pół godziny będziecie w hangarze razem z nim i...

– Mamy chodzić na paluszkach – dokończył za niego Minoru. – Przerabialiśmy to, Martin. Chcesz iść z nami i prowadzić nas za rękę?

– Nigdy nie zaszkodzi powtórzyć sobie zalecenia jeszcze raz.

– Powtarzaliśmy już, Martin – zapewniłam. – To wielki hangar. Jest w nim mnóstwo zakamarków, w których można się schować, a poza tym nie będzie zbyt dobrze oświetlony.

– Bardziej się martwię o twoją działkę – powiedział Tony. – Skoro mamy wylądować, kiedy on będzie tam węszyć, to lepiej postaw Bramę bardzo wolno i bardzo cicho.

– Nie podoba mi się to – stwierdziła Mandy. – Czy nie lepiej ustawić Bramę na zewnątrz i włamać się do środka?

Martin skrzywił się.

– Nie, bo tej nocy wokół hangaru stali wartownicy.

– Nie podoba mi się to – stwierdził Tony ponuro.

– Musicie nam zaufać. Lawrence i ja zastosujemy wszystkie tłumiki. Brama otworzy się tam, gdzie zaplanowaliśmy, i pojawi się bez żadnego dźwięku.

W rzeczywistości Brama nie pojawiła się tak całkiem cicho.

Kiedy wychodziliśmy, słyszeliśmy jeszcze echa dudniące w pustym hangarze. Nie przejęłam się tym, bo wiedziałam, że jesteśmy w środku sami, a hałas nie był aż tak głośny, żeby go usłyszano na zewnątrz. Pamiętam jednak, jak pomyślałam, że Lawrence powinien się poprawić.

– Prosto w dziesiątkę – szepnęła Mandy wskazując betonową podłogę.

Miała rację. Dzięki mojemu krótkiemu spacerowi po hangarze kilka godzin temu albo trzydzieści dziewięć godzin temu, zależnie jak na to spojrzeć, mogliśmy wybrać punkty wejścia i wyjścia Bramy. Wybraliśmy róg północno-zachodni, za pozostałościami ogona i innych dużych części kadłuba Boeinga. Panował tam taki mrok, że musieliśmy skorzystać z latarek, by się na coś nie wpakować.

Kiedy ustaliłam swoje położenie, dałam moim znak, żeby się rozeszli i zaczęli szukać.

Sama też wzięłam do ręki wykrywacz i skierowałam się tam, gdzie ostatnio widziałam paralizator.

Wszystkie worki były ruszane. Jasne, ludzie od dwóch dni sortowali szczątki i poczynili spore postępy. Zaczęłam poszukiwania, skradając się jak kot między stosami koszmarnych odpadków.

W piętnaście minut później nadal się skradałam, a wskazówka wykrywacza nie drgnęła nawet o pół milimetra.

Gwizdnęłam cicho i wkrótce moi towarzysze wyłonili się bezgłośnie z ciemności.

– Nie mam żadnego sygnału – powiedziałam.

– Ja też nie – potwierdził Tony.

– Nic.

Minoru tylko wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

– Wykrywacze kierują się na źródło energii. Może w paralizatorze wyczerpała się bateria.

– Albo ktoś wyniósł ją z hangaru.

– Mało prawdopodobne. – Uświadomiłam sobie, że ogryzam paznokcie. – On tu będzie za piętnaście minut. Dajemy sobie dziesięć minut, żeby zostawić margines bezpieczeństwa.

Włączcie latarki, zaglądalejcie wszędzie, gdzie się da, nie przejmujcie się za bardzo hałasem.

Jeżeli nic nie znajdziemy, ukryjemy się pod częścią ogonową i zaczekamy na Bramę.

– Nic z tego nie wyjdzie, prawda? – odezwała się Mandy.

– Nie bądź taką pesymistką.

– Wszyscy wędrujący po czasie są pesymistami.

To był wkład Minoru do rozmowy. Co do mnie, to nie wiem, czy urodziłam się pesymistką, czy też pesymizm został mi narzucony. Wiem natomiast, że mam aż nadto powodów, żeby przyjąć tę filozofię za swoją. A oto przykład: Grzebałam w różnych drobnych szczątkach przez trzy albo cztery minuty, kiedy usłyszałam, że Tony wydaje cichy, wibrujący dźwięk, który uzgodniliśmy w sali odpraw.

Podkradliśmy go z jakiegoś filmu o Indianach z lat trzydziestych, a miał on oznaczać: „Znalazłem!”.

I rzeczywiście. Ruszyliśmy w jego stronę, serce mi waliło. Więc jednak mieliśmy się z tego wygrzebać. Potem zobaczyłam, jak Tony nakazuje gestem Mandy, żeby stanęła.

Posłuchała go i zamarła w półprzysiadzie w odległości dwudziestu metrów. Ja zrobiłam to samo i patrzyłam, jak Tony przywołuje ją bliżej. Minoru pojawił się bezgłośnie przy moim boku i razem skradaliśmy się ostatnie trzydzieści metrów.

Oświetlenie było bardzo marne. Potrzebowaliśmy chwili, żeby się zorientować,

co mamy przed sobą. Rozpoznałam paralizator, leżał na podłodze w odległości około dziesięciu stóp od rzędu składanych stołów zasłanych szczątkami. I zauważyłam jeszcze coś leżącego w cieniu stołów, o kilka stóp od paralizatora. Stopniowo moje oczy potwierdziły instynktowne odczucie: to leżał człowiek.

– Kto to jest? – szepnęła Mandy.

– A jak myślisz? – odpowiedziałam zjadliwie.

Podeszliśmy bliżej. Opuściłam promień latarki. Był to Bill Smith.

– Czy on oddycha?

– Nie jestem pewna.

– Tak, oddycha. Jest tylko obezwładniony.

– To może nas słyszeć.

Mandy i Tony zaczęli się wycofywać.

– Cholera! – Wyrwało mi się. – Jeżeli nas słyszy, to już po ptakach – dodałam ciszej.

– Nie ma powodu, żeby sprawę pogarszać – stwierdziła Mandy. Chyba miała rację.

Cofnęliśmy się i przykucnęliśmy.

– Ma oczy zamknięte czy otwarte? – spytałam.

– Otwarte – odpowiedział Tony. – Jestem pewien, że mnie widział.

– Jak myślicie, co tu się działo?

Przyjrzelśmy się wszyscy temu krajobrazowi po katastrofie i wkrótce odtworzyliśmy scenariusz wydarzeń.

Smith leżał na plecach. Jedną nogę, lekko zgiętą, miał podwiniętą pod drugą. Ta noga spod spodu na pewno zdrętwiała i będzie go piekielnie boleć przy najmniejszym ruchu.

Paralizator znajdował się w odległości kilku stóp od wyciągniętej lewej ręki, a o kilka cali od prawej dłoni leżał otwarty szwajcarski scyzoryk.

Minoru złożył to wszystko do kupy.

– Przyszedł tu przed nami. Znalazł paralizator. Na monitorach widzieliśmy promieniujące z niego czerwone światło. On pewnie też to zobaczył. Wyjął scyzoryk, zaczął majstrować przy broni i spowodował gdzieś zwarcie.

– Była tak uszkodzona, że promień nie mógł się skoncentrować.

– Miał szczęście, że była nastawiona na obezwładnianie. W przeciwnym razie patrzylibyśmy teraz na nieboszczyka.

– Nie chcę słuchać o tym, co mogło się zdarzyć – powiedziałam. – Smith mógł przyjść tutaj o właściwej porze, to znaczy o jedenastej trzydzieści. Co on tu, do cholery, robi? Skąd wziął się w hangarze przed nami?

– Będziemy musieli się tym zająć po powrocie.

– Co robimy? Bierzemy paralizator?

Zastanowiłam się nad tym. Wiedziałam, że szkoda już została wyrządzona, ale

przyszliśmy tu po broń. Leżała przed nami, więc ją zgarniemy. Otworzyłam paralizator i potwierdziłam, że bateria była całkowicie wyładowana. Dlatego nie rejestrowały broni nasze wykrywacze.

– Bierzemy. – Spojrzałam na zegarek. – Cholera. Siedzimy tutaj piętnaście minut i tylko gadamy. Brama pojawi się za dwadzieścia minut. Wynośmy się stąd w diabły.

– On się strasznie poci.

Przejechałam po nim światłem latarki. Tony miał rację. Jeszcze trochę i pan Smith będzie leżał w kałuży. Spróbowałam wyobrazić sobie, jak to wszystko wygląda z jego strony.

Mogliśmy mu co najwyżej kilka razy mignąć przed oczami, ale to wystarczyło, żeby go śmiertelnie wystraszyć. Pewnie też usłyszał kilka zdań. Nie wiedziałam dokładnie, co takiego mógł podsłuchać.

Niezależnie od wszystkiego, wyglądaliśmy przecież bardzo groźnie.

I co mogłam na to poradzić? Nic. Dałam znak ludziom, żeby się wycofali w stronę północno-zachodniego rogu hangaru.

Sama też poszłam za nimi jakieś dwadzieścia metrów.

I nagle stwierdziłam, że stoję. Nie pamiętam, żebym się zatrzymywała. Było tak, jakby nagle zgęstniałe powietrze mnie powstrzymało. Chciałam iść, ale nie mogłam.

Zawróciłam i pobiegłam do Smitha.

Leżał jak przedtem. Uklękałam i nachyliłam się nad nim tak, żeby mnie widział.

Przypomniałam sobie, że jestem umazana na czarno: na pewno nie rozpozna mnie po jednym krótkim spotkaniu dwa dni temu.

– Smith – powiedziałam. – Nie znasz mnie. Nie mogę ci powiedzieć, kim jestem. Nic ci nie będzie, jesteś tylko chwilowo obezwładniony. Majstrowałeś przy czymś, czego... – Zamknij się, Louise, powiedziałam do siebie. Za dużo gadasz. Tylko gdzie była granica i dlaczego w ogóle do niego gadam?

Teraz pociłam się tak samo jak on.

– Chciałam... Smith, narażasz coś większego, niż możesz sobie wyobrazić. Zapomnij, co widziałeś.

Jezu. Jak on mógłby zapomnieć? Czy ja bym zapomniała? A wy?

– Jeżeli nie przestaniesz się w to mieszać, nastąpi paradoks.

Nagle zrobiło mi się zimno. Wiedziałam, co on myśli.

– Nie, nie. Nie zrobiliśmy tego. Myślisz, że to my spowodowaliśmy katastrofę tych samolotów, ale to nieprawda, one miały...

Cholera! Już powiedziałam za dużo. Wydało mi się, że jeden kącik jego ust drgnął, lecz mogło mi się tylko zdawać. Pewne było tylko powolne falowanie jego piersi i strumienie potu.

Wszystko, czego dotknęłam, zamieniało się ostatnio w gówno. Wierście albo

nie, ale jeszcze niedawno byłam niezawodnym agentem.

Odwrociłam się od Smitha i pośpieszyłam w ślad za swoim zespołem.

Brama pojawiła się zgodnie z planem i przeszliśmy przez nią we czworo.

★ ★ ★

Nie obyło się bez wzajemnych zarzutów. Zmarnowałam sporo czasu wrzeszcząc na Lawrence'a i Martina za cudowną siłę ich prognoz. Pamiętam, jak mówiłam, że potrafiłabym to zrobić lepiej za pomocą fusów i kryształowej kuli. Uważałam, że mam prawo tak mówić, bo tym razem ja nic nie spieprzyłam. Powiedziano nam, że Smith nie pokaże się przed jedenastą trzydzieści. Nie wspomniałam o moim krótkim monologu do Smitha i nikt z mojego zespołu nie poruszył tego tematu. Nie wiedzieli, co do niego mówiłam, ale trudno było nie zauważyć, że zawrociłam i coś powiedziałam.

W niczym mi to nie pomogło, chyba że niegodne uczucie ulgi można uznać za coś pozytywnego. Wiedziałam równie dobrze jak oni, że odczyty dokonane przed naszym wyruszeniem zostały unieważnione przez zaburzenia w strumieniu czasu. Wszyscy powinniśmy zdać sobie sprawę, że nie możemy polegać na danych z monitorów czasu.

Poza tym znów nastąpiły zmiany podczas mojej krótkiej nieobecności.

Skoro tylko mój zespół przekroczył Bramę, wiele spraw nagle się wyjaśniło i cenzura w monitorach zelżała. Nagle operatorzy mogli oglądać sceny do tego czasu niewidoczne.

Zobaczyli, że Smith wszedł do hangaru o dziesiątej trzydzieści. Widzieli nawet, jak znajduje paralizator, bierze go do ręki i zaczyna przy nim głupio majstrować. Wszystko odbyło się mniej więcej tak, jak przedstawił Minoru. Rzecz jasna, zobaczyli to, kiedy już było za późno, żeby nas odwołać.

Martin wychodził ze skóry, żeby zrozumieć, dlaczego ustępuje cenzura temporalna. Ja na pewno nie mogłam nic pomóc, nigdy nie zajmowałam się teorią. Moim zdaniem, po prostu Bóg robił nam kawały. Wolna wola, też mi coś!

Inna wielka zmiana dotyczyła Shermana. Jego usta były teraz znacznie bardziej realistyczne. Dodał też nos do swojej nowej twarzy. Nadal nie mógłby uchodzić za człowieka, nawet w bezksiężycową noc, ale przynajmniej stał się interesującym humanoidem.

Przyglądałam się jego ustom. W końcu przekonałam sama siebie, że nie ma najmniejszego podobieństwa. Tylko bardzo przestraszony, opanowany manią i poczuciem winy, wykończony emocjonalnie żywy trup mógł się doszukać na tej plastikowej twarzy krzywego uśmiechu.

Byłam jedyną osobą, która chciała brać pod uwagę Okno B. Nadal nie zdradziłam się przed nikim, że wykluczam Okno C, co utrudniało obronę mojego

stanowiska. Wszyscy czekali na zdanie Shermana, ale on milczał.

Wtedy usłyszeliśmy, że jestem znów wezwana do Rady. Decyzja została odroczone.

Martin i Lawrence przyznali, że są z tego zadowoleni, bo chcieli jeszcze sprawdzić swoją aparaturę temporalną. Zadanie polegało na stworzeniu statystycznego wszechświata, mającego pewne cechy zbieżne z wszechświatem „realnym”, cokolwiek to w tym momencie znaczyło. Kiedy teraz zaglądali w przeszłość, nie wiedzieli, czy patrzą na rzeczywistość, czy na prawdopodobieństwo, ale mieli nadzieję, że przynajmniej uda im się wyrazić proporcje w procentach. Pomyślałam, że to by się przydało, zwłaszcza jeżeli mają jeszcze raz wysłać w przeszłość mnie. Na razie mieliśmy ćwierćmilowy błąd w jednym wymiarze przestrzennym i jednogodzinny błąd w wymiarze czasowym. Martin powiedział mi kiedyś, że działanie Bramy wiąże się z dwunastoma wymiarami. Nie chciałam chybić w żadnym z pozostałych dziesięciu.

Dwukrotnie składałam rezygnację i zdaje się, że za drugim razem Rada omal jej nie przyjęła. Powiedziałam jeszcze raz, że ta misja ma decydujące znaczenie dla powodzenia planu „Brama”, ale podejrzewam, że robiło to na nich coraz mniejsze wrażenie.

Wielu spraw nie rozumiałam. Częściowo dlatego że dotyczyły techniki wykraczającej poza moje wykształcenie, częściowo wiązały się z wewnętrznymi podziałami w Radzie.

Ujawniły się trzy frakcje – nie najgorzej jak na grupę tej wielkości – a jedno z nich nie mogło się zdecydować. W końcu dostałam upoważnienie na następną wyprawę.

Martin pokonał swój wstręt do Rady i towarzyszył mi podczas tego drugiego posiedzenia. Powiedział im, że przez najbliższe dziesięć godzin nic nie da się zrobić.

Odmówiłam dziękczynną modlitwę do Boga, jaki on tam jest. Nie zmrużyłam oka przez ostatnie dwie doby.

Musiałam też porozmawiać z Shermanem.

11.

ECCE HOMO

– Mów mi Jezu – powiedział Sherman.

Rzuciłam w niego papierosem, tylko dlatego że nie miałam nic cięższego pod ręką.

Niedopałek nie doleciał do celu. W rogu pokoju jest zamontowany mały laser, wyposażony w mały radar i mały mózdzek. Ten wypatrzył peta i unicestwił go, zanim przeleciał dwie stopy.

Wiem, wiem, czego to współczesna nauka nie wymyśli, ale taki laser jest sto razy lepszy od popielniczki.

– Zaraz sprowadzę ci karetkę.

– O pewnych sprawach naprawdę nie mogę ci powiedzieć, Louise.

– Wobec tego co możesz mi powiedzieć?

Zastanawiał się długo.

– Czy twój list z przyszłości rzeczywiście zawierał zakaz dzielenia się wiadomościami z kimkolwiek? – ponagliłam.

– Tak. Z pewnymi wyjątkami.

– Z jakimi?

– Z tobą. Mogę ci to i owo powiedzieć. W odpowiednim czasie.

– Żeby mną manipulować?

– Tak.

Spojrzałam na niego ponuro, a on odpowiedział mi spojrzeniem. Trzeba mu przyznać, że nie zrobił zadowolonej miny.

– Tyle poziomów... – powiedziałam.

– Tak.

– Ty przyznajesz, że możesz mi to i owo mówić w określonym czasie, żeby mną manipulować. Już to samo jest manipulacją...

– Zgoda.

– To nadaje mi takie poczucie... ważności! Wiem, że mnie wykorzystujesz, i muszę założyć, że robisz to w dobrym celu, powinnam więc być ci posłuszna... tylko skąd mam wiedzieć, czego ode mnie chcesz?

– Po prostu zachowuj się naturalnie. Rób to, co byś normalnie robiła.

– Ale to, co mi powiedziałaś, zmienia całe równanie. Teraz, kiedy wiem, że mną kierujesz, choćby delikatnie, świadomość tego sprawia, że będę postępowała inaczej niż...

Utknęłam w pół zdania. Sherman przyglądał mi się z niewinną miną.

– Muszę więc założyć, że te wielowarstwowe niejasności są częścią planu, czegokolwiek on dotyczy...

To też prowadziło donikąd.

– Pierdol się – powiedziałam.

– Świetnie – klasnął w dłonie. – Znow jesteś sobą.

Musiałam się uśmiechnąć.

– Każę cię przetopić na blaszaną puszkę i będę ją kopać.

– Wspaniale, wyrzuć to z siebie.

– Jesteś synem kosiarki do trawy i automatu do sprzedaży papierosów.

– No proszę, jak się przydały te taśmy z dwudziestego wieku. Wszystkie fakty w małym palcu.

Obrzuciłam go bez większego przekonania kilkoma jeszcze epitetami we współczesnym żargonie, ale okazały się równie nieskuteczne. Nie można kłócić się z Shermanem. Sama próba mogła doprowadzić do rozpacz, a na tym mi wcale nie zależało.

Postarałam się więc oczyścić umysł i zacząć od zera.

– No dobrze, jesteś Jezusem. Czy powiesz mi, jak mam to rozumieć?

– Tak. Jezus Chrystus był najważniejszą postacią mityczną w dwudziestym wieku jako Syn Istoty Najwyższej, czczony przez sektę, której głównymi symbolami były krzyż, kielich i...

– Nie chrzań, wiem to wszystko. Ich wielkie hasło brzmiało: „Umarł za nasze grzechy”. – Tu oczy mi się zaświeciły. – Czy to miałeś na myśli?

– Niezupełnie. Miałem na myśli jego rolę zbawcy ludzkości.

Spojrzałam na Shermana. Pamiętajcie, że na tym etapie jego twarz była rysunkiem rodem z komiksu, tak prymitywnym, że Walt Disney musiał się przewracać w ciekłym helu.

Niektóre części jego ciała były wzięte wprost z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz*. Nie twierdę, że szczekał przy każdym kroku, ale wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziało się, że to w prostej linii potomek automatów do gier wideo. I to coś przedstawiało mi się jako zbawca ludzkości.

– Możesz mnie nazywać niewiernym Tomaszem – powiedziałam.

– A jednak to prawda. Przesłanie w mojej kapsule czasu było dość długie. Zawierało bardzo szczegółowy opis wydarzeń ostatnich kilku dni oraz... następnym sześciu.

Zapoznawszy się z nim, natychmiast zrozumiałem, co i kiedy muszę zrobić, żeby uratować ludzkość. Zastanawiając się nad tym, dostrzegłem podobieństwa z biblijną historią Jezusa.

Może to przejaw pychy z mojej strony, i nie mam zamiaru podkreślać tego na poważnie, ale jeżeli obsadzić Wielki Komputer w roli Boga, to nie będzie dziwne uznanie mnie, jedyne roboty, który odebrał kapsułę czasu, za jego

jednorodzonego syna.

– I to ty miałaś psychoanalizować mnie – szydziłam. – Powinieneś sam siebie posłuchać. Nie jesteś bardziej wyjątkowy niż Ford model T. Zbawiciel z numerem seryjnym.

– Wielki Komputerze, dla ciebie nie ma rzeczy niemożliwych! Jeśli chcesz, zabierz ode mnie ten kielich! Jednak nie moja wola, lecz twoja niech się stanie!

Teraz pożałowałam, że nie mam popielniczki, ale papierosem w niego nie rzuciłam.

Był wypalony dopiero do połowy, a marnowanie dobrego tytoniu to grzech.

– Ja nie prosiłem o kapsułę czasu tak samo jak i ty. Gra się w zależności od tego, jakie się dostaje karty. Ja muszę robić tak samo.

Pałam przez chwilę w milczeniu, usiłując wyczytać coś z tej jego parodii twarzy, i przysięgam, że po chwili zaczął mi się wydawać prawie człowiekiem. Zrobiło mi się go żal.

Jeżeli choćby połowa tego, co mówił, była prawdą, otrzymał brzemię znacznie cięższe niż ja.

– Czy potrafisz coś z tego udowodnić? – spytałam.

– Bez trudu. Choć nie gwarantuję, że udowodnię wszystko. Jesteś na to zbyt podejrzliwa. Mogę ci powtórzyć, co było w twojej kapsule czasu.

I powtórzył, słowo w słowo. Pozwoliłam mu dojść do końca, włącznie z tym o dziecku i o niedawaniu mu, jeżeli nie będę miała ochoty.

– Czyja...?

– To jest jedna z tych spraw, o których nie mogę ci nic powiedzieć.

– Ale wiesz.

– Tak. Wiem.

Znów mu się przyglądałam. Nie ma sensu opisywać labiryntu możliwości, kłamstw i zagadek, przez który wędrował mój umysł, bo w końcu i tak znalazłam się w punkcie wyjścia.

– Wielki Komputer mógł ci powiedzieć, co było w mojej kapsule czasu.

– Myślisz, że to zrobił? Łamiąc ściśle instrukcje Rady?

– Wiem, że mógłby to zrobić, istnieje więc możliwość, że to zrobił.

– Wspaniale! – Sherman wydawał się rzeczywiście zadowolony. – Twój podejrzliwy umysł przyda ci się w nadchodzących dniach, tak jak ci się przydawał w przeszłości.

– Chcesz powiedzieć, że w niczym mi nie pomoże, ale będzie mnie utrzymywał w czujności?

– Właśnie tak. – Patrzył na mnie z całkiem niezłą imitacją szczerości. – Louise, nie proszę, żeby ci się to wszystko podobało. Mnie też się to nie podoba.

– Tobie czy Wielkiemu Komputerowi?

– W pewnych sprawach to rozróżnienie nie ma sensu. Ale ja mam uczucia.

Mogę nie lubić tego, co muszę robić, i jednocześnie wiem, że nie mam innego wyjścia. Nadchodzą ciężkie czasy. Zbliżamy się do katastrofy, która jest nieuchronna, nie do uniknięcia. A jednak mamy szansę. Nie możemy z niej skorzystać, póki cały ten żalony spektakl nie dobiegnie końca, w końcu jednak doprowadzę ludzkość do ziemi obiecanej.

– Ludzkość. To ładne szerokie pojęcie. Całe życie pracuję, żeby ratować ludzkość. – Rzuciłam niedopałek. – Tylko co będzie ze mną? – Nie byłam wcale pewna, czy chcę usłyszeć odpowiedź, ale pytanie zadać musiałam.

– Ty, Louise, masz przed sobą ciężkie chwile. Nie wolno mi wdawać się w szczegóły.

Na końcu jednak jest szczęśliwe zakończenie.

– Dla mnie? – Nie wierzyłam własnym uszom. Ostatnią rzeczą, jakiej bym się spodziewała, było szczęśliwe zakończenie.

– Szczęśliwsze niż podejrzewasz. Czy to cię satysfakcjonuje?

Dla długoletniego, niezłomnego, zatwardziałego pesymisty była to niewątpliwa satysfakcja. W każdym razie poczułam się o całe niebo lepiej, chociaż ani przez chwilę nie wierzyłam, że może mnie spotkać coś lepszego niż szczęście w nieszczęściu. Ale cała przyjemność bycia pesymistą polega na tym, że szczęście w nieszczęściu jest lepszym wyjściem niż samo nieszczęście.

– Dobrze – powiedziałam. – Ale te aluzje biblijne ci się pomieszały. Powiedziałeś, że nas doprowadzisz do ziemi obiecanej. Jezus tego nie zrobił.

Sherman był zaskoczony, niczym nieomylny papież po przegranej na wyścigach konnych. Sprawilo mi to perwersyjną przyjemność. Może jego historia przyszłości nie zawierała tej kwestii.

– Mów mi Mojżesz – poprawił się teraz.

A więc Okno B. Decyzję tę podjęto, podobnie jak większość w naszej dość nieformalnej organizacji, drogą konsensu.

W dwudziestym wieku istniał kraj, który nazywał się Chińską Republiką Ludową.

Była to dyktatura proletariatu, fraza, której nigdy nie mogłam strawić, i do decyzji dochodzono tam za pomocą takich procesów jak krytyka i samokrytyka, analiza dialektyczna i podobnych bzdur. W teorii każde rozwiązanie wyrażało wolę mas. Faktycznie politycznie poprawna odpowiedź zawsze okazywała się odpowiedzią przewodniczącego, ktokolwiek nim był w danej chwili.

Od początku mojej pracy przy planie „Brama” zauważyłam, że formalnie czy nie, decyzje są podejmowane w określony sposób. Przyjrzałam mu się bliżej. Porównawszy to z moją wszczepioną wiedzą na temat ChRL w dwudziestym

wieku, nauczyłam się tego i owego na temat osiągania konsensu: kopie się ludzi w tyłek tak długo, aż będą posłuszni.

Parę tyłków zostało skopanych. Nigdy nie musiałam się przyznać, że absolutnie wykluczam wyprawę do Okna C. Po prostu tak się złożyło, że kiedy osiadł kurz bitewny, wyprawa do Okna B była czymś oczywistym.

Przyznaję, Sherman mi pomógł, nie zgłaszając zastrzeżeń do tego wariantu.

Dostrzegałam problem, jaki się wyłoni, kiedy i ta wyprawa nie da wyników i pozostaniemy z jedyną pozostałą możliwością, ale jak mówimy w gronie osób zajmujących się podróżami w czasie, jutro może zaczekać.

Poniedziałek, dwunasty grudnia, Międzynarodowe Lotnisko Oakland.

Byłam już w tym dniu, od ósmej do dziewiątej rano, ale dla mnie działa się to prawie dwa dni temu. Musiałam pamiętać, że dla Billa Smitha upłynęło zaledwie pięć godzin. Na pewno mnie rozpozna, jeżeli ma choć trochę pamięci do twarzy. Zresztą moja twarz i ciało łatwo wpadają w oko.

Brama wyrzuciła mnie w mało uczęszczanym korytarzu w budynku terminalu.

Sprzeczałam się trochę o to, wątpiąc, czy rzeczywiście nastroili Bramę tak dokładnie, jak twierdzili. W końcu pozwoliłam jednak Lawrence'owi postawić na swoim, bo to on jest ekspertem. Przychodzi chwila, kiedy trzeba zaufać ekspertowi. Uznałam, że sprawa jest zbyt błaha, żeby wymuszać konsensus.

Okazało się, że miał rację. Wylądowałam w odległości sześciu cali od miejsca, w które celował, i Brama, tak jak Lawrence obiecywał, zjawiała się bezgłośnie. Rozejrzałam się szybko, żeby sprawdzić, czy nikt mnie nie zauważył, i skierowałam się do pokoju, który przydzielono Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu na zamknięte zebranie.

Droga prowadziła przez zatłoczoną centralną część terminalu. W najbliższych dniach będzie tu jeszcze tłoczniej. Znajdowaliśmy się w środku festiwalu znanego jako sezon gwiazdkowy, który, jak można było sądzić, obejmował cały grudzień. W środku stało duże drzewo udekorowane lampkami, budynek też był obwieszony różnymi ozdobami. W czasie Gwiazdki wydawano pieniądze, pito i podróżowano. Początkowo były to obchody urodzin Jezusa Chrystusa, ale w latach osiemdziesiątych dwudziestego wieku prawie o nim zapomniano, zastępując go nowym bożkiem w czerwonym ubraniu i z przyprawioną siwą brodą.

Wszyscy wokół mnie mieli zasepione twarze, w zgodzie z atmosferą tych dni.

Najbardziej ponurzy zebrali się wokół kiosku, gdzie sprzedawano ubezpieczenia na życie.

Chyba niewiele osób spośród obecnych nie myślało o niedawnym zderzeniu w powietrzu.

Wielu postanowiło wykupić polisę ubezpieczeniową, która w istocie przed niczym nie zabezpieczała, ale była zakładem między pasażerem a wielką firmą ubezpieczeniową, dotyczącym życia i śmierci. Wygrywał ten, kto umierał. Może

widziałabym w tym jakiś sens, gdybym miała dzieci.

Wejście na zebranie okazało się proste. Musiałam przejść kilka drzwi z napisami *NIEUPOWAŻNIONYM WSTĘP WZBRONIONY*, w pewnym momencie natknęłam się na wartownika, który miał nie wpuszczać dziennikarzy i innych ciekawskich. Ale ja byłam obficie zaopatrzona we właściwe dokumenty, miałam na sobie właściwy strój i znałam wszystkie właściwe nazwiska. Gruntownie przebadaliśmy mechanizm śledztwa i wiedzieliśmy, kto ma wystarczające wpływy, żeby łamać zasady. Tak więc po prostu mignęłam identyfikatorem oraz osiemnastoma idealnymi zębami i powiedziałam wartownikowi, że jestem umówiona z panem Smithem. I znalazłam się w środku.

Wkrótce byłam znów na zewnątrz.

Piękny uniform miałam zalany kawą, ale byłam z siebie zadowolona. Flip i Flap nie załatwiłoby tego lepiej. Był to jeden z najlepszych gagów w historii. Taca wylądowała dokładnie tam, gdzie ją skierowałam. Przez jakiś czas nikt nie przesłucha tej taśmy.

Dobre samopoczucie nie trwało jednak długo.

Ta wyprawa okazała się najbardziej zwariowaną ze wszystkich. W dwóch poprzednich miałam nadzieję, że odnajdę twonka i zapobiegnę paradoksowi. Tym razem tylko odwracałam uwagę, i to prawdopodobnie bezskutecznie. Były na tej taśmie słowa, nad którymi Smith nie powinien się zbyt długo zastanawiać. Uznaliśmy, że im później w ciągu dnia je usłyszy, tym mniej będzie czujny i tym mniejsze będzie przywiązywał do nich znaczenie.

Nie brzmiało to zbyt przekonująco, nawet dla mnie. Istniało wręcz niebezpieczeństwo, że moje skandaliczne zachowanie zwróci uwagę Smitha na słowa DeLisle'a, a nie na odwrót.

Znów moją jedyną pociechą było to, że nic innego nie mamy. Pozostało nam tylko Okno C.

Było coś, co mi się w tym wszystkim nie podobało.

Czułam te sznurki bardzo silnie wtedy w tamtym pokoju, sznurki pociągane przez temporalnego animatora marionetek, pana Przeznaczenie, profesora Karmę, Los, panią Czarną Magię, czy jak tam chcecie nazwać jego, ją, je. Cokolwiek albo ktokolwiek to był, czułam się manipulowana.

Wciąż pamiętałam chwilę...

Przykucnęłam obok niego, a on z góry spojrział na mnie tym swoim nieprzytomnym wzrokiem...

Co ja tu, do diabła, robię? – zastanawiałam się. I dlaczego on ma takie oczy?

Nie ulegało wątpliwości, że byłam wrabiana. Ta wyprawa miała sens jedynie jako przygotowanie do odwiedzenia Okna C. „Nie dawaj mu, jeżeli nie będziesz miała ochoty. I powiedz mu o dziecku. To tylko pustak”.

Władca marionetek ostro pociągał za sznurki, a imię jego było Sherman.

Nie zdziwiło mnie już, że Sherman się zmienił. Kiedy przeszłam przez Bramę, czekał na mnie. Jego twarz nie była już komiksowym rysunkiem, choć nadal dużo jej brakowało do ludzkiej. Podejrzewałam, że będzie podobny do Billa Smitha (dostrzegłam jego cień we wcześniejszej postaci Shermana), ale nie był. Był tylko androidem, ale teraz wyglądał na takiego, którego należy traktować poważnie.

I wszyscy go tak traktowali. Schodzili mu z drogi, kiedy prowadził mnie do pokoju, w którym mogliśmy porozmawiać na osobności.

– Jak poszło? – spytał.

– Może ty mi to powiesz.

– Bardzo dobrze. Udało ci się odwrócić jego uwagę za pierwszym razem, kiedy z taśmy zabrzmiały słowa DeLisle’a. Zobaczył cię z bliska i rozpoznał. Twoja twarz jest teraz dobrze ugruntowana w jego pamięci. Nadal będzie uważał, że to, co DeLisle powiedział po powrocie do kabiny załogi, jest dziwne, ale to nigdy nie było ważne. Łatwo mu będzie przejść nad tym do porządku, bo wszyscy inni będą mu w tym pomagać. Tom Stanley będzie się trzymał najdłużej, ale w końcu i on zgodzi się z resztą, że DeLisle zwyczajnie zwariował.

– Sherman, ja tego nie zrobię.

Ciągnął dalej, jakby mnie nie słyszał.

– Nowy członek Komisji, niejaki Petcher, albo Gordy, jak woli być nazywany, nie przyleci do Kalifornii wieczorem dwunastego. Bill Smith, choć bardzo tego nie lubi, poprowadzi konferencję prasową tego wieczoru. Będzie to zwyczajowe przelewanie z pustego w próżne: Smith nie ma im nic do powiedzenia, a oni będą go bombardować domysłami. Spędzi wieczór powtarzając: „Nie mam nic do zakomunikowania”.

– Sherman, ja tego nie zrobię.

– Na tej konferencji prasowej Smith po raz pierwszy zetknie się z Arnoldem Mayerem, mistycyzującym fizykiem i znanym oszołomem. Pytania Mayera uzna Smith za idiotyczne, ale zapamięta sobie jego twarz i nazwisko. Nie zaszkodzi, jeżeli z tego wieczoru zapamięta jeszcze drugą twarz. Posuwamy się do przodu, Louise, ale jesteśmy wciąż głęboko w lesie.

– Ja tego nie zrobię.

Patrzył na mnie długo, w milczeniu. W końcu złożył czubki palców w bardzo ludzkim geście, przyłożył je do brody i kołysał się na piętach. Na koniec westchnął, jeżeli możecie w to uwierzyć.

– Powiedz mu o dziecku, Louise. To tylko pustak. Wstałam z zamiarem zdemontowania go, ale chyba popełniłam błąd, bo zemdlałam.

12.

WYTWORY CZASU

Relacja Billa Smitha

Brzmiało to tak:

– ...trupy! Wszyscy nie żyją, wszyscy, co do jednego! Są spaleni, Gil, są martwi, popaleni i rozerwani na strzępy, wszyscy nie żyją...

Potem samolot zderzył się z górą i Wayne DeLisle nie miał już nic do powiedzenia.

Działo się to wieczorem, gdy wreszcie udało się taśmę oczyścić i mogliśmy usłyszeć te słowa wyraźnie. Kiedy operator wyłączył aparaturę, siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu.

Nie podejmuję się opisać przerażenia w głosie tego człowieka. Odczuliśmy je, mimo kiepskiej jakości nagrania.

Stwierdzenie, że byliśmy wstrząśnięci, byłoby eufemizmem. Nikt z nas nigdy nie słyszał czegoś takiego z rejestratora w kabinie załogi. Strach... napięcie... to zrozumiałe.

Ludzie, którzy pilotują samoloty, nie są robotami. W takich chwilach usiłują ukryć emocje, ale nie wszystko da się ukryć.

Nie, to się nie trzymało kupy. Przesłuchując wiele nagranych rozmów załogi przyzwyczailem się do bohaterstwa lub przynajmniej stoicyzmu, ale panika też by mnie zbyt nie zaskoczyła. Piloci to tacy sami ludzie jak my wszyscy. Mają problemy psychiczne, problemy z piciem, problemy małżeńskie. Niektórzy wariują, ale nie wskutek nadzwyczajnych sytuacji w powietrzu.

Nie mają na to czasu. Nawet pasażerowie rzadko wariują tak szybko. W przeciwieństwie do tego, co pokazują na filmach typu *Port lotniczy*, w ciągu pierwszych kilku chwil po zderzeniu trochę ludzi pokrzączy albo podskoczy, ale na ogół bardzo szybko wraca spokój. Potem wszyscy siedzą oszołomieni na swoich miejscach. Ludzie nie wiedzą, co robić. Dominującą reakcją w takiej sytuacji jest nie robić nic. Pasażerowie są wtedy potulni, skorzy do wykonywania poleceń załogi. Dopiero kiedy sytuacja się przedłuża i mają czas na formowanie swoich własnych nieodpowiedzialnych pomysłów, trzeba na nich uważać.

Wayne DeLisle po prostu nie miał prawa zwariować tak szybko.

W ciągu trzydziestu trzech sekund z kompetentnego pilota, z odpowiedzialnego faceta, który gotów był opuścić swoje bezpieczne miejsce, żeby poruszać się po samolocie stającym dęba i skaczącym jak kamień toczący się po

zboczu, bo chciał pomóc pasażerom, zmienił się w bełkocącego... cóż, tchórza, wykrzykującego, że wszyscy nie żyją, że są martwi, martwi i spaleni.

Rozmawialiśmy o tym przez jakiś czas.

Jerry: – Może oni byli nieżywi. Są poszlaki, że kadłub mógł być uszkodzony.

Znaleźliśmy część ciał i rzeczy w dużej odległości od miejsca upadku.

Werdykt w tej sprawie był szybki, nawet Jerry nie upierał się przy nim długo. Gdyby kabina uległa dehermetyzacji, wyrwałoby drzwi kabiny załogi i DeLisle'a razem z nimi.

Część ludzi zostałaby wyssana, ale reszcie nic by się nie stało. Znajdowali się na wysokości zaledwie pięciu tysięcy stóp i dekompresja ani brak tlenu im nie groziły.

Craig: – Powiedział też, że byli spaleni. Może przed zderzeniem w kabinie wybuchł pożar.

Eli: – W pierwszej klasie? Niemożliwe. Wszystko, co widziałem, wskazuje, że ogień objął tylko silniki... może skrzydła, ale nie sięgnął dalej. W każdym razie do chwili zderzenia, kiedy wszystko wybuchło. Nie widzę możliwości, żeby pożar od skrzydeł przeniósł się z taką szybkością daleko do przodu.

Craig: – Może to się działo na dole, może on zszedł do klasy turystycznej.

Tom: – W Boeingu? Posłuchaj, przyjmujemy, że kadłub nie został przedziurawiony, bo usłyszelibyśmy to na taśmie. Byłby cholerny hałas.

Jerry: – Moglibyśmy nie słyszeć, gdyby dziura powstała daleko w tyle.

Tom: – Tak, tylko jak by on się tam dostał? Do pierwszej klasy, stamtąd w dół po schodach, przez całą turystyczną i z powrotem w trzydzieści trzy sekundy? Nie w tym samolocie. Byłby cud, gdyby w tym czasie zszedł po schodach i nie skręcił karku.

Zgadzałem się. Łatwiej byłoby chodzić po pędzącej kolejce górskiej w lunaparku.

– Możemy więc przyjąć – powiedziałem – że nie doszedł dalej niż do schodów. Wydaje się niemożliwe, żeby zobaczył coś więcej niż gromadkę wystraszonych ludzi.

Kiedy tak dyskutowaliśmy przez dłuższą chwilę, wtrąciła się Carole.

– Musicie, panowie, pogodzić się z oczywistością.

– Z jaką oczywistością? – zdziwił się Jerry.

– A z taką, że on zwyczajnie zwariował.

– Myślałem, że wy, psychologowie, nie lubicie tego słowa.

Wzruszyła ramionami.

– Nie mam nic przeciw niemu, jeżeli pasuje do sytuacji. Użyłam go, żeby wam utrzyć nosa. Wiem, nie chcecie wierzyć, że pilot może tak nagle oszaleć, i przyznaję, że to bardzo rzadki przypadek. Ale sami udowodniliście, że jeśli zajrzał do pierwszej klasy, mógł zobaczyć tam przestraszonych ludzi, a nie spalone trupy.

Tom zaprotestował.

– Ale on mówi, że widział...

– On nie mówił, że coś zobaczył. Nie traktujcie jego wypowiedzi jako zeznania naocznego świadka, tylko jako ostatnią myśl człowieka doprowadzonego do kresu wytrzymałości. Powiedział, że wszyscy są martwi i spaleni. Był wyszkolony do pilotowania samolotu, ale nie mógł nic robić, bo to nie był jego samolot. Miał większą wiedzę niż pasażerowie i więcej powodów do paniki, bo wiedział, że są wszyscy straceni. Mógł spojrzeć w oczy rzeczywistości, której Gil Crain i pozostali nie dostrzegali, bo mieli pełne ręce roboty.

A on się poddał i powiedział o tym, co się miało, jak wiedział, wydarzyć: że oni wszyscy zginą. I miał rację.

Nikt z nas nie był zachwycony, ale to zakończyło dyskusję, przynajmniej wtedy.

Carole była ekspertem od czynnika ludzkiego. Zastanawiając się nad tym musiałem przyznać, że głównym powodem, dla którego ociągałem się z przyjęciem jej wyjaśnienia, był ten wymieniony przez nią: nie chciało mi się wierzyć, że pilot może się tak szybko rozsypać. Ale widocznie może.

Odbywaliśmy nasze wieczorne zebranie (pierwsze z wielu, które nas czekały) niedługo po wstępnym przesłuchaniu taśmy z Boeinga.

Zrobiliśmy wszystko, co się dało, żeby wcisnąć wszystkich do mniejszego z dwóch przydzielonych nam pomieszczeń na lotnisku. Prawo do obecności miało chyba ze sto osób.

Obawiam się, że znaczną część zebrania przespałem, ale potrafię spać z otwartymi oczami, więc nikt nie zauważył. Mam nadzieję.

Te cowieczorne spotkania są stałym elementem wszystkich dochodzeń. Wszyscy, którzy pracują przy katastrofie, spotykają się i porównują notatki. Potem zapadają decyzje, w jakim kierunku pójść dalsze poszukiwania.

Zgodziliśmy się, że komputer z Fremont, bo tam mieści się Ośrodek Kontroli Ruchu Lotniczego dla Obszaru Oakland, zostanie przebadany przez zespół ekspertów. Tom miał już pewnych ludzi na uwadze. Poza tym głównie potwierdzaliśmy, co już wykonane, i stawialiśmy dalsze zadania. Wiele fizycznych aspektów dochodzenia wymaga czasu.

Dalej zebranie mogłoby się ciągnąć i przez dziesięć godzin. Jak każde zebranie, jeżeli się na to pozwoli. Na początkowym etapie śledztwa jest to zazwyczaj czcza gadanina. Później długie zebrania bywają usprawiedliwione, ale kiedy sprawdziłem na zegarku, że to ciągnie się już dwie godziny, przerwałem je i powiedziałem, że wszyscy, którzy nie mają teraz roboty w hangarze, powinni iść się wyspać.

Niektórym się to nie podobało, ale nic nie mogli poradzić. Śledztwo prowadziłem ja.

Może na papierze najważniejszy był Gordon Petcher, ale w rzeczywistości – ja. Skoro już mowa o starym, poczciwym Gordym...

Kiedy wszyscy już wyszli, podszedł do mnie Briley z miną zwiastującą złe wiadomości. Ułatwiłem mu sytuację.

– Już wiem – powiedziałem. – Gordy nie zdążył na wieczorny samolot. Będzie rano.

Słyszałem, że zwołał konferencję prasową w Waszyngtonie.

– Tak mi mówiono.

– Musiała być urocza. Ciekawe, co im powiedział, bo ze mną nie rozmawiał.

– Pewnie się chwalił, że sytuacja jest opanowana. To samo ty powiesz za jakieś dwadzieścia minut.

Jęknąłem, choć już się z tym pogodziłem. Dziennikarze mieli obiecaną konferencję.

W gruncie rzeczy sprowadzi się to do tego, co oni nazywają „okazją do zdjęć”. Będą mieli moją twarz, którą puszczą w ostatnim wydaniu wiadomości. Właściwie nie miałem im prawie nic do powiedzenia.

Nienawidzę marnotrawstwa. Trzeba by bardzo długo szukać, żeby znaleźć lepszy przykład marnotrawstwa niż konferencje prasowe.

Samo dublowanie wysiłków wystarczy, żeby człowiek miał ochotę się rozplakać. Czy to naprawdę konieczne, żeby lokalny kanał z Kankakee w stanie Illinois wysłał ekipę do katastrofy lotniczej w Kalifornii? A przecież w grę wchodzi nie tylko telewizja, chociaż każda większa stacja z siedmiu sąsiednich stanów miała tu swoje kamery. Ściągnęły też wszystkie gazety. Reporterzy z Indii, Japonii, Anglii, a kto wie czy nie z Bali, Malediwów i Kambodży.

Byli tu reporterzy z tygodników i felietoniści. Z samych czasopism lotniczych przybyło ich około setki. Przylecieli uczeni ze wszystkich uniwersytetów w kraju. Byli autorzy specjalizujący się w pisanych na chybcika książkach wykorzystujących gorące tematy i kombinatorzy z mediów, którzy obsiadają każdego, kto zwróci na siebie uwagę publiczności choć na kilka dni, a potem wynajmują prostytuujących się pisarzy i reżyserów, żeby napisali sensacyjne książki i nakręcili sensacyjne filmy telewizyjne. To prawdziwi handlarze śmiercią.

Za jakieś dwa miesiące pojawią się owoce ich wysiłków: *Ostatnie sekundy Lotu 35*, *Zderzenie!*, *Mount Diablo* i *Upadek olbrzymów*.

Ciekawe, kto zagra rolę Billa Smitha.

Byłbym zachwycony, gdyby chcieli stanąć na miejscu katastrofy w środku nocy, po kolana w błocie i z poważnym wyrazem twarzy unieść mikrofony. Ale wszyscy chcieli rozmawiać ze mną, a ja chciałbym wiedzieć dlaczego. Nie miałem dla nich żadnej opowieści, co oni wiedzieli równie dobrze jak ja, ale mimo to musieli mieć przedstawienie.

Stałem więc przed lasem mikrofonów, mrużyłem oczy w blasku reflektorów i kłąłem C. Gordona Petchera, który powinien stać na moim miejscu. Jeżeli nie nadaje się do tego, to do czego się nadaje?

Zacząłem od rutynowego stwierdzenia, że nie będzie komentarzy na temat faktów, które są jeszcze badane. Potem powiedziałem im to, czego się dowiedzieliśmy, a co oni już też wiedzieli. Było to suche wyliczenie, skąd samoloty leciały, dokąd leciały, czas zderzenia, miejsca upadku. Powiedziałem im, ilu pasażerów i członków załogi było w każdym samolocie (w końcu ustaliliśmy tę liczbę: sześćset trzydzieści siedem osób), że było dziesięć osób zaginionych i prawdopodobnie zabitych na ziemi, oraz siedmioro rannych, wszyscy na miejscu upadku DC-10. Nazwiska ofiar będą podane w późniejszym terminie... Uzupełnicie je sobie. Podadzą je w wiadomościach telewizyjnych. Przyczyny wypadku bada komisja. Czy są jakieś pytania? Mój Boże, nie krzyczcie wszyscy naraz.

– Panie Smith, czy cała drużyna koszykówki zginęła?

Po raz pierwszy usłyszałem o drużynie koszykówki. Okazało się, że w Boeingu leciała jakaś uczelniana drużyna. Powiedziałem reporterowi, że jeżeli byli w samolocie, zginęli. Nikt, powtarzam, nikt nie ocalał. Ile razy trzeba to powtarzać?

– A co z senatorem Grayem?

– Czy był w którymś z samolotów?

– Taką mamy informację.

– Nie mogę potwierdzić ani zaprzeczyć. Jeżeli był w samolocie, nie żyje. Zresztą to nie jest mój dział. Lista zostanie ogłoszona po potwierdzeniu tożsamości. Następny proszę.

Pytali mnie o kontrolę naziemną i o błędy pilotów. Bez komentarza. Pytali o transpondery radarowe. Bez komentarza. Czy ma pan na myśli człowieka nazwiskiem Donald Janz? Bez komentarza. Czy miała miejsce awaria komputera? Nie wiemy. Bez komentarza.

Nie potrafię odpowiedzieć. Sprawa jest badana. Sprawdzamy to. Nic mi o tym nie wiadomo.

Śledztwo trwa.

Krótko mówiąc, udało im się zmienić mnie w jednego z tych śliskich, znanych wam dobrze z telewizji polityków, którzy nie dadzą się przyłapać na stwierdzeniu, jaki mamy miesiąc. Kocham ich tak samo jak wy i nie jestem szczęśliwy, kiedy wychodzę na jednego z nich. Ale wiecie, kiedy ktoś dziennikarzowi odpowiada: „Sprawa jest w trakcie rozpatrywania” albo coś podobnego, to nie znaczy, że ma nieczyste sumienie. On nie może mówić. Byłoby to niewskazane. Każde moje oświadczenie na konferencji prasowej może zaszkodzić osobom trzecim.

Tak walcowaliśmy w kółko prawie przez godzinę.

Na całej konferencji zdarzyło się tylko jedno warte zapamiętania. Było to pod koniec, kiedy większość poważnych organizacji zrezygnowała i pozostały same oszołomy. Ekipy telewizyjne zaczęły, rzecz jasna, wychodzić, jak tylko nakręciły swoje pięć minut filmu.

Czerwony na twarzy facet wstał i natychmiast wiedziałem, że uważa się za obrońcę uciskanych.

– Panie Smith, reprezentuję organizację pasażerów linii lotniczych.

Zbyłem go byle czym. Miałem nadzieję, że jest na sali jeszcze parę osób, które mogłem bezkarnie obrazić. Rozejrzałem się, czy nie ma gdzieś reportera z „National Enquirer” [*najbardziej znany brukowiec*].

Nie było, natomiast wstał dystyngowany siwy dżentelmen, tęgawy i nieco staroświecko odziany. Włosy miał rozwichrzony, ale poza tym był wzorem schludności, czym wyróżniał się spośród audytorium.

– Panie Smith, jestem Arnold Mayer. Moje pytanie nie ma nic wspólnego z przeciążonymi komputerami ani z nieuważnymi kontrolerami ruchu lotniczego.

– Co za ulga.

– Wątpię. Chciałbym wiedzieć, z jakimi niezwykle faktami zetknęliście się w trakcie śledztwa.

– Jest to najbardziej ogólne pytanie, jakie mi kiedykolwiek zadano, panie Mayer.

Starszy pan przesłał mi kwaśny uśmiech i usiadł. Uznałem, że było to ostatnie pytanie, i pomyślałem, że mógłbym zakończyć czymś, co postawiłoby mnie w nieco sympatyczniejszym świetle.

– Czy zechciałby pan uściślić? – zwróciłem się do niego.

Wzruszył ramionami.

– Gdybym wiedział, jak opisać te fakty, przestałyby być niezwykle. Czy znaleźliście na miejscu katastrofy jakiś niezwykle przedmiot? Czy miały miejsce jakieś niewyjaśnione zjawiska? Czy istnieją jakieś poszlaki, że katastrofa mogła mieć mniej oczywistą przyczynę niż przeciążenie komputera?

– Nie opowiadając się w żaden sposób za hipotezą przeciążenia komputera, mogę powiedzieć, że nie, jak dotychczas nie mieliśmy do czynienia z niczym zagadkowym. – Tak jest, łzyj w żywe oczy, ty urzędniku państwowy. – Oczywiście, każda katastrofa jest jedyna w swoim rodzaju...

– ...ale mają też cechy wspólne. Z pewnością nieraz natykacie się na coś niespodziewanego. Słyszałem, że na przykład zaskoczyło was nagranie z kabiny załogi.

Zatem był przeciek. Nie mogę powiedzieć, że mnie to zdziwiło. Zawsze coś wycieknie. Lecz jakim cudem przeciek dotarł do tego starszego pana, zamiast do CBS albo do tygodnika „Time”?

– Nie mogę się wypowiadać na ten temat, póki zapis rozmów nie zostanie opracowany i przeanalizowany. Skoro wie pan tak dużo na temat naszej pracy, to wie pan także, iż zajmie to około dwóch tygodni. Wtedy istotne fragmenty zostaną udostępnione i będzie pan mógł ich sam posłuchać.

Poderwał się znów, tak szybko, że nie zdążyłem ogłosić końca konferencji.

– Dobrze, ale czy jest jeszcze coś dziwnego? Coś, co samo przez się może się wydawać nieistotne. Jakieś niezgodności w kolejności wydarzeń. Jakiś tajemniczy przedmiot wśród szczątków. Szczególnie wszystko, co dotyczy czasu.

Znów pomyślałem o zegarkach, ale moją uwagę odwrócił czyjś atak kaszlu w końcu sali. Kasłała kobieta odwrócona do mnie plecami i zgięta wpół. Ktoś ją podtrzymywał z troską, jakby się bał, że może się zadławić na śmierć. Dawała mu ręką znaki, żeby ją zostawił w spokoju.

– Nadal nie wiem, do czego pan zmierza – odpowiedziałem Mayerowi.

– Gdybym powiedział coś więcej, wyszedłbym na głupka. Po prostu szukam rzeczy niewyjaśnionych. Zazwyczaj je znajduję.

– Tutaj nic pan nie znajdzie. Za kilka dni albo tygodni będę panu mógł dokładnie przedstawić, co zdarzyło się zeszłej nocy. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Jest...

Kobieta w tyle sali wyprostowała się wreszcie. To była ona. Ta, która nie chciała mi dać kawy w hangarze, a przed paroma godzinami poczęstowała mnie nią aż zbyt szczerze.

Teraz zmierzała do wyjścia.

– W mojej pracy nie ma żadnych tajemnic, panie Mayer. I na tym, panie i panowie, kończymy konferencję prasową.

Zszedłem z podwyższenia i ruszyłem do wyjścia.

Na korytarzu jej nie było. Poszedłem kawałek i wyjrzałem za róg. Zobaczyłem plecy kilku dziennikarzy, ale jej nie dostrzegłem. Korytarz kończył się drzwiami do ogólnie dostępczej części terminalu. Szukanie jej tam nie miało sensu.

– Dokąd się tak śpieszysz?

Obejrzałem się. To był Tom, który wyglądał na równie zmęczonego jak ja. Staliśmy pod ścianą na korytarzu, przepuszczając ostatnich dziennikarzy, a wśród nich i Mayera, który chyba do mnie mrugnął.

– Znów ją widziałem. Myślałem, że tu gdzieś będzie.

– Kto? A, twoja tajemnicza kobieta. Uważasz, że wylanie kawy na spodnie to dobry początek znajomości?

– Nie wiem, ale chciałem z nią porozmawiać.

– Jasne. – Pokręcił głową z podziwem. – Jak ty to robisz? Ja ledwo żyję, a ty uganiaasz się za kobietami.

– To nie to. Ja tylko... – Nagle uświadomiłem sobie, że nie wiem, dlaczego chciałem z nią rozmawiać. Ale wiedziałem, że tego chcę. Pomyślałem, że zadzwonię do United i spróbuję ją odszukać, ale postanowiłem odłożyć to do jutra.

– Na dzisiaj koniec, wodzu? – spytał Tom.

Spojrzałem na zegarek.

– Jasne. Czy nocna zmiana dostała instrukcje?

– Dostała. Chcesz coś zjeść?

– Nie, dziękuję. Udam się wprost do motelu, o którym coś słyszałem jakieś siedem czy osiem dni temu. Sprawdzę, czy uda mi się dowlec do łóżka.

– Dwa do jednego, że nie będziesz spał sam.

13.

ZAGRAJ TO JESZCZE RAZ

Nie ma nic bardziej przygnębiającego niż samotność w tłumie, kiedy grają kolędy.

Wlokłem się przez dworzec lotniczy, czując się, jakbym miał z dziewięćdziesiąt lat. Było wpół do dziesiątej. Czas na trzy albo cztery drinki w motelowym barze i do łóżka.

Nie oceniałem swoich szans tak wysoko jak Tom. Nawet gdyby miał rację, w moim obecnym stanie nie bardzo bym wiedział, co zrobić ze swoim szczęściem. Jedno tylko mnie w Tomie denerwuje – jego przekonanie o moim szaleńczym kawalerskim życiu.

Gdzie? W Kensington w stanie Maryland?

Nie mówię, że nie myślałem o wynajęciu mieszkania w mieście. Waszyngton zawsze słynął z obfitości pięknych i młodych sekretarek. Wiele z nich gotowych jest pójść do łóżka za parę drinków i pokręcenie się po parkiecie. A potem rano wstaną, pocałują cię w policzek i nigdy już ich nie zobaczysz. Szybko, łatwo, przyjemnie i żadnych zobowiązań. Wiem, o czym mówię, sam parę razy próbowałem zaraz po rozwodzie.

Była to dobra, sportowa rozrywka w nocy, ale następnego dnia zawsze czułem się podle. Chciałem poznać dziewczynę, chciałem, żeby użyć zdewaluowanego słowa, jakiejś więzi. Nie upierałem się przy małżeństwie, nie byłem aż tak niemodny, ale uważałem, że powinniśmy się poznać.

Moja żona uśmiełaby się z tego.

Odwiedzałem pewien salon masażu, nie częściej niż raz na dwa, trzy tygodnie. Moje potrzeby seksualne nie były już takie jak kiedyś. Odpowiadała mi tam rzeczowa atmosfera: załatwiało się sprawę szybko i skutecznie, a chociaż po wyjściu nie czułem się najlepiej, to jednak lepiej niż po tych jednonocnych randkach.

Tyle o szalonym i wolnym życiu kawalerskim, o którym szczęśliwie żonaty Tom Stanley myślał z zazdrością. Taki los przypadł beztroskiemu ujeżdźczowski odrzutowców, zbyt młodemu na wojnę koreańską i zdemobilizowanemu przed Wietnamem, który miał w sobie sporo ikry. Teraz sam nie bardzo wiedział, jak wylądował za biurkiem. A jak się chciał rozerwać, upijał się i szedł na kurwy.

W takim stanie umysłu nie bardzo dbałem o to, dokąd idę. Patrząc pod nogi wszedłem na schody ruchome i obok mnie znalazła się para płytkich brązowych pantofelków.

Podniosłem wzrok po nylonach i spódniczce, szybko przeskoczyłem na twarz.

– Coś często na siebie wpadamy, prawda? – uśmiechnęła się do mnie.

Ciągle jeszcze gapiłem się w milczeniu, kiedy poczułem wstrząs. Jedną ręką trzymałem się gumowej poręczy, drugą złapałem ją za ramię. Trzęsienie ziemi, przemknęło mi przez myśl, potem rozejrzałem się i zrozumiałem, że zatrzymały się schody ruchome.

– Może powinniśmy się poznać – powiedziała. – Jeszcze się okaże, że utknęliśmy tu na wiele godzin.

Roześmiałem się.

– Ma pani nade mną przewagę. Pani zna moje nazwisko, a ja nie miałem okazji, żeby spytać, jak pani się nazywa.

– Jestem Louise Ba... – Zasłoniła dłonią usta i zakasłała. W drugiej ręce trzymała zapalonego papierosa. – Louise Ball. – Spojrzała na mnie z wyczekującym uśmiechem, jakby pytała, czy nie mam nic przeciwko temu, że ona jest Louise Ball. Cóż, nie spotyka się dziś wielu kobiet o tym imieniu, ale lepsze to niż Luci albo Lori, czy inne cukierkowe imiona, jakie matki nadają teraz córeczkom.

Odpowiedziałem jej uśmiechem, na co ona uśmiechnęła się na pełny regulator. Można by od tego uśmiechu zapalać świece. Uświadomiłem sobie, że nadal trzymam ją za ramię, opuściłem więc rękę.

– Krewna słynnej gwiazdy [*Lucille Ball, znana aktorka kabaretowa i filmowa*]? – spytałem.

Przez chwilę nie kojarzyła i pomyślałem, że wychodzę na starca odwołującego się do starożytnej historii, ale zaraz załapała. Dopiero później wydało mi się dziwne, że mogła nie zrozumieć aluzji do tak popularnego filmu jak *Kocham Lucy*. Przy takim nazwisku dowcipnisie musieli ją o to pytać setki razy.

– Nie, nie jesteśmy spokrewnione. Mam nadzieję, że mi pan wybaczy. Mnie się stale coś takiego przytrafia.

Myślałem, że nadal mówi o Lucille Ball, po chwili zrozumiałem, że chodzi jej o oblanie mnie kawą. Wydało mi się to błahostką w porównaniu z przywilejem stania obok niej na tym samym stopniu schodów.

– Nie ma sprawy – powiedziałem.

Ludzie przed nami ruszyli i my też zaczęliśmy schodzić po nienaturalnie wysokich stopniach.

Rozważyłem i odrzuciłem kilka kwestii, którymi mógłbym podjąć rozmowę.

Pociągała mnie jak żadna kobieta od bardzo dawna. Chciałem z nią rozmawiać. Chciałem z nią przetańczyć noc, oczarować ją, śmiać się z nią i płakać, prawić jej błyskotliwe komplementy. No dobrze, nie miałbym też nic przeciwko pójściu z nią do łóżka. Żeby do tego doszło, musiałem zacząć od olśnienia jej, zafascynowania dowcipem, rzucenia paru lekkich słów, jakimi gwiazdorzy filmowi nonszalancko sięją w zwariowanych komediach.

– Czy pani mieszka gdzieś w okolicy? – spytałem.

Znakomity początek rozmowy numer sto dziewięćdziesiąt dwa. Mam takich na kopy.

– Hm... W Menlo Park.

– Nie znam tej okolicy. Byłem tu zaledwie parę razy i właściwie nie oddalałem się od lotniska. – Czy pokaże mi pani miasto? Nie mogłem się zdobyć na zadanie tego pytania.

Zatrzymaliśmy się w małej cichej zatoczce na uboczu od rwącej ludzkiej rzeki. Musieliśmy prawie krzyczeć do siebie.

– To jest po drugiej stronie zatoki. Na półwyspie. Jeżdżę do pracy metrem.

– BART–em [*szybka kolej biegnąca m.in. pod Zatoką San Francisco*]?

Znów pauza, nie widzący wzrok, jakby przewijała się jej w głowie jakaś taśma, a potem – jest!

– A tak, oczywiście.

Zapanowało niezręczne milczenie. Miałem ponure przeczucie, że dziewczyna zaraz odejdzie, jeżeli Cary Grant nie pośpieszy mi na pomoc z jakąś dobrą kwestią.

– Zatem pewnie nie zna pani dobrze wschodniego brzegu zatoki?

– Dlaczego pan pyta?

– Zastanawiałem się, czy zna pani jakąś godną polecenia restaurację. Ja znam tylko te w okolicy lotniska.

– Słyszałam, że są sympatyczne lokale na placu Jacka Londona.

I stała uśmiechając się do mnie. Znów miałem chwilę wahania, szczerze mówiąc, mam opory wobec nowo poznanych ludzi, jeżeli nie są związani z moją pracą. Ale dziewczynie najwyraźniej nigdzie się nie śpieszyło, więc co tam!

– Czy zjadłaby pani ze mną kolację?

– Myślałam, że już pan nigdy nie poprosi.

Jej uśmiech był lepszy niż amfetamina i gorszy niż heroina. Przed chwilą czułem się, jakby na mnie nadepnął słoń, a teraz byliśmy razem i poczułem się, jakbym miał dwadzieścia lat i obudził się po dobrze przespanej nocy.

Z drugiej strony bałem się, że to może prowadzić do uzależnienia, a na pewno byłem oszołomiony. Oto już szliśmy w mżawce przez parking publiczny, ja paplałem coś bez przerwy jak gość na hajcu, kiedy przypomniałem sobie, że mam samochód na parkingu Hertza.

Powiedziałem jej to, a ona spojrzała w niebo. Padało coraz mocniej.

– Jedźmy moim – zaproponowała. – Potem pana tu podrzucę.

Pomysł wydawał mi się niezły, póki nie zobaczyłem jej samochodu.

Było to coś niesamowitego. Spojrzałem na ten wóz, potem na nią. Uśmiechała się niewinnie, przeniosłem więc wzrok z powrotem na samochód.

Nie byłem nawet pewien, co to jest, ale chyba coś włoskiego i wyglądało, jakby zostało zbudowane za dwadzieścia albo trzydzieści lat, miało jakieś osiemnaście cali wysokości i trzydzieści stóp długości, i stojąc w miejscu zdawało się robić ze

sześćdziesiąt mil na godzinę. Obliczałem, że musiało kosztować osiemdziesiąt albo i dziewięćdziesiąt tysięcy.

W porządku. To samochód jej narzeczonego. Albo dziewczyna ma popłatne zajęcie dodatkowe. Może umarł jej bogaty wujek albo ma bogatych rodziców. Na pewno nie mogła tego kupić za pensję pracowniczki linii lotniczych.

Szczerze mówiąc, zaczynałem mieć co do niej wątpliwości. Pewne drobiazgi nie pasowały do siebie. Na przykład, mając coś takiego w garażu, jeździła do pracy metrem?

Albo bądźmy brutalnie szczerzy. Mając taką twarz i figurę, chciała umówić się ze mną?!

Zacząłem się obawiać, że może być fanką katastrof. Są tacy, choć to na ogół mężczyźni. Ale jak trafi się kobieta, może być naprawdę pokręcona. Nagle przypomniałem sobie, jak rano w hangarze uciekła przede mną. Szukała czegoś z zapalnym w workach ze szczątkami. Czy to ją w jakiś sposób podniecało?

Tam, na lotnisku, wydawała się nieosiągalnym marzeniem, kiedy więc wreszcie dotarło do mnie, że ona próbuje mi pomóc, że naprawdę chce iść ze mną na kolację i robi wszystko, żebym ją zaprosił, nie kwestionowałem swojego szczęścia. Ale czego ona ode mnie rzeczywiście chciała? Nie sądziłem, że chodzi o moją oszałamiającą urodę i błyskotliwą konwersację.

Wcisnąłem się na miejsce dla pasażera i zagraniczne cudo pod maską zamruczało jak wielki kot, kiedy cofała. Samochód z pomrukiem przejechał przez parking i ustawiliśmy się w kolejce. Spojrzała na mnie.

– Ciężko było dzisiaj? – spytała.

No tak, zaczyna się. Będę musiał bawić damę makabrycznymi opowieściami.

– Było okropnie.

– To zapomnijmy o tym. Żadnych rozmów na temat katastrof. Nie wspominajmy w ogóle o samolotach.

Kolejna teoria do wyrzucenia. Nie mogłem dojść, skąd się wzięła ta dziewczyna.

Kiedy podjeżdżaliśmy do bramy, gdzie pobierano opłatę, przyjrzałem się jej jeszcze raz w błękitnym blasku świateł na parking. Coś jeszcze nie dawało mi spokoju.

Jej ubranie. Niby wszystko w porządku, wyglądała świetnie, tyle że było niemodne.

Miała teraz na sobie cywilne rzeczy i muszę powiedzieć, że nie widziałem czegoś takiego od dziesięciu lat. Nie uważam się za znawcę damskiej mody, ale nawet ja widziałem, że coś tu nie gra. Spódnica nie pasowała do bluzki i była za krótka. Bluzka tak przeświecała, że widać było stanik.

Nadal się nad tym głowiłem, kiedy zapłaciła strażnikowi wsypując mu garść monet do ręki i pozwalając wybrać należność. Pamiętam, że robiłem tak samo na

lotnisku w Kalkucie.

Potem puściła swoją chudą, głodną maszynę na drogę dojazdową i wystartowaliśmy, nie czekając na zezwolenie wieży kontrolnej. Czułem się tak jak w reklamie samochodowej, w której producenci próbują udowodnić, że ich pojazd jest bardziej przystosowany do latania niż poruszania się po drogach. Dojechaliśmy do autostrady w jednym kawałku i tu dopiero pokazała, co potrafi. Wykorzystywała luki, których ja nawet nie zdążyłem zauważyć, jakby inne samochody były nieruchomymi przeszkodami.

Po pierwszym przystępie strachu przestałem sięgać po nieobecny hamulec, rozsiadłem się i podziwiałem jej jazdę.

Do licha, ta dama potrafiła prowadzić.

Zawiozła mnie na plac Jacka Londona. Słyszałem o nim, ale nigdy tu nie byłem.

Okolica wyglądała na atrakcyjną dla turystów raczej niż dla miłośników dobrej kuchni.

Zaparkowała, a mnie udało się oderwać palce od boków fotela i jakoś się wytoczyłem na zewnątrz, zaskoczony, że mogę oddychać, wdzięczny, że żyję. Spojrzała na mnie, jakby chciała spytać, o co chodzi. Nagle poczułem się bardzo stary. Uznałem, że pewnie ona nie jechała aż tak szybko, że to ja staję się skamieliną. Byłem pewien, że jeździłem równie szybko w latach swojej młodości, a co do niektórych numerów, które wykręcaliśmy na odrzutowcach marynarki...

Weszliśmy do lokalu pod nazwą „U Antoine’a”, gdzie było pełno. Naturalnie, nie mieliśmy rezerwacji. *Maître d'hôtel* powiedział mi, że trzeba czekać czterdzieści pięć minut.

Sięgnąłem po portfel, żeby mu coś wsunąć do ręki, kiedy zdarzył się cud. Facet zobaczył Louise.

Widocznie nie mógł znieść myśli, że mogłaby sterczeć w holu. Nie zauważyłem, czy coś zrobiła, może go zahipnotyzowała. Tak czy inaczej, nagle znalazł się wolny stolik przy oknie z widokiem na wodę. Kiwało się tam na kotwicy dużo małych łodzi skąpanych w deszczu. Piękne. Zamówiłem podwójną szkocką z lodem i ona zażądała tego samego. To mnie ucieszyło. Nigdy nie mogłem zrozumieć, dlaczego ludzie zamawiają drinki, które smakują jak cukierki i wystają z nich papierowe parasolki.

Menu było po francusku. I wiecie co? Louise znała język jak urodzona Francuzka.

Pozwoliłem jej zamówić, mając nadzieję, że nie uraczy mnie ślimakami czy innymi węgorzami.

Nasze drinki zjawiły się z prędkością zbliżoną go prędkości światła. Po oczach kelnera poznałem, że Louise dokonała kolejnego podboju.

Ktoś zaczął grać na pianinie. Louise znieruchomiała i znów zobaczyłem ten jej

wyraz twarzy. Sięgała do banku pamięci, ale tego nie musiała szukać długo.

– Kawalek z *Casablanki* – powiedziała.

– Twoje zdrowie, mała – uniosłem szklankę.

Wypiła duszkiem. Widocznie zrobiłem zdziwioną minę.

– Potrzebowałam tego – wyjaśniła.

Przywołałem kelnera, który, oczywiście, gapił się na Louise, i część jej czaru chyba udzieliła się mnie, bo przybiegł z następną porcją.

– Na to wyglądało. – Ja też potrzebowałem, ale swoją whisky sącyłem powoli. Louise usiadła jakoś bokiem, zjedną ręką zarzuconą na oparcie krzesła, z nogami wyciągniętymi obok stołu. Sprawiała wrażenie zupełnie rozluźnionej i była jeszcze piękniejsza. Przechyliła lekko głowę.

– O co chodzi? – spytała.

– O nic. Proszę się nie gniewać, ale muszę to powiedzieć. Jest pani bardzo piękna i robię, co mogę, żeby się za bardzo na panią nie gapić.

Ściągnęła usta i przyjęła to z przekornym uśmiechem.

– Nie mogę uwierzyć w swoje szczęście – dodałem.

Uśmiech przygasł nieco.

– Nie jestem pewna, jak mam to rozumieć.

– Chodzi mi o to, że wszyscy widzą to, co ja widzę w pani, ale trudno mi zrozumieć, co pani widzi we mnie.

Wyprostowała się nieco i jej uśmiech przygasł jeszcze bardziej. Właściwie zmienił się w wyraz namysłu.

– Ryzykując podejrzenie, że wzbudził pan moje współczucie, powiem, że wyglądał pan na samotnego i przygnębnego. Taki ktoś potrzebuje przyjaciela. Ja też, a żadnego nie mam. Chciałam oderwać swoje myśli od koszmarów, których się dziś naogładałam, i pomyślałam, że panu to też pewnie nie zaszkodzi. Ale jeżeli pan...

– Chwileczkę, przepraszam, że powiedziałem...

– Nie, proszę mi pozwolić dokończyć. Nie robię panu żadnej łaski. I nie chcę nic z pana wyciągać, nie jestem dziennikarką. Nie jestem też pomyłona na punkcie katastrof.

Proszę nie mówić też o swoim szczęściu. Przyjęłam pańskie zaproszenie, bo spodobało mi się, jak pan załatwił tych głupków na konferencji prasowej, i cenię, że pracuje pan tak ciężko nad rozwikłaniem błędów popełnionych przez moją firmę. Dlatego chciałam pana poznać.

Umilkła i zmierzyła mnie krytycznym spojrzeniem.

– Oczywiście, mogłam się pomylić.

Do tej chwili nie przyszło mi na myśl, że ona może być dziennikarką. Teraz też uważałem, że nie jest. Zresztą nie zastanawiałem się nad tym za bardzo, bo widziałem tylko coś pięknego, co moje podejrzenia mogą zrujnować.

– Żałuję, że to powiedziałem – odezwałem się.

– Cóż, powiedział pan. – Westchnęła i odwróciła wzrok. – Może byłam dla pana zbyt surowa.

– Sam się o to prosiłem.

– Ciężki dzień. – Spojrzała na swoją drugą whisky i wlała ją w siebie jednym ruchem.

Zrobiłem to samo, mając nadzieję, że w ocenie swoich zdolności do picia jest bliska prawdy.

Nie byłoby zbyt zabawne, gdyby mi się urżnęła.

– Ile ma pan lat? – spytała.

– Jest pani dość bezpośrednio.

– To oszczędza czas.

– Mam czterdzieści cztery lata.

– Wielki Boże! Czyżby się pan martwił, że jestem dla pana za młoda? Czy nad tym się pan głowi?

– Między innymi.

– Mam trzydzieści trzy lata. Poprawiłam panu humor?

– Tak. Oceniałem panią na dwadzieścia pięć. – To nie całkiem była prawda. Kiedy ją pierwszy raz zobaczyłem, myślałem, że jest dużo młodsza, a później uznałem, że dużo starsza. Dwadzieścia pięć to była średnia. – Chciałbym wymazać te ostatnie parę minut i zacząć naszą rozmowę od początku.

– Zgadzam się. – Zapaliła kolejnego papierosa od niedopałka. Tylko to mi się w niej nie podobało, ale nie można mieć wszystkiego.

– Miała pani rację co do mnie. – Powiedzenie tego nie było tak trudne, jak mi się wydawało. – Jestem samotny i byłem przygnębiony. Poczułem się dużo lepiej, odkąd pani na mnie wpadła.

– Nawet z kawą na spodniach?

– Miałem na myśli to późniejsze spotkanie na schodach.

Sięgnęła przez stół i dotknęła mojej ręki.

– Rozumiem pana. Ja też nie cierpię lotnisk w obcych miastach. Człowiek czuje się taki anonimowy w tłumie.

– Zwłaszcza o tej porze roku.

– Właśnie. Wszyscy patrzą wilkiem. Lepiej jest przy wyjściach. Ludzie są tam radośniejsi, bo witają bliskich. Ale nie cierpię pracy w hali głównej. Wszystkim się śpieszy i zawsze są jakieś kłopoty z komputerami. Zagubione rezerwacje... wie pan.

Poczułem powiew chłodu. A jeżeli ona jest dziennikarką?

– Kiedy odwołano mnie z biletów i posłano do tego hangaru, przyjąłem to prawie z ulgą, może pan sobie wyobrazić? Obiecano, że nie będzie tam żadnych trupów.

Nie odzywałem się. Jeżeli chciała usłyszeć opowieści grozy, powinna o nie

spytać teraz.

– Ale mieliśmy nie rozmawiać o pracy – powiedziała. – Tyle że jestem ciekawa, jak ktoś, kto ma czterdzieści cztery lata, dorobił się tak smutnej twarzy.

– Pracowałem na nią latami, ale lepiej o tym nie mówić.

I właśnie o tym zaczęliśmy rozmawiać, o moim życiu i ciężkich czasach. Próbowałem się powstrzymać, ale bezskutecznie. Bogu dzięki nie rozczulałem się nad sobą, a od pewnego momentu i po pewnej ilości alkoholu nie pamiętam dokładnie, co mówiłem, ale jestem pewien, że nie wchodziłem w szczegóły swojej pracy. Przynajmniej dotrzyaliśmy tej części umowy. Głównie opowiadałem jej, co ta praca robi ze mną. O tym, co stało się z moim małżeństwem, o tym, jak budzę się z uczuciem, że spadam, i o śnie, w którym wędruję długim ciemnym korytarzem wśród migających światełek.

Alkohol niczego nie zepsuł. Zanim podano kolację, każde z nas wypilo sporo.

Poczułem się rozluźniony i beztroski jak rzadko. Człowiek doznaje cudownego uczucia ulgi, kiedy rozmawia o sprawach, które długo w sobie dusił.

Kiedy jednak podano jedzenie, uspokoilem się wystarczająco, by sobie uświadomić, że trudno nazwać to rozmową. Udział Louise sprowadzał się do słuchania i paru słów życzliwej zachęty.

– A pani lubi swoją pracę? – spytałem, na co ona się roześmiała. Nasze oczy spotkały się przez chwilę i nie dostrzegłem w jej wzroku krytyki. – Przepraszam, że tak się rozgadałem.

– Niech pan da spokój i je kolację. Chętnie posłucham. Powiedziałam już, że wygląda pan na kogoś, kto potrzebuje przyjaciela.

– Powiedziała pani to samo o sobie, a ja nie okazałem się jak dotychczas dobrym przyjacielem.

– Pan bardziej musiał się wygadać niż ja. Pochlebia mi, że wybrał pan do zwierzeń właśnie mnie. Widocznie mam przyjazną twarz albo coś.

– Albo coś.

Prawie już zapomniałem, jak to jest, kiedy człowiekowi jest po prostu dobrze, i byłem jej za to wdzięczny. Poprosiłem, żeby dla odmiany opowiedziała mi coś o sobie.

Jej ojciec jest bardzo bogaty. Studiowała sztukę w jakimś college'u na wschodzie.

Dorastała nie podejrzewając, że kiedyś będzie musiała sama na siebie zarabiać. Wyszła za odpowiedniego młodego człowieka, który okazał się nie tak znów odpowiedni. Rozstała się z nim i próbuje samodzielności. Poroniła dziecko.

Domyślałem się, że jej przygoda ze sztuką okazała się nieudana. Louise przeżyła wstrząs, kiedy przekonała się, jak ciężko trzeba pracować na życie, ale nie chciała wracać do ojca. Stale przysyłał jej jakieś prezenty, których nie miała siły nie przyjąć, jak tego samochodu.

Opowiedziała całą tę historię bardzo płynnie i skończyła przed deserem. Ilekroć spytałem o jakiś szczegół, miała gotową odpowiedź. Było to naprawdę fascynujące, bo mniej więcej w połowie opowieści uświadomiłem sobie, że nie wierzę w ani jedno jej słowo.

I wiecie co? Nic mi to nie przeszkadzało. Czułem już wówczas przyjemne ciepło, dalekie jeszcze od upojenia, ale bardzo sympatyczne. Louise dotrzymywała mi kroku w picciu i, o ile mogłem ocenić, była kompletnie trzeźwa.

– Czy umie pani latać?

Zrobiła minę zaskoczoną, a potem podejrzliwą.

– Jak mam to rozumieć?

– Nie wiem. Pomyślałem, że pani umie.

– Latałam małymi samolotami.

– Tak myślałem.

Deseru prawie nie tknęła. Jak się zastanowić, to prawie niczego nie tknęła, chociaż jedzenie było znakomite. I cały czas paliła. Wykończyła jedną paczkę, napoczęła drugą.

Zacząłem się zastanawiać nad powrotem na lotnisko w tym jej pocisku na kołach. I nad tym, dlaczego mnie okłamywała. Nie pytajcie mnie, skąd wiedziałem, po prostu wiedziałem.

– Może mnie pani odwieźć? – spytałem.

Była bardzo dobra. Może zdała sobie sprawę z mojego strachu w drodze do restauracji, bo jechała dużo wolniej.

Potem zostałem wysadzony przed hotelem, jak studentka po randce przed akademikiem. Czułem się trochę głupio, ale uznałem, że nie należy być natrętnym. I tak spodziewałem się zobaczyć ją rano.

Mój pokój wypełniony był ciepłym blaskiem, póki nie zamknąłem za sobą drzwi.

Wtedy znów znalazłem się daleko od domu, sam, w obcym pokoju hotelowym. Zapragnąłem się napić. Wiedziałem, że to najgorsze dla mnie rozwiązanie, lecz pragnienie nie gasło.

Zadzwoiłem pod numer obsługi, a potem w rzadkim przebłysku siły woli odłożyłem słuchawkę, zanim ktoś się odezwał. Rozsunąłem zasłony i spojrzałem na światła miasta.

Usiadłem przy oknie.

Pewnie bym tam zasnął na krześle, ale po jakichś dwudziestu minutach rozległo się pukanie. Miałem się nie odzywać. Pewnie przyszedł Tom albo ktoś z zespołu z problemem, którego i tak nie będę w stanie rozwiązać.

Jednak otworzyłem drzwi. Zobaczyłem Louise z papierową torbą i dwiema szklankami. Usiłowała wyglądać radośnie, ale nie wychodziło jej to najlepiej.

– Pomyślałam, że przyda ci się coś do poduszki – powiedziała i zaczęła płakać.

NIESZCZĘSNY MAŁY WOJOWNIKU!

Relacja Louise Baltimore

– Sherman, nastaw wskazówkę wehikułu czasu na dwunasty grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiąt ileś.

– Tak jest, mistrzu – pisał Sherman.

Sherman. Ten drań.

Nasza opowieść...

Zostawiliśmy bohaterkę, kiedy bohaterko zemdlła na samo wspomnienie historycznie nieistotnego poronienia. To, że poronienie miało miejsce w dwa lata po urodzeniu dziecka, nie zasługuje na szczególną uwagę. Wtedy zdarzało się to nagminnie.

Właściwie teraz zdarza się to zawsze. Miałam dziecko przez dwa lata, można to uznać za uśmiech fortuny.

Co to jest „Fortuna”? Czasopismo. Ile kosztuje? Dziesięć centów. Ale ja mam tylko piąta. To jest twój uśmiech fortuny.

Gdybym stała się choć trochę cięższa, zarwałyby się pode mną podłoga. Historyczne aluzje dziesięć centów za kilobit na koszt lokalnego dostawcy informacji. Nasza specjalność to lata osiemdziesiąte dwudziestego wieku.

Moja głowa była tak przepełniona danymi na temat tej epoki, że przy każdym chrząknięciu sypały się ze mnie reklamowe hasła, streszczenia filmów, programy telewizyjne albo świńskie kawały.

– Sherman, czy jestem jakąś dziwką do wynajęcia?

– Nie dawaj mu, Louise, jeżeli nie będziesz miała ochoty.

– Nie mam ochoty!

Brama się otworzyła i... przesłam na drugą stronę.

Siedziałam na prawie całej konferencji prasowej. Była dokładnie tak nudna, jak się spodziewałam, choć przecież nie mogliśmy jej podejrzeć na monitorze, bo ja tam byłam, przez co powstała cenzura temporalna.

Zdarzył się tylko jeden paskudny moment. Pod koniec konferencji Mayer zaczął zadawać pytania. Powiedział, że szuka niezwykłych danych. „Nie wiem, co to jest, ale jak usłyszę, to będę wiedział... A między nami, panie Smith, czy natrafił

pan na coś niezwykłego związanego z czasem?” ...

Mało nie połknęłam papierosa.

Co ten skurwiel wie?

Wypatrzyłam Smitha w zatłoczonej hali dworca lotniczego. Nie miałam kłopotów z dotarciem do niego, kiedy wchodził na schody ruchome, choć paru osobom, które nie zeszły mi na czas z drogi, nie spodobały się moje metody. Co tam. Wszyscy byli moimi przodkami, ale miałam po uszy przodków. Poświęciłam życie na budowanie dla nich przyszłości i co z tego mam?

Sherman i ja ciężko pracowaliśmy na tę chwilę.

Działo się to długo, długo po tym, jak Sherman skropił mi twarz wodą, uszczypnął w ucho, spoliczkował, czy co on tam zrobił, żeby mnie przywrócić do przytomności. Pamiętam ten okres raczej mgliście i wolałabym nic więcej nie mówić, dziękuję. Następne godziny, po rozmowie z Shermanem o dziecku, pamiętam bardzo dobrze. Też nie chcę o tym mówić.

Mam opowiedzieć wszystko, ale są jakieś granice.

– Zrób to sprytnie – rzekł Sherman.

– Co to znaczy?

– To taki termin z dwudziestowiecznego Hollywoodu, opisujący sposoby na rozwiązanie najpopularniejszych w tamtych czasach historii: „Chłopak spotyka dziewczynę”.

– „Chłopak traci dziewczynę, chłopak odzyskuje dziewczynę”, tak?

– Zgadza się. Tym dalszym ciągiem nie musimy się zajmować. Straci cię bez naszej pomocy, naturalną rzeczą koleją, i nie może cię, rzecz jasna, odzyskać na końcu.

– A co się stało z happy endami? – spytałam. – Nie odpowiadaj. Wymarły przed moim narodzeniem. Daj mi lepiej przykład takiego sprytnego spotkania.

– Rozczarowana Veronica Lake opuszcza Hollywood i wydaje ostatniego dolara na jajecznicę dla Joela McRae, który okazuje się przebrany za włóczęgę słynnym reżyserem, zbierającym materiał do planowanego filmu. *Podróże Sullivana*, reżyser Preston Sturges, 1942 rok.

– Oglądałeś dużo filmów.

– Mniej więcej tyle samo co ty. Oczywiście, moje możliwości magazynowania danych są większe, a dostęp do nich łatwiejszy.

– W ten sam sposób myślałeś, kiedy kazałeś oblać go kawą.

– Zgadza się. Teraz już cię zna. Musimy dać mu okazję, żeby cię poznał bliżej.

– To jaki masz pomysł?

Sherman mi powiedział i oto wchodziłam na schody ruchome w Oakland. W chwili kiedy Smith mnie zobaczył, sięgnęłam do torebki. Uśmiechnęłam się do niego, naciśnęłam odpowiedni guzik w torbie i schody ruchome stanęły.

– Coś często na siebie wpadamy, prawda? – powiedziałam.

Nie spodziewałam się, że będzie tak nieśmiały. Musiałam wymusić na nim zaproszenie na kolację. Zaczynałam się zastanawiać, czy mój wspaniały skórokombezon jest rzeczywiście tak wspaniały.

Z perspektywy czasu widzę, że oczekiwałam od niego podobnej znajomości roli jak moja. Założyłam, że podobnie jak ja czuje poruszające nim sznurki władcy marionetek. Ale niby dlaczego miałby czuć? Jeżeli już, to ja nim kierowałam, a on nie mógł tego wiedzieć.

Tylko ja znałam scenariusz, a w każdym razie szkic scenariusza tego wieczoru.

Ponieważ nie zaproponował, że mnie zawiezie, uznałam, że nie ma samochodu, więc poprowadziłam go na parking, gdzie przygotowaliśmy plan awaryjny. Tu omal się nie wpakowałam w tarapaty.

Jak już wspomniałam, pompowanie danymi daje fakty, ale niewiele pomaga w rozpoznawaniu powiązań. Na parkingu stało z milion pojazdów, a ja nic o nich nie wiedziałam. Znałam marki, ale poza tym przy wyborze „swojego” zdana byłam na instynkt.

Logicznie uznałam, że powinnam wybrać coś małego, w zgodzie z moim statusem społecznym i ekonomicznym, lecz logika nie zawsze pomaga. Skąd mogłam wiedzieć, że nie zawsze duże samochody są droższe, a małe tańsze?

Ten, który wybrałam, był niski i wyglądał na ciasny. Jak tylko go wskazałam, zrozumiałam swój błąd. Smith dziwnie na mnie spojrział. Cóż, było za późno na zmianę decyzji. Sięgnęłam do torebki i wszystkie zamki się odblokowały, zanim Smith podszedł na tyle blisko, by mógł coś zauważyć. Potem wsiedliśmy i spojrzaliśmy na system kierowania.

Wyglądał na nieskomplikowany i skuteczny, choć uznałam, że przydałby się radar.

Wsunęłam kluczyk do stacyjki. Wyczuł właściwą kombinację, uruchomił silnik i ruszyłam.

Poszło mi łatwo. Pojazd okazał się znacznie szybszy niż wszystkie inne na drodze.

Wykorzystywałam rezerwę szybkości do wyprzedzania innych samochodów, utrzymując szybkościomierz możliwie jak najbliżej czerwonej kreski. Znaki doprowadziły mnie do placu Londona.

Nie powinnam była ujawniać, że znam francuski. Zanim się zorientowałam, że to nie pasuje do mojej roli, już rozmawiałam z kelnerem.

Jedzenie było kiepskie. Jestem pewna, że wszystkim poza mną smakowało, ale dla mnie było bez smaku, jakbym żuła tekturę. Nasze organizmy wymagają zupełnie innych związków chemicznych niż organizmy dwudziestaków, włącznie z

takimi, które bez wątpienia zabiłyby Billa Smitha, a co najmniej przyprawiły go o ciężką chorobę. Byłam przygotowana. Miałam ze sobą kapsułki zawierające wszystkie trucizny niezbędne każdej szanującej się istocie z dziewięćdziesiątego dziewiątego stulecia. Przez cały wieczór ścisłałam je w dłoni i wrzucałam do alkoholu. Miały tę dodatkową zaletę, że całkowicie neutralizowały działanie etanolu. Jedzenia ledwo skubnęłam, jechałam na podwójnych szkockich.

Opowiedział mi wiele rzeczy, które już znałam. Bill Smith stał się najbardziej drobiazgowo badaną postacią dwudziestego wieku. Obserwowaliśmy go od narodzin (przez cesarskie cięcie) do śmierci.

Wkraczając w dwudziesty wiek, żywiłam niemałą pogardę dla pana Smitha. Patrząc na jego życie z zewnątrz, człowiek musiał się zastanawiać, jak ktoś, kto miał tyle atutów, osiągnął tak mało. Był dla mnie kimś wiecznie narzekającym, kto wkrótce zostanie pijaczną.

Zajmował odpowiedzialne stanowisko i pracował nad jego utratą. Nie sprawdził się w małżeństwie.

Żył w czasach, kiedy ludzkość, z mojej perspektywy, była najbliższa rajowi na Ziemi, i w kraju, który zgromadził więcej bogactwa, jakkolwiek je mierzyć, niż jakkolwiek kraj w historii. Odtąd miał być już tylko zjazd w dół, aż ludzkość osiągnie swój nadir, te dni odległej przyszłości, które są moim domem.

Nic dziwnego, że łapałam się na myśli: „Na co on się, do cholery, skarży?”.

Tymczasem wiek dwudziesty roił się od niezadowolonych. Martwili się o stosunki międzyludzkie. Skarżyli na wysokie koszty utrzymania. Mieli długi zestaw słów na oznaczenie problemów, które ich trapiły, terminów takich jak stres, dezintegracja, anomia.

Brali pigułki przeciwko czemuś, co nazywali depresją. Uczęszczali na kursy samoakceptacji.

Wyskrobywali co czwarte ze swoich dzieci. Z całą powagą uważali, że mają kłopoty.

A jednocześnie trudzili się jak mrówki nad niszczeniem swojego świata. Po latach wysiłku zbudowali przeszło trzysta gigaton broni jądrowej i potem się oszukiwali, że ich nie użyją. Uruchomili proces, który miał doprowadzić do zagłady wszystkie gatunki zwierząt poza nimi samymi, niektórymi owadami i milionem gatunków błyskawicznie mutujących bakterii, przez co skazali ich potomków, takich jak ja, na zniknięcie z powierzchni Ziemi. Oni sprowokowali we mnie takie zmiany, że nie mogłam dłużej oddychać ich powietrzem i jeść ich jedzenia.

Trudno się dziwić, że wymyślili rozpacz egzystencjalną.

Jednak co innego oglądać kronikę czyjegoś życia, a co innego słuchać żywego człowieka. Byłam przygotowana na tę opowieść, wierzyłam, że potrafię utrzymać uśmiech na twarzy do końca.

Ale kiedy zaczął mówić, łapałam się na tym, że mu współczuję.

Smith nie skomlał. Właściwie nawet się nie skarżył. Szkoda, byłoby znacznie łatwiej czuć do niego zdrową pogardę. Rzecz w tym, że mówił zwyczajnie prawdę. Był samotny i nie wiedział, co z tym począć. Kiedyś potrafił zatracić się całkowicie w pracy, ale teraz metoda już nie działała. Nie mógł zrozumieć, dlaczego wszystko straciło sens. Działając jako swój własny lekarz, przepisał sobie na lekarstwo etanol. Czasami wydawało się, że lek pomaga, ale jeszcze nie wszystkie skutki kuracji się ujawniły. Nie wiedząc skąd, wiedział, że o coś mu chodziło, ale przegapił to i teraz miał przed sobą tylko drogę w dół. Lepiej już nie będzie.

I tak wahałam się między współczuciem a chęcią chwycenia go za kołnierz i policzkowania, póki nie oprzytomnieje. Gdybym urodziła się w dwudziestym wieku, byłabym pewnie pracownikiem społecznym. Nie potrafiłam nawiązać kontaktu osobistego z baranem bez angażowania się w jego sprawy. Za bardzo się wczuwałam.

Do diabła, o ileż łatwiej jest ich ogłuszać i kopniakami zapędzać do Bramy. Wtedy nie muszę wysłuchiwać skarg i płaczów.

Ten facet potrafił pić. Pewnie to samo myślał o mnie.

Trzymał się bardzo dobrze. Kiedy podano jedzenie, zorientował się, że historia życia wylewała się z niego nieprzerwanym monologiem, i poczuł się z tego powodu winny. Spytał więc o mnie.

Byłam, oczywiście, zabezpieczona na taką okazję. Razem z Shermanem opracowaliśmy mój życiorys, ale miałam nadzieję, że nie będę musiała go opowiadać.

Miałam dość kłamstw. Ale opowiedziałam i chyba dobrze wywiązałam się z zadania. Smith kiwał głową we właściwych miejscach i zadawał pytania sympatycznie, bez wścibstwa.

Zadowolona z siebie kontynuowałam opowieść, kiedy nagle zdałam sobie sprawę, że on nie wierzy w ani jedno moje słowo.

Miał jakiś dziwny błysk w oku. Powiedziałam sobie, że może to alkohol, ale sama w to nie wierzyłam.

Nie, on uznał, że jest coś, o czym nie chcę mówić, i miał stuprocentową rację.

Wysadziłam go przed hotelem, odjechałam kilka przecznic, zaparkowałam i zaczęłam się trząść.

Kiedy mi przeszło, spojrzałam na zegarek. Było tuż po północy. Wiedziałam, co mam robić. Ustaliliśmy z Shermanem podejście i wierzyłam, że to zadziała. Tylko nie mogłam się jakoś ruszyć z miejsca.

Nie, nie bałam się pójść z nim do łóżka. Omówiliśmy to z Shermanem i poczułam się dużo lepiej w kwestii seksu. Co za różnica – zajdę w ciążę czy nie, skoro mam przed sobą tylko kilka dni życia. Nie chodziło też o to, że za bardzo się ceniłam, by pójść z mężczyzną do łóżka dla dobra planu „Brama”. Istniała długa

lista przykrości, które gotowa byłam znieść dla ratowania planu, i przespanie się z kimś, kto mnie nie pociąga, zajmowało na niej miejsce dalekie od końca. Właściwie nie miałam nawet nic przeciwko temu. Było zadanie do wykonania, a jako dobry żołnierz nigdy nie wykręcam się od obowiązku... ale niezależnie od tego, Smith mi się podobał. Zresztą list z przyszłości pozostawiał mi swobodę. Nie musiałam, jeżeli nie miałam ochoty. To tylko pustak.

Niedaleko miejsca, gdzie się zatrzymałam, był sklep z alkoholem. Wsiadłam z samochodu i kupiłam butelkę whisky.

W drodze powrotnej ktoś wyszedł z ciemnej bramy. Skradał się za mną. Odwróciłam się. Był to ciemnoskóry mężczyzna, może Murzyn, chociaż z rozróżnianiem ras mam podobne kłopoty jak z modą. Skierował na mnie rewolwer.

– Dawaj, kurwo, torebkę – powiedział.

– Jesteś złodziejem czy zboczeńcem? – spytałam.

Potem zabrałam głupkowi broń, rzuciłam go na ziemię i nadepnęłam mu na gardło. Próbował się uwolnić, no to dostał kopniaka w twarz i znów miał nogę na gardle. Zaczął rzeźzić, więc zwolniłam nacisk.

– Chyba złamałaś mi nadgarstek – wyjącał.

– Nie, to kość strzałkowa albo promienista. Nastawią ci w szpitalu. – Spojrzałam na jego nagie ramię. – Jesteś narkomanem, co?

Nie odpowiedział.

Cóż, człowiek nie ma dużego wyboru, kiedy chodzi o przodków, ale był jednym z moich przodków i nie mogłam go zabić. Prawdopodobnie narobiłam już i tak dużo zamieszania w strumieniu czasu... co tam.

Poczułam przyływ ulgi. Zrobię to, na co mam ochotę, jeżeli tylko ustalę, co to jest.

Oddałam mu rewolwer, wyjąwszy uprzednio pociski. Potem sięgnęłam do torebki i wręczyłam mu zwitek amerykańskich banknotów, dwadzieścia tysięcy dolarów minus piętnaście osiemdziesiąt sześć, które wydałam na whisky. – Zabaw się – powiedziałam.

Wolna wola to dziwne uczucie. Jeżeli to było to.

Nie myślałam, dokąd jadę. Znalazłam się powrotem przed hotelem Billa i zaparkowałam samochód.

Na korytarzu potknęłam się o wózek, na którym stała taca z dwiema pustymi szklaneczkami do koktajlów. Zgarnęłam je. Chciałam podrapać w drzwi pokoju Billa, ale przypomniałam sobie, że to inne miejsce i czas, zapukałam więc pięścią.

Puk, puk.

Kto tam?

Pański szczęśliwy los.

Jaki los?

Niech pan da dłoń, panie Smith. Louise prawdę powie.

15.

WSPÓLNE INTERESY

Relacja Billa Smitha

Nie miałem w ustach papierosa od dziewięciu lat, ale kiedy ona wstała i wyszła do łazienki, chwyciłem paczkę, którą zostawiła na nocnym stoliku, i zapaliłem. Były to Virginia Slims. Rozkasałem się przy drugim pociągnięciu, po czwartym poczułem zawrót głowy i zgmiotłem papierosa w popielnicze.

Co za noc.

Spojrzałem na zegarek. Była pierwsza. O dziesiątej ona zmieni się w dynię. Wśród wielu jej wyznań, to nie było najmniej prawdopodobne.

Słuchałem plusku wody za zamkniętymi drzwiami. Chyba brała natrysk.

Jedynie, co wiedziałem na pewno, to że miała córkę i że dziecko zmarło. Reszta nie trzymała się kupy.

– Mogę ci coś powiedzieć? – spytała, kiedy opanowała łkanie. Siedzieliśmy na skraju łóżka i trzymałem ją w ramionach. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek obejmowałem, ale moje myśli były dalekie od seksu.

– Pewnie. Wszystko co zechcesz.

– To długa historia – ostrzegła.

– Tak przypuszczałem.

Roześmiała się. Był to niepewny śmiech, mogący w każdej chwili przejść w swoje przeciwieństwo, ale zapanowała nad sobą. – Tam, skąd przychodzę, wszyscy umierają.

Przysięgam, że od tego miejsca opowieść stawała się coraz bardziej szalona.

Relacja Louise Baltimore

– Nadajemy imiona naszym dzieciom w dniu drugich urodzin.

– Dlaczego?

– Czy to nie oczywiste? – Zastanowiłam się powtórnie, w jak wiele on uwierzy.

Może w jeden procent, uznałam. Mimo to, jeżeli miałam mu opowiedzieć tę historię, nie mogłam jej ująć w ogólnie przyjęte kategorie lat osiemdziesiątych dwudziestego wieku.

– Nie nadajemy im imion, bo mają szansę mniejszą niż jeden do stu, że dożyją

drugich urodzin. Potem można już mieć nadzieję, że im się uda.

– Co było temu dziecku?

– Nic. W każdym razie tak się wydawało. Miałam dwanaście lat, pierwszy okres i wszystko wskazywało, że jestem płodna. Analiza genetyczna nie ujawniła żadnych poważniejszych wad.

Spojrzałam na niego. Czasami prawda jest nieprzekonywująca.

– Byłam zagrożona bezpłodnością. Lekarze powiedzieli mi, że nie będę mogła mieć dzieci. A mimo to zaszłam w ciążę.

– W wieku dwunastu lat?

– Nieważne. Jestem pijana, dobrze? Miałam... jak się to nazywa? Amniocentezę. Myślano, że jeżeli zajdę w ciążę, dziecko będzie... mongoidalne.

– Teraz to się nazywa zespół Downa.

– Słusznie. Zapomniałam miejscową nazwę. Dziecko się urodziło. Było idealne.

Najsłodsze, najpiękniejsze stworzenie pod słońcem. Najdoskonalsze dziecko, jakie przyszło na świat w ostatnim stuleciu.

Pociągałam prosto z butelki. Nie potrzebowałam żadnych pigułek. Okazało się, że spirytus etylowy jest całkiem niezłym środkiem na rozpacz.

– Była moim życiem. Wszystkim czego pragnęłam. Tak, chcieli mi małą zabrać, wziąć do szpitala, gdzie mogliby mieć ją stale na oku. A inteligencja? Ten dzieciak był genialny. Miała sześć miesięcy, kiedy zaczęła chodzić, i dziewięć, kiedy zaczęła mówić. Była moją Ziemią, Księżycem i gwiazdami.

– Jak miała na imię? – spytał.

Spojrzałam na niego. W porządku, nie wierzył nawet w jeden procent.

A niby dlaczego miałby wierzyć? I dlaczego ja miałabym wierzyć?

Rozplakałam się na nowo.

Relacja Billa Smitha

Ta kobieta była bardziej znerwicowana, niż myślałem. Usiłowałem jakoś posklejać jej opowieść, prawie jakbym odtwarzał katastrofę lotniczą.

Dziecko cierpiało na jakąś wrodzoną chorobę. Nie znam się na tych sprawach, ale to i owo przyszło mi do głowy. Jak choćby: matka miała syfilis albo będąc w ciąży zażywała heroinę. Co jeszcze mogło ją wpędzić w takie poczucie winy? Z jakiego innego powodu opowiadałaby tę historię za pomocą tak zwariowanych metafor?

Dziecko zmarło przed drugimi urodzinami. Albo i nie. Może było jarzyną, utrzymywaną przy życiu przez aparaturę medyczną.

A może dziecko zabrała opieka społeczna? Może mieszka z przybranymi

rodzicami?

Trudno zgadnąć.

Pewne było tylko, że Louise jest wariatką. Im więcej mówiła, tym bardziej się co do tego upewniałem. Jestem uczulony na wariatów. Staram się trzymać od nich z daleka. Ona mogła wpaść w szał. Bóg wie, co mogła sobie wyobrazić, za co mogła mnie obwinie.

Jednak tym razem nie czułem zagrożenia.

To prawda, że kiedy skończyła, byłem emocjonalnie wykończony. To prawda, że bolał mnie kark od kiwania głową na znak zrozumienia i sympatii. Nieważne. Nadal ją lubiłem i nadal chciałem być w jej towarzystwie.

Relacja Louise Baltimore

– Zostało mi niewiele czasu – powiedziałam, kiedy skończyłam historię, której i tak nie mógł zrozumieć. – Chyba pójdę się odświeżyć – spojrzałam na zegarek. – Przecież o dziesiątej rano zmienię się w dynię.

Przyjrzałam się swojej twarzy w lustrze. Ta sama Louise. Ta sama stara idiotka.

– Widzisz – powiedziałam do siebie. – Robiłaś wiele hałasu o nic. Powiedziałaś mu coś, o czym najbardziej bałaś się mówić, a on nie uwierzył w ani jedno słowo. Możesz to nazwać antykulminacją.

Rozkaszałam się w trakcie tej przemowy. Znalazłam swój inhalator i zaciągnęłam się głęboko, mając nadzieję, że smród (z punktu widzenia Billa) nie napełni całego pokoju.

Potem zdjęłam ubranie i weszłam pod natrysk.

Sherman wymyślił cały podscenariusz, który miałam od tej chwili uruchomić. Był piekielnie dowcipny, pełen zdań zapożyczonych ze słynnych kobiecych ról filmowych, kończył się wpadnięciem w jego ramiona i (zapewne) przejściem na fale rozbijające się o brzeg, podczas gdy nasz obraz taktownie zanika. Kłopot w tym, że to wychodzi tylko w filmach. Wystarczy, że spotkaliśmy się jak w scenie z filmu. Nadszedł czas, żeby porzucić lata trzydzieste i czterdzieste, i przejść do nieznających zahamowań lat osiemdziesiątych.

Wyszłam więc spod natrysku i otworzyłam drzwi łazienki.

Relacja Billa Smitha

Chyba było jej dobrze. W każdym razie wydawała wszystkie właściwe odgłosy. Bóg mi świadkiem, że mnie było dobrze. Czułem, że jest spragniona seksu nie mniej niż ja, a ja nigdy jeszcze nie byłem tak spragniony.

Kiedy skończyliśmy, ona sięgnęła po papierosa i to mi się nie spodobało. Może potrzebowałem czegoś, do czego mógłbym się przyczepić. Może nagle było mi za dobrze.

– Czy zawsze dymisz po stosunku?

Spojrzała sobie między nogi i nie musiała już kończyć dowcipu. Oboje wybuchnęliśmy śmiechem. Zapaliła, zaciągnęła się głęboko i powoli wypuściła dym.

Sprawiała wrażenie całkowicie zadowolonej.

– Ja dymię po wszystkim, Bill. I przed wszystkim. Gdybym znalazła sposób na palenie przez sen, robiłabym to. Tylko dzięki mojej nadludzkiej sile woli palę w twojej obecności po jednym naraz.

– Zapewne wiesz, co stwierdził Lekarz Naczelny.

– Potrafię przeczytać, co jest na pudełku.

– To po co palisz?

– Bo lubię ten smak. Przypomina mi mój świat. A także dlatego że dla mnie rak płuc jest jak pół cala śniegu na biegunie północnym.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że już i tak umieram na straszną chorobę.

Spojrzałem jej w oczy, ale nic z nich nie wyczytałem. Mogła to być prawda albo dziwaczne przywidzenie, albo robiła mnie w konia.

Byłem dumny z siebie, kiedy w restauracji stwierdziłem, że mnie okłamuje. Teraz zupełnie nie wiedziałem, co o niej myśleć.

– Wszyscy umieramy, Bill – powiedziała. – Życie jest nieodmiennie śmiertelne.

– Powiedziałbym, że masz jeszcze przed sobą kawał życia.

– Pomyliłbyś się.

– Dlaczego uciekłaś wczoraj rano, kiedy poprosiłem cię o kawę?

Zdusiła papierosa, zapaliła następnego.

– Nie spodziewałam się, że cię tam zastanę. Szukałam czegoś.

– Czy naprawdę pracujesz w United?

Uśmiechnęła się szeroko.

– A jak myślisz?

– Myślę, że jesteś wariatką.

– Wiem. Niektórym ludziom prawda nie wystarcza.

Zastanowiłem się nad tym.

– Tak. Myślę, że pracujesz w United. Myślę, że bawi cię robienie z ludzi wariatów.

Lubisz ich zwodzić.

– Skoro nalegasz.

– Myślę, że coś tobą wstrząsnęło. Może zakrwawione zabawki i poszarpane gwiazdkowe prezenty.

Westchnęła i spojrzała na mnie smutno.

– Odkryłeś mój najtajniejszy sekret. Mam miękkie serce. – Odwróciła wzrok od mojej twarzy i zdusiła w popielniczce nie dokończonego papierosa. Jak na nią był to zaskakujący gest. – Jesteś gotów na jeszcze?

Relacja Louise Baltimore

Nadal czekało mnie zadanie, choć prawie o nim zapomniałam. Musiałam sobie przypomnieć: jesteś tutaj, żeby go powstrzymać przed pójściem do hangaru w środku nocy i spotkaniem z wcześniejszą wersją Louise Baltimore.

Nie przeszkadzał mi szczególnie fakt, że jeżeli Bill tam nie pójdzie, część mojego już przeżytego życia zostanie wymazana, nigdy się nie zdarzy. Jeżeli wszechświat mnie skasuje, przynajmniej zniknę jako kobieta zaspokojona. To dużo więcej niż oczekiwałam od życia.

Kiedy spojrzałam na zegarek, była siódma rano, a my nadal siedzieliśmy w łóżku i nadzy, roześmiani rozmawialiśmy, podczas gdy za oknem wschodziło słońce. Nie pamiętam, kto zaproponował, żeby się przespać, ale skłanialiśmy się do tej decyzji. Nie sądziłam, że będę miała kłopoty z utrzymaniem go z dala od śledztwa. Choćby dlatego że rano miał przylecieć C. Gordon Petcher i uwolnić Billa od części obowiązków. Bill mógł powiedzieć, że źle się czuje, i spędzić dzień w łóżku.

W każdym razie tak to sobie wymyśliłam.

Cała sprawa z Oknem C wyszła bardzo dziwnie. Złamałam zasady bezpieczeństwa i w dół, i w górę strumienia czasu. Powiedziałam Billowi wiele prawdy o sobie, a on mi nie uwierzył.

Dziwne, ale uznałam to za dobry znak. Myślał, że jestem pomyłona, a jednak mu to zbytnio nie przeszkadzało. Czy trudno będzie tej uroczej wariatce czarować tego człowieka wystarczająco długo, żeby nie poszedł dziś w nocy do hangaru?

Nawet jeżeli o dziesiątej rano czasu pacyficznego wariatka musi zmienić się w dynię?

Relacja Billa Smitha

Zaśmiewaliśmy się objęci ramionami, pijani, i kochaliśmy się od nowa, tym razem wolniej. Potem znów się śmialiśmy i znów się kochaliśmy. Sam siebie podziwiałem. Miałem nadzieję, że ona to doceni.

Nie wiem, kiedy zasnąłem. Wydawało się, że to nie ma znaczenia.

A było inaczej. Całkiem inaczej.

Wyskoczyłem z łóżka jak rakieta... i uderzyłem nosem w ścianę. Stałem wytrzeszczając bezmyślnie oczy, podczas gdy mój skacowany umysł organizował się w coś na kształt świadomości.

Budzik nie zadzwonił. Skąd się tu wzięła ściana? Kim jestem, gdzie jestem, czym jestem, po co jestem...

Tak.

– Dzień dobry – usłyszałem.

Siedziała w łóżku oparta o poduszki. Zaciągnęła się papierosem. Była tak dojmująco piękna, że mogłbym się rozplakać.

– Proszę – zachrypiałem. – Nie pal tak głośno.

– Nie najlepiej. Wczoraj wieczorem byłeś znacznie dowcipniejszy. – Ale papierosa zgasila.

– Wczoraj wieczorem było mi znacznie śmieszniej.

– Tak sobie siedzę i myślę – powiedziała. – Kiedy się nagle zerwałeś na równe nogi, przez chwilę miałeś nieprzytomne oczy.

– Nadal są nieprzytomne.

– Już nie. – Przeciągnęła się i chyba dobrze zrobiła. Nie mogłem oderwać od niej oczu, tak była kusząca. – Zastanawiałam się, co cię tak poderwało. Ja nic nie słyszałam i nic nie robiłam. A ty podskoczyłeś jak ukąszony.

– Która jest godzina?

– Wpół do dziewiątej.

Usiadłem na łóżku i opowiedziałem jej o moim budziku. Musiałem przyjąć, że przytrafił mi się numer z historii o starym latarniku, który przez dwadzieścia lat słyszał ryczącą co pół minuty syrenę. Którejś nocy syrena opuściła jeden ryk i latarnik zerwał się z łóżka z krzykiem: „Co to było?!”.

Słuchała uważnie, potem sięgnęła po następnego papierosa, spojrzała na mnie i go odłożyła. Wyciągnęła do mnie ramiona.

– Bill, posłuchaj mnie. Spałeś raptem godzinę. Petcher może cię dziś rano zastąpić w pracy. Wracaj do łóżka, zrobię ci masaż pleców.

Położyłem się i zrobiła mi masaż. Używała nie tylko rąk, a ja nie protestowałem.

Potem podjąłem najtrudniejszą decyzję w życiu. Wstałem.

– Muszę iść do pracy.

Siedziała tam jak wycięta ze środka „Penthouse’a”, włącznie z lekkim zamgleniem, choć to mogło wynikać ze stanu moich gałek ocznych. Siedziała i patrzyła na mnie.

– Ta praca cię wykończy, Bill.

– Tak. Wiem.

– Zostań dziś ze mną. Pokażę ci San Francisco.

– Zdawało mi się, że o dziesiątej musisz gdzieś iść.

Twarz jej się zapadła. Czy powiedziałem coś strasznego? Nie mówiła, gdzie idzie o dziesiątej. Może miała odwiedzić dziecko w szpitalu.

Z hałasem odsunęła kurtynę natrysku i oboje weszliśmy do kabiny. Wstrząsnęła się, kiedy zimna woda dotknęła jej skóry, i przez chwilę obejmowaliśmy się jak małe dzieci.

Zmieniłem wodę na ciepłą i znów ją objąłem. Kiedy odchyliła się w moich ramionach, zauważyłem, że jej sutki nie naprężyły się od zimna, jak to się zdarzało u mojej żony.

Śmieszne, na jakie rzeczy człowiek zwraca uwagę w takich chwilach.

- Nie chcę patrzeć, jak się zabijasz. Weź sobie wolny dzień.
- Louise, nie gderaj. Mam pracę i muszę ją wykonać.
- To chociaż nie pracuj do późna. Będę tutaj o dziesiątej wieczorem.
- To się da zrobić. Ja też tu będę.

Relacja Louise Baltimore

Wyszedł, a ja nie miałam pojęcia, co będzie robił tego wieczoru. Tak czy inaczej, sprawy nie wyglądały dobrze.

Mógł pójść do hangaru, spotkać tam mnie i spieprzyć strumień czasu. Mógł też nie pójść do miejsca, w którym ja już byłam, do miejsca, w którym, w mojej wersji rzeczywistości, już był. Nie wiem, co by się wtedy stało ze mną.

Tak czy owak, siedząc tam na łóżku w mokrym skórokombinezonie, wiedziałam, że to może być mój ostatni papieros w życiu. Rozkoszowałam się każdym rakotwórczym pociągnięciem.

Potem w łazience zjawiała się Brama i przeszłam przez nią, licząc się z tym, że po drugiej stronie może już niczego nie być. Nie przejmowałam się tym specjalnie. Przez jedną noc sobie pożyłam.

16.

PAMIĘTNA NOC

Relacja Billa Smitha

Kiedy wychodziłem z hotelu, przy ladzie recepcji stało dwóch policjantów, którzy rozmawiali z dyrektorem. Nie zastanawiałem się nad tym, póki nie znalazłem się na zewnątrz, gdzie zobaczyłem dwóch następnych policjantów, dwa samochody policyjne i ciężarówkę ściągającą sportowy wóz Louise z parkingu.

Ruszyłem w tamtą stronę. Chciałem spytać, co tu się dzieje, ale coś mnie powstrzymało. Zamiast tego zagadnąłem jednego z gapiów.

– Policjant mówił, że to wóz kradziony.

– Kradziony?

– Tak powiedział. Pewnie to wybryk jakiegoś dzieciaka. Kto byłby na tyle głupi, żeby kraść coś takiego? Założę się, że w całym kraju nie ma ich więcej niż sześć czy siedem.

Wyskoczyłem z windy i pobiegłem korytarzem do swojego pokoju. Wyjmowałem z kieszeni klucz, kiedy rozległ się dziwny dźwięk. Rozejrzałem się dookoła, ale nie potrafiłem zlokalizować jego źródła.

Mógł to być odgłos z pobliskiego lotniska. Znalazłem klucz i włożyłem go w dziurkę.

To znaczy, chciałem włożyć.

Drzwi ugięły się do środka jak zrobione z gumy. Byłbym się przewrócił, ale oparłem się o ścianę, która też uległa odkształceniu. Potem powoli wróciła na swoje miejsce.

Stałem obłany zimnym potem. Odsunąłem się od drzwi, przyglądając się im uważnie.

Nie zauważyłem nawet najmniejszego pęknięcia farby. Przejechałem dłonią po drzwiach i framudze. Żadnych nierówności, żadnej drzazgi.

Jezu! Miewałem kaca, ale nigdy nie przeżyłem czegoś podobnego. Potarłem rękami twarz i otworzyłem drzwi.

Przez sekundę wszystko było dziwne. Na drugim końcu pokoju znajdowały się zasuwane szklane drzwi prowadzące na balkon rozmiarów trumny. Te drzwi były zamknięte, ale firanki powiewały jak przy mocnym wietrze. Tyle że nie czułem najmniejszego powiewu.

I wszystko w pokoju wydawało się pokryte lodem.

Może lód nie jest tu właściwym słowem. Szron albo cukier puder.

Mrugnąłem i wszystko znikło. Firanki wisiały nieruchomo i nic się nie działo ze ścianami ani z nie pościelonym łóżkiem.

Jej nie było.

Zrobiłem wszystko, co potrafiłem wymyślić. Nie sprowadziłem jej z powrotem. Drzwi balkonowe były zamknięte od wewnątrz. Otworzyłem je i wyszedłem na balkon. Nie wydostała się z czwartego piętra. Nie było liny, powiązanych prześcieradeł, niczego.

Opuściłem pokój tylko na parę minut. Powiedzmy, że mogła zjechać jedną windą, podczas gdy ja wjeżdżałem drugą, albo że zeszła schodami, ale coś kazało mi w to wątpić. Jej ubranie zostało. Od brązowych pantofli do stanika.

Znikła natomiast torebka. Czyżby miała tam zapasowe ubranie?

Jedynymi poza tym śladami jej obecności były poplamione prześcieradło i przepełnione popielniczki.

Pozostałem w pokoju prawie przez pół godziny, usiłując jakoś to pozbiierać.

Skradziony samochód. Pamiętna noc. Dziwna opowieść o miejscu, gdzie wszyscy umierają. Zmarłe albo uzależnione od heroiny dziecko.

Aha, jeszcze dwa ślady. W koszu na śmieci w łazience znalazłem inhalator i puste pudełeczko po miętówkach, odświeżających oddech. Powąchałem inhalator i natychmiast tego pożałowałem. Co w nim było, że śmierdział tak strasznie?

Zalicz to jako nowe doświadczenie życiowe, powiedziałem sobie, ale nie mogłem się uspokoić. Doświadczenie powinno czegoś uczyć, a ja zostałem z samymi pytaniami.

Postanowiłem nie mówić nic policji na jej temat, w każdym razie dopóki sam z nią nie porozmawiam. Może potrzebowała pomocy. Nie sądziłem, że stanowi zagrożenie.

Musiałem zamówić taksówkę na lotnisko. Poszedłem prosto do biura United i odszukałem Sarę Hacker.

Wyglądała, jakby spała tyle co ja. Może jest jakaś gorsza praca niż szefa do spraw personalnych i kontaktów z mediami w linii lotniczej, która właśnie straciła samolot, ale ja o takiej nie słyszałem.

– Cześć, Sara – powiedziałem. – Chciałbym znaleźć Louise Ball, jeżeli to nie jest wielki kłopot.

– Żaden kłopot. Co ona robi i w jakim mieście?

– Pracuje tutaj. W każdym razie pracowała wczoraj. Personel naziemny.

Sara sięgnęła po książkę potrząsając głową.

– Musiałaby zostać zatrudniona wczoraj po piątej. Ja znam wszystkich swoich pracowników, Bill. Może jakieś jednorazowe zastępstwo. Poszukam.

Poszukała i nie znalazła. Wrzuciła jej nazwisko do komputera i potwierdziła, że w United nie pracuje żadna Louise Ball.

Czas było zadzwonić do FBI. Nieszkodliwa wariatka z obsesją na punkcie

zmarłej córce to jedna sprawa, a nie upoważniona osoba kręcąca się przy śledztwie i udająca kogoś – to zupełnie co innego.

Wszedłem nawet do budki telefonicznej i wcisnąłem kilka pierwszych cyfr z numeru, jaki dostałem od Freddie'ego Powersa... a potem odłożyłem słuchawkę. Louise powiedziała, że wróci wieczorem. Zaczekam i dam jej szansę wytłumaczenia wszystkiego.

Przypomniałem sobie, że muszę coś z Powersem omówić, podniosłem więc znowu słuchawkę. Znalazłem go w tymczasowej kostnicy.

– Co z tymi zegarkami? – spytałem. – Znalazłeś coś nowego?

– Owszem – powiedział. – Pamiętasz te elektroniczne, które chodziły do tyłu?

Teraz wszystkie chodzą normalnie.

– Czy mówiłeś komuś o tym?

– Tak.

– I co?

– Powiedział, że to niemożliwe.

Jasne, kto by w coś takiego uwierzył.

– Ile osób je widziało, kiedy chodziły do tyłu?

Chwilę milczał.

– Ty i ja, Stanley i doktor Brindle. Może jeszcze jacyś ludzie, którzy pomagali mu zdejmować zegarki nieboszczykom, ale nie sądzę.

– Czy zrobiłeś jakieś filmy wideo?

– Nie. Mamy tylko zeznanie nas trzech.

– Dlaczego trzech?

Znów chwila milczenia.

– Nie jestem pewien, czy Brindle zechce zeznawać.

– No to może zaczekajmy z tym. Pozostają zegarki, które śpieszyły się o czterdzieści pięć minut.

– Fakt.

– Co do elektronicznych... widzieliśmy to tylko ty, ja i Tom. – Dłuższa chwila ciszy. Pewnie zastanawiał się nad stanowiskiem, nad tym, jak taka historia może się odbić na jego karierze i na jego przyszłym awansie w Komisji, która zawsze lubiła wyjaśnienie sprawy.

– Widziałem – rzekł powoli – co nie znaczy, że uważam za istotne.

– Rozumiem. Popracuj nad tym trochę, dobrze? A ja zdecyduję, czy to jest ważne.

– W porządku, Bill.

Jedna anomalia załatwiona.

Dzień minął normalnie, tyle że cały czas oglądałem się za ramię, spodziewając się, że nagle wyskoczy skądś Louise.

Nie wyskoczyła.

Zaczęliśmy od Normana Tysona z firmy, która produkowała komputery do kontroli ruchu lotniczego.

Stał na stanowisku, że sprzętu nie można winić, bo pracował przy obciążeniach, których jego konstrukcja nie przewidywała. Przekazałem to Tomowi, mając nadzieję, że znajdzie jego słaby punkt. Wiedzieli, że można się do nich przyczepić, ale wiedzieli też, że prawdziwą przyczyną tej katastrofy może być użytkowanie przez Federalny Zarząd Lotnictwa przestarzałego sprzętu.

Federalny Zarząd Lotnictwa zaś przerzuci piłeczkę Kongresowi, który nie przydzielił pieniędzy. Wina będzie już wtedy wystarczająco podzielona, ale jeżeli ktoś chciałby iść dalej, mógłby obciążyć elektorat, który wybrał taki Kongres.

Wiedziałem, że Komisja ma czyste sumienie. W każdym razie na papierze. Mieliśmy na swoje usprawiedliwienie tony raportów i zaleceń. Ostrzegaliśmy o przestarzałych komputerach. Mówiliśmy, że powinny zostać zastąpione nowymi.

Tylko czy mówiliśmy wystarczająco twardo?

Kto wie. Były to czasy oszczędności budżetowych. Jak się zastanowić, nie pamiętam czasów, kiedy ludzie nie domagali się cięć w wydatkach państwowych i każdy, komu coś obcięto, uważał, że jest to najgorszy przypadek błędnego myślenia w Waszyngtonie. A my nigdy nie obiecywaliśmy, że komputery będą tanie: chodziło o sumę pół miliarda dolarów.

Wszystko ma swoje dobre strony, mówiłem sobie. Założę się, że teraz kupią nowe komputery.

Zaraz po lunchu zatelefonował do mnie doktor Harlan Prentice, który kierował zespołem przeprowadzającym sekcje zwłok. Chciał, żebym przyjechał, ale właśnie byłem po jedzeniu i wcale mi się to nie uśmiechało.

– Chodzi o treść żołądków – powiedział. – Chyba się pan domyśla, że procent identyfikacji w tej katastrofie będzie niewielki.

– Byłem w kostnicy, doktorze. Widziałem te worki.

– Tak. Otóż z Boeinga przebadaliśmy siedemdziesiąt trzy fragmenty ciał zawierające żołądki. Mam przed sobą menu z tego lotu, które obejmuje kurczaka *crepes*, wołowinę *a la bercy* i danie dietetyczne w klasie turystycznej. Nie widziałem menu pierwszej klasy.

Poczułem w ustach smak zjedzonego przed chwilą steku. Jestem dość odporny, ale lekarze są nieźnośni.

– Jakie to ma znaczenie, doktorze?

– Wszyscy jedli kurczaka.

To mnie na chwilę zastopowało.

– Raczej niemożliwe, prawda? – Doktor nadal czekał na mój komentarz.

Nagle poczułem złość. Nie na niego. Tylko dlaczego ta sprawa nie mogła się toczyć w normalny, przyzwoity sposób?

– Nie niemożliwe – poprawiłem. – Bardzo mało prawdopodobne.

– To narusza prawa statystyczne. Mam jeszcze do przebadania około setki żołądków...

– ...i następny może zawierać wołowinę.

– Albo danie dietetyczne – podpowiedział usłużnie.

Wtedy przyszło mi do głowy rozwiązanie.

– Ktoś musiał coś pokręcić w Nowym Jorku. Załadowali same posiłki z kurczakiem. Stwierdzono to już po starcie. Dlatego wszyscy, którzy byli głodni, dostali kurczaka, a po wylądowaniu Pan Am zostałby zasypany skargami.

– A co z pierwszą klasą?

Do diabła z pierwszą klasą!

– Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że zawsze jest jakieś logiczne wyjaśnienie. – Znów przełknąłem, zastanawiając się, co właściwie wiem. – Każę komuś sprawdzić u dostawców Pan Am w Nowym Jorku. Oni to wyjaśnią.

Odłożyłem słuchawkę.

Potem stałem tam, myśląc o tym wszystkim, wiedząc, że będę potrzebował tabletki Alka-Seltzer na deser. Wyglądało na to, że mam tendencję do upychania problemów pod szafę i udawania, że ich nie ma. Rzecz w tym, że były to takie niesamowite problemy.

Siedemdziesiąt trzy żołądki pełne lotniczego kurczaka. Zegarki śpieszące się o czterdzieści pięć minut. Zegarki, które chodziły do tyłu, kiedy na nie patrzyłem, i ruszyły do przodu, kiedy się odwróciłem. Piękna oszustka przebrana za pracownicę linii lotniczej.

I ten krzyk na taśmie: „Oni są wszyscy martwi! Martwi i spaleni!”.

Mniej więcej w tym czasie przyleciał Gordy Petcher. Poleciałem szefom zespołów, żeby go wprowadzili w sytuację. Teraz nie był mi potrzebny. Skurczybyk nie mógł przylecieć, kiedy my taplaliśmy się w błocie i krwi, a teraz będzie prezentował wyniki jako swoje. Dobrze chociaż, że zajmie się konferencjami prasowymi.

Po cowieczornym zebraniu odbyliśmy kolejną konferencję, nieco bardziej rzeczową.

Gordy chciał dać mediom coś konkretnego, Tom i Eli przedstawili więc, czego jesteśmy mniej więcej pewni (nie było tego dużo), ostrzegając Gordy'ego, żeby poprzedzał wszystko frazesami w rodzaju: „Są powody, żeby przypuszczać...” albo „Rozpatrujemy teraz możliwość...”, albo „Wiele wskazuje...”.

Trzeba przyznać, że był w tym dobry. Dużo lepszy niż ja. Umiał obwarować swoje stwierdzenia i unikać oskarżeń o oszczerstwo. Niepokoiliła mnie jedynie jego skłonność do zdań nadających się na tytuł, ale tym razem się hamował. Dziennikarze wydawali się zadowoleni z tego, co dostali, i stopniowo sala zaczęła się opróżniać.

Po chwili zostałem sam w dużej sali konferencyjnej. To zadziwiające, jak pusto

może taka sala wyglądać.

Właściwie nie powiedziała, gdzie mamy się spotkać.

Hotel, pomyślałem. Będzie w hotelu albo zostawi tam wiadomość.

W recepcji nie było żadnej wiadomości.

Pojechałem do swojego pokoju. Sprzątaczką pozbierała rzeczy Louise i ułożyła je w szafie. Dobrze, że zostały te ubrania. Bez nich zacząłbym się zastanawiać, czy ona w ogóle istniała.

Tej nocy spałem godzinę, poprzedniej – około czterech godzin oraz dwie godziny w samolocie, w drodze do Kalifornii. Byłem absolutnie trzeźwy i zupełnie nie chciało mi się spać. Pochodziłem trochę po pokoju, potem zjechałem do baru, ale to mnie tylko przygnębiło.

Wsiadłem więc do samochodu i wróciłem na lotnisko, gdzie podjechałem do wielkich drzwi hangaru, zawierającego szczątki dwóch odrzutowców.

Z boku mieściły się małe drzwiczki dla ludzi, z oszklonym i odrutowanym okienkiem.

Zapukałem, po czym przycisnąłem twarz do okienka i zajrzałem do środka.

– Hola, co pan tu robi?

Okazało się, że wartownik był na zewnątrz i zaszedł mnie od tyłu. Odwróciłem się powoli, nie chcąc go zdenerwować. Był to prawdopodobnie emerytowany policjant. Na ramieniu miał nazwę jakiejś agencji ochrony, a na biodrze trzydziestkę osemkę.

Pokazałem mu swoją legitymację. Spojrzał na nią, potem na moją twarz.

– Widziałem pana wczoraj w telewizji – powiedział.

– Dlaczego pan tu stoi?

Wzruszył ramionami.

– Firma płaci mi za pilnowanie tego hangaru. Zazwyczaj trzymają tu prawdziwe samoloty i nie chcą, żeby ktoś się przy nich kręcił. Dziwne, ale dziś w nocy jest ze mną drugi wartownik, stoi przy drzwiach po tamtej stronie. Licho wie po co.

– Dlaczego to pana dziwi?

Zajrzał przez szybkę do środka.

– Nie bardzo jest tam co kraść.

– Chyba rzeczywiście.

– Okropna sprawa, prawda?

– Tak, okropna. Ma pan klucze? – wskazałem wielką kłódkę na drzwiach.

– Mam. Chce pan tam wejść?

– Tak. Może pan zadzwonić do swojego szefa, ale wiem, co odpowie. Pozwólcie mu robić, co chce. Dopóki nie ukończę sprawozdania, te samoloty są moją własnością.

Zmierzył mnie wzrokiem i kiwnął głową.

– Chyba ma pan rację. Chociaż nie wiem, czego tam można szukać.

Wpuścił mnie do środka i zamknął drzwi za mną. Powiedział mi, żebym zapukał, kiedy będę chciał wyjść.

Snułem się przez chwilę po hangarze, nie mając pojęcia, czego tu szukam. Pamiętałem tylko, jak się pierwszy raz spotkaliśmy. Była tutaj, czegoś szukała w tej wielkiej stodole.

Zatrzymałem się przy potężnym wale turboodrzutowego silnika General Electric.

Wszystkie łopatki zostały urwane, ale pożar nie poczynił tu żadnych szkód. W porównaniu z temperaturami, w jakich ten silnik pracował, upadek i pożar były niczym.

Podszedłem do miejsca, gdzie leżały worki z drobnymi szczątkami. Ona je przetrząsała, teraz było to dla mnie jasne. Zawołałem ją, spojrzała na mnie i uciekła.

Worki znikły. Teraz stały tu rzędy rozkładanych stołów z kawałkami poskręcane metalu. Przeszedłem wzdłuż nieskończone długich rzędów, czasami coś rozpoznając, na ogół jednak nie mając pojęcia, na co patrzę. W samolocie jest dużo metalu.

Dalej znajdowały się stoły z pozostałościami bagażu. Kawałki walizek nie większe od dłoni. Stosy poszarpanego i nadpalonego ubrania. Zgniecione aparaty fotograficzne, połamane narty, bryły plastyku, które były kalkulatorami. Nawet cały flakonik perfum.

Moją uwagę zwrócił czerwony błysk. Coś przeświecało słabo spod stosu. Sięgnąłem tam i nieokreślony przedmiot z trzaskiem spadł na podłogę.

Pierwsze wrażenie: zabawka. Pistolet na promienie śmierci. Był zrobiony z plastyku, teraz nadtopionego, poczerniałego, popękanego. Czerwone światło sączyło się przez szczelinę. Wyglądało mi to na wiązkę laserową. Nigdy nie słyszałem o dziecięcych zabawkach wykorzystujących laser.

Miałem w kieszeni szwajcarski scyzoryk. Otworzyłem najdłuższe ostrze, wsunąłem je w szczelinę. Nacisnąłem i plastikowa obudowa puściła. Przyjrzałem się uważnie wnętrzościom pistoletu. Nie miałem pojęcia, co to jest, ale na pewno nie było zabawką.

W porządku. Nareszcie miałem coś konkretnego. Zrobiło mi się niewymownie smutno, że to znalazłem, ale fakt był faktem. Miałem do czynienia z jakimś rodzajem broni.

Pochodziła z miejsca, którym Louise tak się interesowała wczoraj rano. Musiałem przyjąć, że ona wiedziała o jej istnieniu i że jej szukała. Należało wezwać agenta specjalnego Powersa.

Broń nie mieściła się w moich kompetencjach.

W odległości jakichś dwudziestu stóp ode mnie wisiał na ścianie telefon. Miałem najszczerzy zamiar, żeby zadzwonić, ale czerwone światło mnie

zafascynowało. Dochodziło spod czegoś, co mogło być płytką z obwodami scalonymi. Zacząłem podważać ją nożem.

Chciałem zobaczyć, co jest źródłem tego światła.

Leżałem na wznak na podłodze, nie mogłem się ruszyć. Było mi bardzo zimno, bolał mnie tył głowy.

Błysnęło światło i rozległ się dziwny dźwięk, początkowo niski, potem wznoszący się poza granice słyszalności, który wstrząsnął całym budynkiem. Nagle straciłem czucie w całym ciele.

Przez chwilę leżałem nieprzytomny, ale nie byłem pewien, czy działała to broń.

Chyba padając uderzyłem głową o kant stołu, a potem o podłogę.

Oczy też mnie bolały. Nie mogłem nimi poruszać ani nawet mrugnąć. Czułem, jak mi wysychają.

Przez chwilę myślałem, że umarłem, że tak wygląda śmierć. Potem odkryłem, że oddycham. Czułem pod sobą zimną betonową podłogę, zimne powietrze nad sobą i ruch swojej klatki piersiowej. Widziałem kratownicę stalowych belek podtrzymujących dach i kilka przyćmionych świateł. To był mój cały wszechświat.

Złamanie kręgosłupa, pomyślałem. Pełen paraliż. Kateter, sztuczne płuca, torebka na odchody i żadnego życia seksualnego...

Ale nie wszystko pasowało do złamania kręgosłupa. Miałem czucie w nogach, jedna mi się podwinęła i na pewno zdrętwieje. Wiedziałem, że kiedy się ruszę, jeżeli w ogóle kiedyś się jeszcze ruszę, ból będzie potworny.

Nie pamiętam zbyt dobrze paru następnych minut. Bałem się, nie wstyd mi przyznać.

Stało się coś, czego nie rozumiałem. Mogłem jedynie leżeć. Nie mogłem nawet odwrócić oczu od sufitu.

Nagle stwierdziłem, że mogę coś jeszcze. Słyszałem.

Nic głośniego, ale był to jedyny odgłos w hangarze. Uznałem, że dwie osoby usiłują poruszać się po cichu. Nigdy bym ich nie usłyszał, gdybym nie słuchał w takim skupieniu.

Po pewnym czasie uznałem, że są to trzy osoby. Później byłem już pewien, że cztery.

Zadziwiające, jak dużo można usłyszeć, kiedy nie można robić nic innego.

Czekałem. Wkrótce któreś z nich natknie się na mnie i wtedy zdecydują, co ze mną począć.

Jeden z nich podszedł. Zobaczyłem go wznoszącego się w moim polu widzenia.

Patrzył na mnie z góry. Odwrócił się i cicho gwizdnął. Słyszałem, jak schodzą się pozostali.

Zgromadzili się wokół mnie tworząc krąg. Byli ubrani jak pletwonurkowie w

czarne gumowe kombinezony okrywające wszystko prócz twarzy.

– Kto to jest? – spytał jeden z nich.

– A jak myślisz?

Znałem ten głos.

Cóż, zapowiedziała, że spotkamy się dziś wieczorem.

Zastanawiali się, czy żyję. Potem oddalili się tak, że nie mogłem rozróżnić słów, chociaż wiedziałem, że mówią o mnie. Miałem wrażenie, że część słów nie była angielska.

Potem znów podeszli bliżej i przyglądali mi się z góry. Tym razem doszły do mnie oderwane słowa.

– ...spowodował gdzieś zwarcie.

– ...nastawiona na obezwładnianie.

– ...patrzylibyśmy teraz na nieboszczyka.

– Co on tu, do cholery, robi? – To był głos Louise.

– Bierzemy paralizator?

– Brama pojawi się za dwadzieścia minut. Wynośmy się stąd w diabły.

– On się strasznie poci.

To jedno mnie nie dziwiło. Jednak nie oczekiwałem, że będę się tak pocić długo.

Wiedziałem, że jestem trupem. Natknąłem się na coś, czego nie wolno mi było zobaczyć, jakąś broń paralizującą. Nie mogąc poruszać oczami, nie widziałem ich dobrze, ale zauważyłem nieokreślone przedmioty zwisające z ich pasów i wszystko razem krzyczało, że to komandosi. Nie przyszli tutaj bawić się w chowanego.

Niewątpliwie mnie zabiją.

Jednego tylko nie rozumiałem, przynajmniej w sensie taktycznym. Dlaczego Louise tyle razy mi się pokazała? Czyżby próbowała mnie w jakiś sposób pozyskać?

Pamiętałem, jak nalegała, żebym nie szedł dziś do pracy. W porządku, starała się utrzymać mnie z dala od miejsca, w którym mieli dokonywać poszukiwań... tyle że ja jeszcze godzinę temu nie wiedziałem, że się tu znajduję. Normalnie nie kręciłbym się tutaj o tej porze.

Coś im nie wypaliło i nie miałem pojęcia co, ale byłem pewien, że najłatwiejszym rozwiązaniem ich problemu jest moja śmierć.

Nie mogłem wprost uwierzyć, kiedy usłyszałem, że odchodzą.

Potem Louise wróciła. Wyrosła nade mną tak niespodziewanie, że gdybym mógł się ruszać, podskoczyłbym na metr. Czułem, jak wali mi serce, a krople potu ściekają po twarzy.

– Smith – powiedziała. – Nie znasz mnie. Nie mogę ci powiedzieć, kim jestem. Nic ci nie będzie, jesteś tylko chwilowo obezwładniony.

17.

KIEDY WYBRALIŚMY SIĘ OBEJRZEĆ KONIEC ŚWIATA

Relacja Louise Baltimore

Nigdy nie widziałam takiego spokoju w sztabie akcji „Brama”, jak kiedy wyszłam z motelu od Billa.

Spokój jest, rzecz jasna, sprawą względną. Byłam tam może dziesięć sekund, kiedy oficer dyżurny Bramy ostrzegł mnie, żebym się usunęła. Rynnami w dół zjechało do sortowni około setki rzymskich legionistów z drugiej centurii.

Kiedy zniknęli, zapanowała zupełna cisza. W spokojnym dniu w sztabie było cicho jak podczas chińskiego Nowego Roku.

Lawrence siedział przy swojej konsoli i nie było w tym nic dziwnego, bo nie mógł jej opuścić. Dziwne było natomiast to, że przy setkach innych stanowisk pracy pozostało tylko pięciu czy sześciu gnomów. Było to trochę tak, jakby przyjechawszy do Nepalu człowiek stwierdził, że większość himalajskich szczytów udała się z wycieczką do Japonii.

Jednym z obecnych był zastępca Lawrence’a David Szanghaj. Wciskał kolejno przełączniki i za każdym razem gasła jedna lampka na konsoli. Na jego twarzy błędził lekki uśmiech.

– Cześć, Louise – odezwał się Lawrence. – Mam nadzieję, że ta misja nie była zbyt ciężka.

– On nie był zbyt ciężki. Co to wszystko znaczy? Gdzie są wszyscy? Myślałam, że nie będzie porwań, póki nie rozwiążemy tego paradoksu.

Wzruszył ramionami.

– To nie było planowane. Nagle pojawiła się okazja w północnej Afryce i postanowiliśmy z niej skorzystać. Stare przyzwyczajenie. Uzyskaliśmy dziewięćdziesięciu trzech legionistów w doskonałym stanie. To jest ten „zaginiony batalion”, czy jak ich tam nazywają [*istnieje też wykorzystywana w fantastyce hipoteza, że oddział ten został w całości porwany do Chin*].

Tablica Davida była teraz prawie ciemna. Kiedy doszedł do jednej czerwonej lampki, spojrzął na Lawrence’a.

– Do widzenia – powiedział i mnie też kiwnął głową, po czym zgasił ostatnie światełko.

Zamknął oczy i opadł na oparcie fotela.

– Do widzenia – odpowiedział nie patrząc na niego Lawrence. Jego słowa były i tak spóźnione. David już nie żył. Wyłączył swoje serce, umieszczone gdzieś pod fotelem.

– Czy wszyscy tam poszli? – spytałam.

– Tak. Będę ci do czegoś potrzebny?

– Pierdol się. Też mi pytanie. Gdzie Sherman?

– W twoim mieszkaniu. Prosił, by ci przypomnieć, że twoja druga kapsuła czasu będzie gotowa do otwarcia za pół godziny. Podobno po zapoznaniu się z nią będziesz wiedziała, co dalej robić.

Spojrzałam na Lawrence'a. Nie odpowiedział mi spojrzeniem, wpatrywał się w bezludne piętro operacyjne.

– Czy jesteś naprawdę gotów, żeby się wyłączyć?

– Nie ma pośpiechu. Mogę poczekać, aż zobaczysz się z Shermanem.

– Wiem, że nie mam prawa cię o to prosić, ale byłabym ci bardzo wdzięczna, gdybyś poczekał. Dopóki się nie przekonam, czy on ma jeszcze jakiś plan.

– Wiesz, gdzie mnie szukać.

Poszłam do przygotowalni, żeby coś na siebie włożyć. Leżały tam trzy moje dziewczyny, trzymające się za ręce, nieżywe.

– Zetrzyjcie te uśmiechy z twarzy – powiedziałam. – Będzie to okropnie wyglądać w waszych aktach.

Humor jakoś do nich nie dotarł. Podeszłam do swojej szafki i pogrzebałam w zawartości. Oto prawdziwa szafa czasu. Miałam tam stroje od ledwo wyprawionych skór lamparta do skafandra kosmicznego mieszczącego się w tylnej kieszeni spodni. Niestety, moja ostatnia para dżinsów została zniszczona jakiś milion lat temu, kiedy włożono je na pustaka, noszącego również moją twarz.

Co się nosi, kiedy się jedzie oglądać koniec świata?

Włożyłam suknię, którą miałam na sobie, kiedy porywaliśmy *Titanica*. To były piękne dni.

Kiedy zbliżałam się do stacji metra, z której miałam pojechać do Budynku Federalnego, usłyszałam strzały. Towarzyszyły im wybuchy śmiechu. Wyglądało na to, że jakieś pustaki urządziły sobie wesołą masakrę.

Zatrzymałam się. Śmieszna broń, jaką Wielki K pozwalał nosić pustakom, może odwalić tył czaszki, jeżeli się wsadzi lufę w usta. Nie wytrzymała porównania z moją siłą ogniową, ale nie byłam w nastroju do wyprawiania na tamten świat gromady pustaków, choćby i samobójców.

Po chwili głosy się oddaliły i weszłam na stację. Leżało tam sześć czy siedem ciał.

Jedna z kobiet się ruszała. Podeszłam i odwróciłam ją. Była trafiona kilkoma pociskami, cała zalana krwią i nieco zdziwiona.

– To boli – jęknęła.

– Możesz tak leżeć przez kilka godzin – uprzedziłam ją.

– Mam nadzieję, że nie.

Otoczyłam jej szyję ramionami. Spojrzała na mnie z uśmiechem.

– Masz ładną sukienkę – powiedziała.

Skręciłam jej kark.

Tym razem na poczcie nie było żadnego audytorium. Podeszłam do jedyne go krzesła w pokoju i usiadłam.

– O, jesteś, Louise – odezwał się Wielki K. – Widzę, że ci się udało.

– Z punktu widzenia czasu.

– Chcesz to otworzyć teraz?

– Czy już nadeszła pora?

– Prawie.

Podeszłam więc do stołu i wyjęłam ze szczątków metalowej cegły lśniący metalowy prostokąt. Znów było to moje pismo.

Tym razem nie ma żartów, Louise. Jest wyjście, nie wszystko stracone. Sherman mówi prawdę. Rób dokładnie to, co ci każe, nie słuchaj nikogo innego. Odezwę się do ciebie znów w dniu ostatnim.

W liście nie było ani słowa o konieczności pośpiechu. To dobrze, bo nie chciało mi się nigdzie śpieszyć po tym, jak zrezygnowałam z pracy w planie „Brama”. Nikomu nie powiedziałam o mojej rezygnacji, ale nie to było ważne.

Udałam się na wzgórze na skraju miasta i popatrzyłam w dół na to, co z niego zostało.

Kiedyś było to nie byle jakie miasto. Niektóre budynki – największy z nich to Fed – miały czterdzieści tysięcy lat.

Były też nowsze dodatki. Brama znajdowała się tu od tysiącleci, ale otaczające ją budynki miały dopiero sześćset lat. Przylegało do nich pole wraków. W drugim kierunku ciągnęły się na setkę mil magazyny pustaków: niskie baraki mieszczące sto milionów szuflad.

W jednej z nich leżało moje dziecko.

Po trzeciej stronie kompleksu Bramy wznosiły się rzędy tymczasowych kopuł geodetycznych (stały tu zaledwie od dwustu lat), które nazywaliśmy zagrodami. Mieściły około dwustu tysięcy pogrążonych we śnie istot ludzkich i dziewięćdziesięciu trzech bardzo zdezorientowanych rzymskich legionistów, którzy wkrótce też mieli zapaść w sen, jeżeli znajdzie się tam jeszcze ktoś do obsługi urządzeń.

Byli przechowywani w stanie hibernacji, kilka stopni powyżej temperatury zamrażania. Ich serca ledwo biły. Pływali w błękitnym roztworze fluorowęglanów i gdyby któregoś z nich umieścić obok pustaka, trudno byłoby ich odróżnić. Ale różnica była zasadnicza. Oni mieli umysły, pamięć i przeszłość.

Boże, cóż to byłby za karnawał, gdyby tak wszystkich wysadzić na dziewiczej

planecie i obudzić.

Daty ich urodzin sięgały od roku trzysięcznego przed Chrystusem do trzysięcznego po Chrystusie. Byli wśród nich żołnierze i cywile, niemowlęta i starcy, bogaci i biedni, czarni, biali, brązowi, żółci i jasnozieloni. Mieliśmy tam hitlerowców, hugenotów, Burów, Apaczów, metodystów, hinduistów, animistów i ateistów. Byli złodziejaszkowie i masowi mordercy, święci i geniusze, artyści, stręczyciele, lekarze, szamani i czarownice. Byli Żydzi z Dachau, Chińczycy z Tangszenu i Bengalowie z Bangladeszu. Górnicy ze Śląska, Armenii i Wirginii Zachodniej, astronauta z Alfy Centaura. Mieliśmy tam Ambrose'a Bierce'a i Amelię Earhart [*Ambrose Bierce zaginął w 1914 roku podczas wojny w Meksyku, Amelia Earhart zaginęła podczas próby przelotu dookoła świata w 1937 roku*].

Podczas bezsennych nocy zastanawiałam się, jakie społeczeństwo utworzą, kiedy dotrą do Nowej Ziemi.

Od zagród do kosmodromu prowadziły tory kolejowe, ledwo widoczne w oddali. A tam czekał z tuzin rzadko obecnie używanych wahadłowców Ziemia – orbita... i Statek.

Statek był prawie gotów. Jeszcze dwa, trzy lata i będziemy w domu.

Sherman czekał nie wykazując żadnych oznak zniecierpliwienia. Chociaż nie siedział w pozycji lotosu, udawało mu się przypominać Buddę. Patrzyłam na niego zastanawiając się, czy chce, żebym uderzyła w gong albo zapaliła kadzidło czy coś takiego. Jednak po powrocie ze wspaniałego dwudziestego wieku miałam paskudny atak kaszlu. Pośpieszyłam do zestawu odnowy, usiadłam ciężko i podłączyłam aparat do pępka, a Sherman zaczął swoje analizy.

– Co rozkażesz, panie? – spytałam.

– Nie traktuj mnie w ten sposób, Louise. Ja o to nie prosilem.

– Ja też nie, ale człowiek bierze, co mu dają, nieprawdaz?

– Prawdaz.

– Zatem odtąd będę cię traktować jak Oko Opatrzności. Będę zakładać, że wiesz wszystko o wszystkim. Przyjmę, że znasz moje myśli, zanim je pomyślę. I wiesz co?

– Gównu cię to obchodzi.

Wzruszyłam ramionami.

– Jasne. Zazwyczaj gdy rozmawiam z nieomylnym prorokiem, tracę najlepsze odżywki. Dla ciebie to chyba nudne. Zawsze wiesz, co się wydarzy.

– Nie nazwałbym tego nudą.

Zastanowiłam się nad tym i udało mi się roześmiać.

– Chyba rzeczywiście nie. Wiesz, że wymówiłam pracę?

– Wiem. I że złamałaś reguły bezpieczeństwa i powiedziałaś Billowi Smithowi, kim i czym naprawdę jesteś, najlepiej jak potrafiłaś, a on ci nie uwierzył.

– Dlaczego chciałaś, żebym mu obiecała, że się z nim spotkam tej nocy?

Przecież miałam o tej porze być w hangarze i nie mogłam wrócić do niego do motelu.

– Chciałem mieć pewność, że spotka się z tobą w hangarze, co, jak wiedzieliśmy, już się stało.

To mnie na dobrą chwilę zatkało. Odpowiedź była oczywista, ale nie wpadłam na nią, bo całe moje wyszkolenie kazało mi patrzeć na tę sytuację w określony sposób. Potem nagle zrozumiałam.

– Wymuszałeś paradoks.

– Zgadza się.

– Dlaczego mnie nie uprzedziłeś?

– Czy wtedy byś to zrobiła?

Nie potrafiłam odpowiedzieć. Pewnie nie.

– Rada też by nie zatwierdziła tej wyprawy, gdybym im powiedział, że celem jest doprowadzenie do twojego spotkania ze Smithem. Przecież twoje spotkanie z nim było powodem, że sytuacja paradoksalna wymknęła się z rąk.

– O co więc chodziło? Po co wracałam?

Złożył dłonie i przez chwilę milczał. Zadziwiająco przypominał człowieka.

– Wszyscy, którzy pracują przy planie „Brama”, są obciążeni określoną perspektywą – przemówił wreszcie. – Myślimy o tej chwili jako o czasie teraźniejszym. Kiedy ruszamy w dół czasu, myślimy o tym jak o wyprawie w przeszłość, z której wracamy do teraźniejszości. Ale kiedy przebywamy w przeszłości, ona jest teraźniejszością. Jest teraźniejszością dla tych, którzy w niej żyją. Dla nich my jesteśmy przybyszami z przyszłości.

– To dość oczywiste.

– Tak, ale ja mówię o punkcie widzenia. Pracując z Bramą nie uwzględniamy punktu widzenia Billa Smitha. Nie myślimy o tym, że istnieje konkretna przyszłość, która jest czyjąś teraźniejszością.

Wyprostowałam się.

– Ależ tak. Nie dalej niż godzinę temu dostałam wiadomość z przyszłości. Kazała mi darzyć cię pełnym zaufaniem.

– Wiem. Ale od kogo to był list?

– Ode mnie. Wiesz przecież. Przynajmniej...

– Od przyszłej wersji siebie. Tyle że go jeszcze nie napisałaś.

– Pierwszego też jeszcze nie napisałam. I nie jestem pewna, czy napiszę.

– Nie musisz. Spójrz. – Podał mi dwie metalowe plakietki. Wiedziałam, co to jest, i nie patrząc rzuciłam je na podłogę. – Charakter pisma nietrudno skopiować, Louise. Wielki K. sporządził te płytki bez większego wysiłku. Zostaną wysłane w przeszłość za kilka godzin.

Westchnęłam.

– Ale mi namieszałeś w głowie! Tylko nadal nie wyjaśniłeś, dlaczego jeden

paradoks ma być lepszy od drugiego.

– Jest kilka powodów. W jednym paradoksie, tym, który byśmy spowodowali, gdybyś nie wróciła i nie spędziła nocy z Billem Smithem, znikłabyś w chwili, kiedy nadszedł wyznaczony czas, a ty nie przeszłabyś przez Bramę. Bo z punktu widzenia przyszłości już przez nią przeszłaś. Była to część struktury zdarzeń, równie pewna jak to, że zgubienie paralizatora stanowiło część tej struktury.

– Rzecz w tym, że nie stanowiło. O to właśnie w tym wszystkim chodzi.

– Stanowiło. Mówię ci, że ten paradoks jest wbudowany w strukturę czasu. Zdarzenia, które przez tyle lat obserwowaliśmy, były złudzeniem i nowa rzeczywistość, która posuwa się w górę strumienia czasu, jest prawdziwą rzeczywistością. Ale nie obejmuje nas.

Poczułam, że boli mnie głowa. Teoria czasu nigdy nie była moją mocną stroną.

– Myślałam, że to wszystko spekulacje. Myślałam, że tak naprawdę nie wiemy, co się zdarzy w paradoksie.

– Tak było, ale otrzymałem nowe informacje i mam podstawy, żeby wierzyć, że są prawdziwe. – Rozłożył ręce. – Jesteśmy tu ograniczeni językiem. Nie dysponujemy użyteczną definicją rzeczywistości. Uważam, iż bliższe prawdy jest stwierdzenie, że każda seria prawdopodobnych zdarzeń tworzy swoją własną rzeczywistość. Jest ta, którą podglądaliśmy, w której Smith nie znalazł paralizatora, i wiąże się ona z tą, w której Smith nie mógł znaleźć broni, bo nie została zgubiona.

– Ale my mamy do czynienia z rzeczywistością, w której paralizator został zgubiony i Smith go znalazł. Ta rzeczywistość zaczęła przybierać nowy kształt. I my zostaniemy z niej wymazani.

– Masz rację, jak dotychczas.

– Dla mnie wystarczy. To, co mówisz, znaczy, że nie miało znaczenia, czy wrócę, czy nie. Po prostu zniknęłabym trochę wcześniej.

Zwrócił do mnie swoją coraz bardziej wyrazistą twarz i zobaczyłam w niej coś, czego nie potrafiłam określić.

– Może na dłuższą metę ma to niewielkie znaczenie – powiedział. – Ale ja osobiście wolę wszechświat, w którym jeszcze jesteś, od tego, w którym już cię nie ma.

Nie wiedziałam, co powiedzieć. Przepuściłam to zdanie przez roztrzęsiony mechanizm służący mi za mózg, a on wypuł dwie myśli.

– Dziękuję – to była pierwsza myśl. I druga: – Czy naprawdę mogłeś wybierać?

– Nie wiem. Gdyby informacja z mojej kapsuły czasu kazała mi wyeliminować ciebie ze strumienia czasu, wolałbym uważać, że bym się jej przeciwstawił. Na szczęście moim jedynym zadaniem było zrobienie tego, co zrobiłem i co jednocześnie chciałem zrobić.

– Sherman, czy my mamy wolną wolę?

– Tak.

– Możesz to twierdzić wiedząc, co się zdarzy i co ja zrobię?

– Tak. Nie próbowałbym cię przekonać, że coś musimy zrobić, gdybym nie wierzył, że mamy wolną wolę.

Przemyślałam to.

– Nie wciskaj mi kitu, Sherman. Wiesz, że już nie pracuję, a ty mówisz tak, jakby było coś jeszcze do zrobienia. Jeżeli mamy to zrobić, musisz mnie wpieryw przekonać, żebym się na powrót zgłosiła do tej pracy.

Uśmiechnął się. Przysięgam.

– Mamy wolną wolę, Louise. Tyle że podlega ona przeznaczeniu.

– Mam dość gierki słownych. Wiesz, że jestem prawie zdecydowana dołączyć do większości i wyskoczyć przez okno. Wiesz także, że jedynym sposobem, żeby mnie od tego powstrzymać, jest powiedzieć mi, co wiesz i co planujesz.

Więc mi powiedział.

Wówczas byłam już pewna, że wszechświat nie może mnie więcej zaskoczyć ani zaciekawić. Myślałam się, co zostało mi udowodnione po niespełna dziesięciu minutach.

A kiedy Sherman mówił, zestaw odnowy biologicznej, który szprycował mnie lekami i jednocześnie badał mój stan fizyczny, potwierdzał jego słowa.

Mój budynek mieszkalny, w którym nie tętniło życie nawet w najlepszych czasach, teraz sprawiał szczególnie ponure wrażenie. Wiadomość o zbliżającym się końcu świata rozeszła się wśród ludzi i niewielu tępaków miało ochotę go oglądać. Ich ciała zaścielały atrium.

Nie, zaścielały to za mocne słowo. Prawdę mówiąc, Wiek Ostatni nie potrafił nawet wyreżyserować imponującej sceny masakry. W mieście zbudowanym dla trzydziestu milionów mieszkało może trzysta tysięcy tępaków. Ich ciała leżały w gustownej odległości jedno od drugiego. Było w tym coś prawie japońskiego: długi bauhausowski korytarz i jakieś ciało z lekka na uboczu. Sztuka układania trupów.

Była tam para, która postanowiła popełnić samobójstwo w trakcie kopulacji. Uznałam to za wzruszające. Odwołanie się do podstaw w ostatniej chwili życia.

Samobójstwo zawsze było naszym narodowym sportem, teraz przybrało rozmiary epidemii. Okazało się, że Rada jest już tylko pięcioosobowa. Koniec z nadzieją na reprezentację w piłce nożnej. Można by spróbować w koszykówkę.

Bezimienny był wciąż na stanowisku. Zastanawiałam się, czy on/ona/ono zauważy, że nastąpił koniec świata. Została też Nancy Jokohama i gadająca głowa, i Marybeth Brest.

I, rzecz jasna, Peter Phoenix. Domyślałam się, że zechce pozostać do końca, żeby się upewnić, że wszystko przebiega zgodnie z planem.

Nowym członkiem był Martin Coventry. Nadal poruszał się o własnych siłach.

Domyślałam się, że Wielki K. powołał go z braku autentycznie starych kandydatów na ławce rezerwowych.

Byłam dumna z Shermana. Trzeba docenić umiejętność zorganizowania widowiska.

Znał z góry wynik, a mimo to rozegrał sytuację po mistrzowsku. Podeszedł prosto do wielkiego podkowiastego stołu i przysiadł na jego skraju. Marybeth spojrzała na niego karcąco, a on wyciągnął rękę i wzburzył jej włosy.

– Pewnie się zastanawiacie, dlaczego was zwołałem – powiedział.

Wielki K. zrobił tym razem wyjątek ze względu na stan fizyczny członków Rady.

Ściągnięcie ich na pocztę wymagałoby wielkich zabiegów logistycznych, jako że większość ich funkcji życiowych wypełniały wielotonowe urządzenia. Pięć kapsuł czasu dostarczono i otwarto w ich obecności. Obserwowałam, jak czytają swoje listy. Było w nich to samo, co w mojej ostatniej kapsule: „Róbcie, co wam każe”.

Sherman dał Radzie czas na przetrwanie tej nowiny. Potem wstał.

– Dobrze. A teraz posłuchajcie, co zrobimy.

18.

TWONK

Relacja Billa Smitha

No to wybiegłem z hangaru i zaalarmowałem FBI, CIA i wszystkie gazety. Gubernator wezwał Gwardię Narodową, a prezydent zwołał specjalną sesję Kongresu.

Wszystkie wielkie zespoły analityczne zaprzęły swoje najlepsze mózgi do pracy nad tą sprawą. Ja byłem nieustannie przesłuchiwany, bo wszyscy chcieli wiedzieć ze szczegółami, co Louise Ball powiedziała i co zrobiła za każdym razem, kiedy się z nią spotkałem.

Gdybyście w to uwierzyli, bylibyście większymi głupcami ode mnie.

Tak naprawdę to wpadłem do baru na drinka albo cztery, po czym zadzwoniłem do Toma Stanleya. Spał już, ale zgodził się mnie wysłuchać. Pojechałem do jego hotelu i opowiedziałem całą historię. Powiedziałem mu, co Louise powiedziała mnie, i byłem zaskoczony, jak innego znaczenia nabrało to po moich przeżyciach w hangarze.

Opowiedziałem mu, co mi się przydarzyło, co widziałem i słyszałem, jak doszedłem do siebie zgodnie z tym, co powiedziała mi Louise, z piekielnym bólem nogi i początkami paskudnego przeziębienia od leżenia przez dwie godziny na zimnym betonie.

– Ona mi mówiła, że nie jest stąd – opowiadałem. – Ze jest ze świata, gdzie wszyscy umierają, odległego o wiele mil albo lat. Myślałem, że to wariatka. Ale ona mnie nie znała!

Dopiero co spędziłem z nią noc, a ona powiedziała: „Smith, nie znasz mnie” i jestem pewien, że mówiła prawdę. Ona się jeszcze ze mną nie spotkała.

No i ten... paralizator. Nie miałem go w rękach długo, a potem oni go zabrali, ale nigdy czegoś podobnego nie widziałem. Sparaliżowało mnie tak, że nie mogłem ruszyć powieką, ale mogłem normalnie oddychać. Patrzyłem tylko prosto w górę. Myślałem, że to Rosjanie czy ktoś taki. Myślałem, że mnie zabiją. Ale, widzisz, oni nie mogli mnie zabić albo Louise im nie pozwoliła...

Umilkłem. Nie wiem, jak długo opowiadałem. Tom słuchał spokojnie.

– To kim ona była? – spytał wreszcie. – Skąd się wzięła?

– Nie mam pojęcia. Ale czy nie rozumiesz, że musimy się tego dowiedzieć?

Zapanowała długa cisza. Nie patrzył na mnie.

– Tom, co z tymi zegarkami? Coś się z nimi stało, że niektóre chodziły do tyłu,

a pozostałe śpieszyły się o czterdzieści pięć minut. Czterdzieści pięć minut, Tom.

Podniósł wzrok i znów spojrzał w dół.

– I ta taśma. Powiedział, że wszyscy pasażerowie są martwi i spaleni. Martwi i spaleni.

Dlaczego miałby mówić coś takiego? Tom, czy masz zamiar spytać mnie, ile wypilem?

Znów podniósł wzrok.

– Coś w tym rodzaju.

– Co mam zrobić, żebyś mi uwierzył?

Rozłożył ręce.

– Bill, chcę ci wierzyć... nie, zaczekaj. – Potrząsnął głową. – To nieprawda. Ja nie chcę ci wierzyć. A ty byś uwierzył? Przecież to zwariowana historia, Bill. Czyste szaleństwo. Ale jestem gotów ci uwierzyć, jeżeli mi coś pokażesz.

– Co?

Wzruszył ramionami.

– To zależy od ciebie. Cokolwiek. Cokolwiek konkretnego. Daj mi coś do ręki. W przeciwnym razie, choć mówię to z najwyższą niechęcią, będę musiał uznać, że dostałeś bzika na punkcie tej dziewczyny. Nie wiem dlaczego. Ale myślę, że powinieneś pójść do domu i przespać się z tą sprawą. Może coś wymyślisz.

Pod wieloma względami było to gorsze od wszystkiego, co działo się później.

Czemu Tom miałby uwierzyć mi na słowo, uwierzyć w coś tak idiotycznego? A jednak był jedynym człowiekiem, którego mogłem nazwać przyjacielem. Jeżeli nie zdołałem przekonać jego, to kto mi uwierzy?

Sytuacja wymagała podjęcia zdecydowanych kroków, kupiłem więc butelkę, wróciłem do pokoju i upiłem się.

Następnego ranka zabrałem się do sprawy metodycznie. Taśma z kabiny załogi.

– Myślę, że ta sprawa została załatwiona ku zadowoleniu wszystkich – powiedział Gordy na zebraniu tego wieczoru. – Przeprowadzona przez Carole analiza słów DeLisle'a wydaje mi się przekonująca. Obecnie sprawdzana jest jego kartoteka. Pięć lat temu miał zwolnienie lekarskie. Są podstawy, aby podejrzewać go o niezrównoważenie psychiczne. Nie wiem, dlaczego wciąż do tego wracasz, Bill. Zapędziłeś się w ślepy zaułek.

Zgodzono się, że nie opublikujemy tego fragmentu z resztą zapisu z kabiny załogi.

Zostanie włączony do oficjalnego sprawozdania, które może ukończymy za rok, a może później. Wtedy nikogo to nie będzie obchodzić.

Druga runda. Zwariowane zegarki.

– Zegarków nie było – stwierdził agent specjalny Freddie Powers przy kubku kawy w biurze FBI w Oakland.

– Co ty gadasz? Widzieliśmy je przecież. Doktor też.

– On tego nie pamiętają też. – Rozejrzał się ukradkiem, jakbyśmy grali w jakimś kiepskim filmie szpiegowskim. – Posłuchaj, Smith. Mam przyjaciela w San Mateo, który pracuje z takimi układami scalonymi jak te w zegarkach. Palił je, przepuszczał przez nie tysiąc woltów, robił wszystko, co tylko mu przyszło do głowy. Niewiele mu się udało osiągnąć, co najwyżej zegarki przestały chodzić. Myślałem, że jak coś wyjaśni, to wpiszę sprawę do raportu, ale teraz jest za późno. Mój raport jest już w kartotece, zresztą nie ma on żadnego znaczenia, a szefowie nie lubią dziwnych, nie wyjaśnionych mówien w raportach.

– Uważałem cię za faceta, który lubi trudne zadania.

– Odpieprz się, przyjacielu. Jestem gotów na bardzo wiele, jeżeli sprawa na to zasługuje. A tu mamy do czynienia z jakąś głupotą, przez którą obaj moglibyśmy wyjść na oszołomów.

– Naprawdę myślałem, że w tej sprawie można na tobie polegać. Nie sądziłem, że posuniesz się do ukrywania dowodów.

– Wysłuchaj dobrej rady, Bill. Doszło do mnie to i owo, wiesz, różne plotki. Podobno ludziom na górze nie podoba się twój pomysł złożenia tego Boeinga. Mówią, że będzie to strasznie kosztowne i nic nam nie da. Może powinieneś wziąć urlop, wyjechać gdzieś i otrzeźwieć, zanim dobiorą ci się do skóry.

Zwariowane zegarki, część druga.

Mieliśmy kupę zegarków, które śpieszyły się o czterdzieści pięć minut.

No i co z tego?

Czwarta runda i pretendent, zakrwawiony, chwiejnym krokiem wychodzi na ring.

Sto czterdzieści żołądków wypełnionych kurczakiem. Oraz pięć z wołowiną i jeden z twarożkiem.

Pewnie błąd w rejestrze, który wykazywał, że Pan Am zabrał tyle samo porcji wołowiny co kurczaka, albo anomalia statystyczna, nie związana z katastrofą.

Poddałem tę rundę na punkty, zanim się zaczęła. Ważne było, żeby utrzymać się na nogach, póki nie dostanę zastrzyku.

Moje możliwości były już wówczas niewielkie. Poleciałem na weekend do Waszyngtonu i w poniedziałek obszedłem gazety.

Nie sprzedawałem im żadnej historii, tamten pierwszy wieczór dowiedział, że to strata czasu. Wprost przeciwnie, prosiłem moich nielicznych przyjaciół w mediach, żeby zachowali dyskrecję. Chciałem dostać od nich zdjęcia i filmy z pierwszej konferencji prasowej w Oakland.

Znalazłem trzy ujęcia Louise, dwa na zdjęciach i jedno na taśmie. Żadne nie było bardzo dobre, ale dałem najlepsze do powiększenia i zaniósłem je do FBI, gdzie wciąż jeszcze miałem paru znajomych, którzy byli mi winni przysługę.

W tydzień później miałem odpowiedź. Zdjęcie nie dało nic. Odciski jej palców na szklance po whisky, którą udało mi się zabezpieczyć, nie znajdowały się w

kartotece FBI.

Przebadanie komputerów ujawniło kilkadziesiąt kobiet nazwiskiem Louise Ball, ale żadna z nich nie była tą, której szukałem.

Kto mieszka w Waszyngtonie wystarczająco długo, ma wielu znajomych. Miałem jednego w CIA i dałem mu zdjęcie. Nic mi nie obiecywał, ale w dwa tygodnie później się odezwał. Przypomniał mi, że się nie znamy i nigdy nie wyświadczył mi żadnej przysługi, ale to nie jest zbyt ważne, bo i tak nie ma mi nic do powiedzenia.

Po jakimś miesiącu stałem się w sztabie w Oakland człowiekiem nielubianym. Nawet Tom mnie unikał. Wiedziałem, że Gordy uważa mnie za źródło kłopotów, na razie nikt nie podważał mojego prawa do kierowania tym śledztwem, ale ludzie zaczęli szemrać.

Nie zyskało mi przyjaciół to, że opóźniałem wydanie ciał. W każdym przypadku przekazanie ciał rodzinom zajmuje sporo czasu, ale w tej sytuacji nie chciałem wypuszczać z rąk niczego, co wiązało się ze śledztwem. Tom w końcu mnie przekonał, żebym oddał ciała.

Zdziwienie wywołała moja decyzja rekonstrukcji Boeinga. Zrobiłbym to samo z DC-10, ale nawet w moim ówczesnym stanie wiedziałem, że nie mogę posunąć się za daleko.

Upierałem się więc przy swojej decyzji, a przepisy Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu mówią, że rekonstrukcje są czasami pożyteczne przy zderzeniach w powietrzu.

Tyle że nikt oprócz mnie nie uważał, że istnieje taka potrzeba tym razem.

Odwołano mnie do Waszyngtonu w połowie stycznia.

Obudziłem się w nieświeżej pościeli. Słońce przeświecało przez żółte rolety. Nie miałem najmniejszego pojęcia, gdzie jestem. Wstałem i stwierdziłem, że mam na sobie tylko gatki. Przykry zapach pochodził ode mnie, widocznie przez dłuższy czas się nie myłem.

Potarłem brodę i poczułem kilkudniowy zarost.

Wyrząłem przez okno i stwierdziłem, że znajduję się na pierwszym piętrze hoteliku przy ulicy Q. Naprzeciwko mieścił się znajomy salon masażu. W rynsztokach zalegał śnieg.

Pamiętałem posiedzenie w ogólnych zarysach. Przyszli wszyscy członkowie Komisji, starając się nie okazywać gniewu. Chcieli tylko, jak mówili, usłyszeć wyjaśnienie, a tego właśnie nie mogłem im dać.

Ale co, do diabła? I tak mieli mnie wyrzucić, widziałem to, dlaczego więc nie spróbować?

Mówiłem do nich przez pół godziny. Wyobrażałem sobie, że jestem policjantem występującym w roli świadka, i wyrażałem się w precyzyjny, pozbawiony emocji sposób, robiąc wszystko, żeby nie wypaść jak czubek. Nic z

tego nie wyszło, nawet sam siebie słuchałem jak czubka.

Byli wobec mnie delikatni, muszę im to przyznać. Traktowali mnie jak nieszkodliwego załamanego pijaczynę, który nie wytrzymał napięcia. Dla dopełnienia obrazu powinienem jeszcze tylko turlać w dłoni kulki od łożysk albo coś takiego.

Było to prawie tak, jakbym oglądał całą procedurę z boku.

Uczucie to towarzyszyło mi, kiedy udałem się do baru. Beznamiętnie obserwowałem siebie wychylającego kilka pierwszych, po czym wreszcie wróciłem do swojego ciała, żeby stwierdzić, że pocę się i mam dreszcze. Mimo to byłem zadowolony, że wróciłem. Przez chwilę sądziłem, że naprawdę zwariowałem. Byłem zdolny do wszystkiego.

W rzeczywistości, jak się domyślałem, piłem przez dwa albo trzy dni i wylądowałem w podłym hoteliku na ulicy Q. Jak pies wracający do swoich rzygowin, wiedziałem, gdzie przyjść.

Spodnie wisały na krześle. Wyjąłem portfel. Były w nim dwie dwudziestki.

Ktoś zapukał do drzwi. Wciągnąłem spodnie i otworzyłem.

Stała tam dziewczyna z salonu. Byłem z nią parę razy. Poszukałem w pamięci jej imienia i znalazłem.

– Cześć, Gloria. Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

– Przyprowadziłam cię tutaj wieczorem. Uznałam, że nie dotrzesz do domu.

– Chyba miałaś rację.

Przysiadła na łóżku, podczas gdy ja wkładałem koszulę. Gloria była wysoką chudą Mulatką, miała zmęczone oczy i tlenione włosy. Ubrana była w czarny kostium gimnastyczny i rajstopy. Zastanawiałem się, czy tak przebiegła przez ulicę.

– Ile jestem ci winien za pokój?

– Wzięłam pieniądze z twojej kieszeni. Dziewczyny mówiły, że mam wziąć wszystko, ale ja nie jestem taka.

– To bardzo ładnie z twojej strony – powiedziałem i naprawdę tak myślałem. Nie mogłem sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz ktoś coś dla mnie zrobił bezinteresownie. – Wyjdiesz za mnie, Glorio? – spytałem.

Uciszyła mnie gestem i roześmiała się głośno.

– Mówiłam ci już, że jestem mężatką.

Zawiązałem buty, wyjąłem portfel i wcisnąłem jej dwudziestkę w rękę. Nie robiła ceregieli, kiwnęła tylko głową.

– Pragniesz się zabawić? Wczoraj wieczorem nie byłeś w formie.

– Chcesz powiedzieć, że mi nie stanął? Nie, spaszuję. Może zobaczymy się później.

– Wczoraj wieczorem mówiłeś, że straciłeś pracę.

– To prawda.

– Dużo piłeś. Czy to dlatego?

– Nie, Glorio. Piję, bo ścigają mnie duchy z czwartego wymiaru.

Roześmiała się i klapnęła się po kolanie.

– To jest jakiś powód – powiedziała.

Nie pamiętałem, gdzie zostawiłem samochód. Niewątpliwie policja da mi znać za kilka dni. Pojechałem taksówką do Kensington. W domu było bardzo zimno. Nastawiłem piec na cały regulator, wziąłem długą gorącą kąpiel w wannie, ogoliłem się, zjadłem talerz płatków i kiedy byłem gotów do snu, zrobiło się ciepło i przyjemnie.

Usiadłem na skraju łóżka, zadając sobie pytanie, co dalej. Wątpiłem, czy dostanę jakąkolwiek pracę związaną z lotnictwem, a tylko na tym się znałem. Umierać mi się jeszcze nie chciało. Zapicie się na śmierć nie wydawało mi się dobrym pomysłem, może rano zmienię zdanie.

Zadzwoił telefon.

– Czy to Bill Smith z Krajowej Komisji Bezpieczeństwa Transportu?

– Już nie – odpowiedziałem.

– Tak słyszałem. Rozmawiałem z paroma pańskimi współpracownikami. Próbują to utrzymać w tajemnicy, ale słyszałem, że ma pan bombową historię. Coś na temat UFO, które spowodowały zderzenie samolotów w Kalifornii w zeszłym miesiącu. Gdybyśmy mogli spotkać się jutro, gwarantuję, że wysłucham pana z życzliwością, jakiej nie doczeka się pan od „New York Timesa”.

– Pan jest dziennikarzem?

– Nie przedstawiłem się? Jestem Irving Green z tygodnika „National Enquirer”.

Proszę tylko o pół godziny. Ja wszystko napiszę, może się pan nie przejmować. Jeżeli pana historia jest coś warta, istnieje szansa na książkę, a potem kto wie? Mamy teraz modę na takie filmy.

Odłożyłem słuchawkę. Nie byłem nawet zły, ale nie widziałem sensu ogłaszania mojej historii świata obok najnowszego lekarstwa na raka oraz romansów Jackie, Burta i aniołków Charlie’ego.

Jednak telefon o czymś mi przypomniał. Musiałem przez chwilę szukać adresu, ale go znalazłem. Zatelefonowałem do American Airlines, gdyż była to pierwsza linia w książce telefonicznej, która latała w potrzebnym mi kierunku.

W pięć godzin później leciałem nocnym rejssem do Los Angeles.

Wynająłem samochód i wyruszyłem do Santa Barbara. Nie sprawdzałem telefonicznie, czy gospodarz jest w domu, bo nie chciałem przyznać się sam przed sobą, co robię i jak niewielkiej szansy się chwytam.

Arnold Mayer miał niecodzienny dom. Wiedziałem, gdzie go szukać, bo w kilka dni po konferencji prasowej przysłał mi wizytówkę z telefonem i adresem. Było to w czasie, kiedy jeszcze myślałem, że uda mi się przedstawić coś, czego ludzie będą chcieli wysłuchać.

Teraz został mi tylko on. Interesowało go, czy natrafiłem na coś niezwykłego, i byłem teraz gotów zająć mu trochę czasu.

Przejechałem parokrotnie przed jego domem, zanim się odważyłem zatrzymać. Dom stał za miastem na zarośniętym kilkuakrowym placu. Miał wysoką antenę, która wyglądała mi na wyposażenie krótkofalówki, był tam też rząd baterii słonecznych oraz wielka i droga czasza do odbioru satelitarnego, wycelowana w poranne niebo.

Wyraźnie nie przejmował się tym, co powiedzą sąsiedzi, zresztą nie musiał. Ostatnie zabudowania, jakie widziałem, znajdowały się w odległości około mili. Mayer przed domem miał istny śmietnik. Były tam porzucane różne dziwne rzeczy – kadłub starego myśliwca F-86 z leżącym obok zardzewiałym silnikiem, jakieś wraki samochodów, stare telewizory i wielkie stosy różnego sprzętu elektronicznego, od antycznych UNIVAC-ów do wnętrzości dość nowego magnetowidu.

Brzmi to, jakbym opisywał podwórko biednego wieśniaka z Georgii, i tak faktycznie wyglądało, tyle że zwalono tu złom wysokiej technologii. A pośrodku wznosił się solidny piętrowy dom z czerwonej cegły, z dachem najeżonym antenami.

Chodnik był spękany i z drzwi frontowych dawno odpadł lakier, ale w zasadzie wszystko wyglądało solidnie. Uznałem, że Mayerowi po prostu nie zależy na robieniu wrażenia.

Wziąłem głęboki oddech i nacisnąłem guzik dzwonka. Gdzieś w głębi domu odezwała się idiotyczna pięciotonowa melodyjka z *Bliskich spotkań*. Miałem nadzieję, że to żart.

Ubrany był w żółtą koszulę z małym aligatorkiem i zachłapanę farbą robocze spodnie.

Zdziwiłem się, że jest aż tak wysoki. Tamtego wieczoru patrzyłem na niego z podium i wydawał się niższy. Prawie cały czubek głowy miał łysy i lśniący, a te resztki włosów, jakie mu pozostały, były całkiem siwe. W niczym nie przypominał Einsteina, ale i tak o nim pomyślałem.

– Bill Smith – powiedział z miłym uśmiechem. Położył mi lekko dłoń na ramieniu i stanął bokiem, kierując mnie do środka z familiarnością, która mnie nie zachwycała.

Zamknął drzwi i zwrócił się do mnie. – Spodziewałem się pana.

– To ciekawe, bo jeszcze kilka godzin temu nie wiedziałem, że tu przyjadę.

– A dokąd jeszcze mógłby się pan udać? Słyszałem, co się panu przydarzyło.

Współczuję, ale nie mogę powiedzieć, że jestem zdziwiony.

– Co pan wie?

– Bardzo niewiele. Tyle że zachowywał się pan dziwnie. Informatorzy przekazywali mi fascynujące wieści, w istocie głównie plotki. Miałem nadzieję, że

zechce pan coś przedyskutować ze mną. I oto pan jest.

– Nie jestem pewien, po co tu przyjechałem.

Skinął głową.

– Może zaczeka pan przez chwilę w moim gabinecie i przemyśli to sobie. Ja mam w innym pokoju rozpoczętą pracę, którą muszę dokończyć.

Chciałem zaprotestować, ale już wyszedł.

Jego „gabinet” był niesamowity. Podobał mi się.

Jedna ściana stanowiła właściwie wielkie okno. Wychodziło na dolinę, w oddali przebiegała autostrada. Nieco bliżej rozciągał się jakiś sad, a jeszcze bliżej duży zadbany ogród warzywny, zupełne przeciwieństwo tego, co działo się przed domem.

Ściany zajmowały półki zapchane książkami. Na półkach mieściły się też taśmy komputerowe, dyskietki, płytki, nie oprawione maszynopisy i czasopisma. Były i meble, ale żeby usiąść na którymś z krzesel lub foteli, musiałbym usunąć z niego stos papierów. Stało tu wspiane, stare drewniane biurko, na nim komputer najnowszej generacji, a dalej zbudowany z laboratoryjnych podzespołów system stereo. Głośniki, sądząc z rozmiarów, mogły rozsadzić każdą salę koncertową.

Mayer miał prawdziwe panoptikum. Były tu wypchane ptaki w szklanych słojach, mosiężne astrolabium, globus, na widok którego każdy kolekcjoner pozieleniałby z zazdrości.

Zobaczyłem wypatroszony chromatograf gazowy, przy którym porzucono narzędzia, fonograf Edisona na cylindry, trzy Selectriksy IBM pokryte kurzem w kącie, olbrzymią kserokopiarkę, częściowo wsuniętą przez drzwi do następnego pokoju, i kryształową kulę, która nie przeszłaby przez obręcz do gry w koszykówkę. Tu i ówdzie na stołach wały się różne szkła laboratoryjne.

Jedynie nad kominkiem pozostawiono wolny kawałek ściany, wolny w tym sensie, że nie zajmowały go półki z książkami, natomiast obwieszony był zdjęciami i dyplomami. Na gzymsie kominka stało kilka pucharów.

Wpatrywałem się w jeden z dyplomów przez dłuższą chwilę, zanim zorientowałem się, że to Nagroda Nobla. Sądziłem, że przyznają tam medale, ale może medal trzymał Mayer gdzie indziej. Tu wisiał ozdobny pergamin za fizykę z datą z lat sześćdziesiątych.

Pomyślałem, że powinienem kojarzyć jego nazwisko, ale przyznają te nagrody czterem czy pięciu uczonym rocznie i zwykle ani się nie zna ich nazwisk, ani się nie wie, za co zostali nagrodzeni. Mimo to byłem pod wrażeniem.

Wisiało tam też zdjęcie Mayera z prezydentem Eisenhowerem, podpisane: „Pozdrowienia, Ike”. Było zdjęcie grupowe: Mayer, Linus Pauling, Oppenheimer i Edward Teller. Była fotografia znacznie młodszego Mayera ściskającego dłoń samego mistrza teorii względności, Alberta Einsteina. Bez autografu. Miałem rację, Mayer nie był do niego ani trochę podobny.

– Tak, tak – odezwał się za moimi plecami – jestem jak szczur, który wszystko gromadzi. Kiedyś wyrzucałem niepotrzebne rzeczy, ale po kilku latach ich szukałem i nie mogłem znaleźć.

Wszedł do gabinetu wycierając ręce ścierką. Wyglądał na zaaferowanego.

Zastanawiałem się dlaczego, póki nie zgarnął talerza z nadjedzoną kanapką i kieliszka od wina z czerwonym piętnem na dnie. Krzątał się po gabinecie nie naruszając w niczym bałaganu, ale sprawiając wrażenie, że chce posprzątać.

– Raz w tygodniu przychodzi tu sprzątaczką – tłumaczył się. – Pilnuje, bym nie utonął w brudach i żeby się tu nie zagnieździł tyfus. – Zwinął brudną koszulę i jedną czerwoną skarpetkę.

– Doktorze Mayer, ja nie...

– Może się pan zastanawiać, skąd ona wie, co jest potrzebne, a co nie – powiedział już w drzwiach. Słyszałem, jak rzuca gdzieś brudne rzeczy. – Nie jest to łatwe zadanie, ale wyszkoliłem ją całkiem nieźle. Nie narusza ważnych eksperymentów w toku. Ogranicza się do resztek jedzenia i porozlewanej kawy. – Wrócił tocząc bezradnie wzrokiem po gabinecie.

– Doktorze Mayer, dla mnie to nie ma znaczenia. Widywałem już laboratoria zapracowanych ludzi.

– Może pan mi nie wierzyć, ale wiem, gdzie wszystko jest.

– Byłem tego pewien.

Przyjrzał mi się uważnie po raz pierwszy, odkąd wrócił, i jakby trochę mu ulżyło. Bóg mi świadkiem, nie spodziewałem się, że to ja będę go musiał uspokajać.

– Przejdźmy na ty – zaproponował. – Nie lubię tego doktorowania.

W końcu usadził mnie w czerwonym skórzanym fotelu twarzą do biurka, ze szklanką Glenlivet na stoliku koło mnie. Pociągnąłem odrobinę whisky. Uważałem, że muszę zachować trzeźwość.

– Jeździsz pierwszą klasą – powiedziałem wskazując butelkę.

Wzruszył ramionami.

– Parę dochodowych patentów. Inwestycje. Zapewniają dość pieniędzy, żeby stary głupiec mógł poświęcić się swoim szalonym teoriom.

– Zajmujesz się fizyką teoretyczną czy stosowaną?

Roześmiał się, spojrział na mnie spod oka i usiadł w drugim fotelu. Wyczuwałem, że stara się wprowadzić mnie w lepszy humor. Wiedział, że przyszedłem, żeby mu coś powiedzieć, ale nie potrafię zacząć.

– Teraz trochę tego i trochę tego. Zawsze lubiłem majsterkować, ale nazwisko wyrobiłem sobie w fizyce teoretycznej, w matematyce. Dzisiaj fizyk to według mnie bardziej inżynier niż uczoney. Nigdy nie bałem się brudnej roboty, ale znudziła mi się praca nad nowymi rodzajami broni. Nie ciekawi mnie konstruowanie potężniejszego lasera albo mniejszej bomby jądrowej. Gdybyś nie

tkwił już po uszy w kłopotach, czułbym się zobowiązany do ostrzeżenia przed kontaktami ze mną. Stanowię straszne zagrożenie dla bezpieczeństwa kraju. Samo pokazanie się w moim towarzystwie wystarcza, żeby wylecieć prawie z każdej posady rządowej.

– To mi już nie grozi.

– Faktycznie. W każdym razie... chcieli, żebym pracował nad większym akceleratorem. Postanowiłem się nie zgodzić. Myślałem o ludziach takich jak Newton, jak Roentgen. Ludziach, którzy położyli podwaliny myślowe pod gigawatowe akceleratory cząsteczkowe.

– Uważasz, że te akceleratory nie są wartościowymi narzędziami badawczymi?

– Wprost przeciwnie. Siedzę na bieżąco wszystkie wyniki. Czekam na przełom. Bardzo możliwe, że wieść przyjdzie z Batavii albo ze Stanfordu. Ale chyba będzie inaczej. Myślę, że przyjdzie z najbardziej nieoczekiwanego miejsca. Tak zwykle bywa z przełomami. Będzie to coś zupełnie prostego, jakieś przypadkowe zdarzenie, podobne odkryciu promieni X.

– Czego więc szukasz? Co jest przedmiotem twoich badań?

– Natura czasu – powiedział. – A teraz, kiedy już mnie sprawdziłeś, przyszła kolej na ciebie.

Pociągnąłem nieco whisky i zacząłem opowiadać.

Trwało to długo. Wdawałem się w szczegóły, znacznie bardziej niż chciałem albo mogłem na posiedzeniu Komisji.

Zadawał bardzo mało pytań, ale dużo notował. Po kilku minutach spytał, czy zgodzę się na nagranie. Nie miałem nic przeciwko temu. Nic nie włączył, przyjąłem więc, że nagrywał mnie od początku.

W porze lunchu zaprowadził mnie do kuchni. Mówiłem, a on przygotowywał sałatę i kanapki. Zjedliśmy i mówiłem dalej.

Wreszcie skończyłem. Spojrzałem na swoją szklankę i stwierdziłem, że jest jeszcze w połowie pełna. Muszę powiedzieć, że po czułem się dumny z tego powodu.

Szczerze mówiąc, spodziewałem się bezkrytycznej akceptacji. To, co wiedziałem o Mayerze, opierało się na paru uwagach Rogera Keane'a i Kevina Brileya po konferencji prasowej, sprowadzających się do tego, że to pomylenie, pokazujący się przy okazji katastrof lotniczych i innych w całej Kalifornii i w wielu miastach Zachodu. Spodziewałem się więc życzliwego słuchacza, gotowego przyjąć moje „dowody” z entuzjazmem zaawansowanego studenta astrologii, patrzącego na jedną z łyżeczek Uri Gellera.

A co zrobił Mayer?

Maglował mnie bezlitośnie przez dwie godziny. Gdyby drań ubiegał się o stanowisko prokuratora generalnego Kalifornii, głosowałbym na niego bez wahania.

Atakował mnie z góry, z dołu i z flanki. Kazał narysować paralizator, który Louise mi odebrała. Czepiał się wszystkiego, co wykazywało najmniejszą niespójność, a to, powiedzmy sobie, obejmowało całą tę historię. Chciał zobaczyć dowody rzeczowe. Przywiozłem je z sobą i rozłożyłem przed nim: ubranie Louise, dziesięć ziarnistych powiększeń jej twarzy w różnych ujęciach, szklanka, z której piła, fotografia odcisków palców, kserokopia raportu sekcji zwłok, zegarek, który ukradłem, śpieszący się wciąż o czterdzieści pięć minut, bo go nakręcałem, inhalator i opakowanie po miętówkach.

Mayer powąchał inhalator i skrzywił nos. Zapach był już słaby, ale wciąż odrażający.

Wziął w palce materiał spódnicy, pogrzebał ołówkiem w porzuconej bieliźnie.

– Możemy przebadać ten materiał – powiedział. – Chociaż wątpię, żeby to nam coś dało. A czy miałbyś coś przeciwko temu, żeby powtórzyć tę opowieść jeszcze raz, pod hipnozą?

Roześmiałem się.

– Jestem gotów spróbować wszystkiego, ale wątpię, żeby coś z tego wyszło. Sprawdziłem już. Mnie nie można zahipnotyzować.

– Kiedy policzę do trzech, obudzi się pan wypoczęty. Raz, dwa, trzy.

Usiadłem. Czułem się znakomicie. Rzecz jasna, nic im to nie pomogło, opowiedziałem wszystko tak jak poprzednio.

Psiakrew.

– Udało się panu – powiedziałem z podziwem. – Uśpił mnie pan.

Mówiłem do doktora Leggio, po którego Mayer zadzwonił, kiedy zgodziłem się na hipnozę. Leggio był doktorem medycyny.

– Wszystko pamiętam – mówiłem nieco oszołomiony. – Ja tylko nie chciałem popsuć zabawy.

Leggio wybuchnął śmiechem.

– Poszło świetnie. Panie Smith, dobrze się z panem współpracuje, ma pan doskonałą pamięć.

Spojrzałem na Mayera.

– I opowiedziałem wszystko tak samo, prawda?

Niechętnie kiwnął głową.

– Uzyskaliśmy nieco więcej szczegółów... ale tak, nie zboczyłeś ani razu.

Kurant od drzwi wydzwonił znów swoje pięć tonów. Leggio zęgnął się ze mną gotów do wyjścia, podobnie jak kobieta, z którą nie zamieniłem ani słowa, bo kiedy przyszła, trwał już seans hipnozy. Była to Frances Schrader, która miała doktorat z biochemii i talent do rysowania. Do licha, zrobiło się tu tak gęsto od doktorów, że człowiek ledwo mógł się ruszyć.

Leggio i Schrader wyszli, a wszedł nowy gość dźwigający jakąś ciężką aparaturę.

Podczas gdy ją instalował, Mayer przedstawił nas sobie. Jegomość nazywał się

Phil Karakov i był specjalistą od poligrafu.

Westchnąłem, usiadłem i pozwoliłem się podłączyć.

– Nie mogę niczego podważyć w tej opowieści – stwierdził na koniec Karakov.

Mayer jakby nie słuchał zbyt uważnie. Czuję ulgę, że przeszedłem próbę z wykrywaczem kłamstw, podobnie jak poprzednio badanie pod hipnozą, a tu Mayer wyglądał sobie przez okno na zachód słońca za sadem.

– Dziękuję, Phil – powiedział. – Dam ci znać, co z tego wyszło.

Karakov spakował swój aparat i wyszedł. Mayer nadal wyglądał przez okno, potem wziął rysunek sporządzony przez Frances Schrader i pchnął go w moją stronę.

Rysunek był bardzo dobry. Leggio wyciągnął ze mnie szczegóły na temat paralizatora, których przedtem nie przedstawiłem. Schrader pracowała odwrócona, poprawiając rysunek, w miarę jak Leggio kazał mi zagłębiać w głąb świadomości. Powstały dwa szkice. Pierwszy, znacznie dokładniejszy, przedstawiał widok z zewnątrz, drugi – wnętrze broni, które widziałem tylko przez sekundę, zanim mnie poraziło.

Wymyślny dzwonek odezwał się znowu. Mayer zrobił zdziwioną minę, wstał i poszedł do drzwi. Zaraz wrócił.

– Nikogo nie ma – powiedział. – Coś takiego!

Kurant odezwał się ponownie.

Mayer skrzywił się, jakby przegryzł coś kwaśnego, ale powtórnie poszedł do drzwi.

Tym razem nie było go dłużej. Podczas jego nieobecności diabelstwo zagrało jeszcze trzy razy.

– Rozglądałem się wszędzie. Widocznie dzwonek się popsuł. Wyłączyłem, żeby nam nic nie przeszkadzało.

Kurant odezwał się znowu. Mayer chciał chyba brzydko zakląć, kiedy uruchomił się fonograf Edisona. Grał jakąś szkocką piosenkę, chrząkał przy tym jak diabli. Patrzyliśmy zdumieni, a tymczasem głośniki ryknęły na pełny regulator, chyba coś Wagnera. Mayer pobiegł, żeby to wyłączyć, i wtedy ruszyła kserokopiarka, zasypując gabinet papierem.

Rozjaśnił się ekran komputera. Wszystkie światła w domu przygasły, a potem zapłonęły bardzo jasno.

Byłem już na nogach. Nie zdziwiłbym się, gdyby z kuchni wyjechała kolumna zabawek samochodzików, a za nią odkurzacz. Gdzie się podziewa Steve Spielberg, kiedy go potrzebujemy?

Nagle wszystkie szyby szklanej ściany Mayera wypadły do ogrodu.

ŻEBY NIE ZAPADŁA CIEMNOŚĆ

Patrzyliśmy w głąb nieskończonego tunelu.

Rozległ się też dźwięk. Poznałem: to samo niskie dudnienie, które słyszałem, stojąc pod drzwiami swojego pokoju w hotelu. Tym razem było znacznie głośniejsze. Podłoga zaczęła drzeć i gdzieś w głębi tego nieprawdopodobnego tunelu ukazały się dwa punkty bardzo jasnego światła.

Tak naprawdę tego tunelu nie było. Widziałem za nim drzewa sadu. Były też jakieś dziwne kształty, na które wołałem nie patrzeć, skoncentrowałem się więc na jasnych światłach.

Światła zaczęły przybierać kształt istot ludzkich. Nagle perspektywa zupełnie oszalała.

Powiał silny wiatr, zawirowały wokół nas papiery i wszystko w gabinecie pokryło się szronem, jak w moim pokoju hotelowym, kiedy otworzyłem drzwi.

Dłonie miałem jak z lodu, ale nie zimne. Spojrzałem znowu na tunel. W jednej chwili światła były oddalone o sto mil, w następnej tuż-tuż, zaraz znów błyskały w oddali.

Nagle się uspokoiło. Wśród szczątków szklanej ściany Mayera stała Louise. Miała na sobie ten sam czarny komandoski strój, co tamtej nocy w hangarze. Obok niej stało coś jeszcze. Początkowo nie wiedziałem, jak to zaklasyfikować. Miało kształt człowieka, twarz, dwie ręce i dwie nogi. Niektóre fragmenty przypominały robota z *Wojen gwiazdnych*, inne Gumby'ego, glinianą figurkę z komiksu. Poruszało się to płynnie, ale było wielkie i zbudowane jak kulturysta.

Nie miałem żadnych wątpliwości. To nie jest człowiek w śmiesznym przebraniu. To istota z innego świata, robot albo coś, czego nigdy dotąd nie widziałem.

Arnold Mayer pierwszy odzyskał głos.

– Domyślam się, że pani jest Louise Ball – powiedział.

– Naprawdę Baltimore – odpowiedziała wchodząc do pokoju. – Z długiej linii Marylanderów. – Sięgnęła po krzesło, przechyliła je, zrzucając stos papierów na podłogę, i usiadła. – Mój towarzysz nazywa się Sherman.

– Miło pana poznać, doktorze Mayer, panie Smith – odezwał się Sherman, który nadal stał w miejscu zdemolowanej szklanej ściany.

– Sherman jest mechanicznym człowiekiem – mówiła Louise. – Robotem, jeżeli wolicie tę nazwę. Jest co najmniej równie inteligentny jak każdy z was, sto razy silniejszy i tysiąc razy szybszy. Nazwałam go na cześć czołgu z pierwszej

wojny atomowej.

– Czy to ma być groźba? – spytał Mayer.

– Może pan to traktować, jak pan chce. Ma pan coś, co mi jest potrzebne...

– Naprawdę jesteś ze stanu Maryland? – spytałem.

Spojrzała na mnie i dostrzegłem w jej oczach cień sympatii. W każdym razie tak mi się wydawało. Wkroczyła w moje życie i obróciła je w gruzy. Byłoby miło, gdyby odczuwała przynajmniej wyrzuty sumienia.

– Moi przodkowie stamtąd pochodzą. Jesteś pewnie jednym z moich praprawujów, oddalonym o piętnaście tysięcy pokoleń. Ale w tym czasie gatunek ludzki nie zaczął się jeszcze różnicować na oddzielne... – Spojrzała w bok i potarła czoło. – To nieistotne. – Zwróciła się do Mayera. – Ma pan coś, co mi jest potrzebne. Coś, co muszę mieć. Chcę to odebrać.

– Nie wiem, o czym pani mówi – rzekł Mayer.

– Kłamie pan. Sherman, gdzie to jest?

– Nie wiem, Louise – odezwał się robot głosem niższym i groźniejszym niż podczas niedawnego przyjaznego powitania. – Nic nie odbieram.

– Cóż, zbadaj pomieszczenie.

Jeżeli rzeczywiście „badał pomieszczenie”, zrobił to bardzo szybko. Bez chwili zwłoki wskazał obwieszoną zdjęciami i dyplomami ścianę nad kominkiem.

– Za środkowym obrazkiem jest ukryty sejf – powiedział.

Louise wstała i skierowała palec na wskazane zdjęcie, które odchyliło się na zawiasach. Wykonała jakieś skomplikowane ruchy, zobaczyłem, że tarcza zamka obraca się w jedną i w drugą stronę, po czym drzwiczki się otworzyły.

– Jak to zrobiłaś? – spytałem.

– Czary – odpowiedziała.

Zaczęła wyrzucać zawartość sejfu na podłogę. Mayer zrobił krok w jej kierunku, ale Sherman chrząknął i pogroził mu palcem. Mayerowi to wystarczyło, mnie by pewnie też wystarczyło. Ten drań był wielki.

Wkrótce złote monety i akcje giełdowe zaścierały podłogę u stóp Louise. Znalazła starego wojskowego Kolta kalibru czterdzieści pięć i rzuciła Shermanowi, który go sproszkował. To znaczy wyrzucił magazynek gdzieś hen w ciemności, a potem roztarł rewolwer w dłoniach na fontannę opiłków. Poczułem, jak kropla potu ścieka mi po kręgosłupie.

– Tu go nie ma. – Louise wróciła do swojego krzesła, ale nie usiadła. – Czy mamy rozebrać ten dom cegła po cegle?

– Skoro musicie – odparł Mayer.

Musiałem mu to przyznać, starszy pan nie zdradzał lęku i nie ustępował.

– Jest w biurku – powiedział Sherman i Mayerowi twarz się wydłużyła.

Znów czary, zapewne. W głosie Shermana nie było cienia wątpliwości.

– Biurko jest zamknięte, a ja nie mam klucza – stwierdził Mayer.

– Nie mamy czasu na zabawy – ucięła Louise. – Sherman, otwórz to.

Sherman przeszedł na drugą stronę biurka.

– Przepraszam – zwrócił się do Mayera i łagodnie odsunął go z drogi. Potem spojrzał na komputer, jakby się nad czymś zastanawiał. Po chwili wzruszył ramionami. – Proszę o wybaczenie – rzekł do komputera i zestawiał go ostrożnie na podłogę.

Miałem wrażenie, że Louise powstrzymała śmiech, do licha, ja sam mało się nie roześmiałem. Dobrze, że tego nie zrobiłem. Pewnie zabrzmiałoby to histerycznie w momencie, kiedy Sherman otwierał biurko.

Chwycił mianowicie za blat i podniósł, jakby otwierał tekturowe pudło. Ukazały się górne trzy szuflady. W środkowej leżało coś dziwnie znajomego.

– Miałeś to! – krzyknąłem. – Miałeś to przez cały czas w szufladzie i kazałeś mi w kółko opowiadać tę cholerną...

Zabrakło mi słów. Zapomniałem o Louise w jej komandoskich ciuchach, zapomniałem o tym androidalnym czołgu Shermanie, zapomniałem o wszystkim prócz paralizatora, który Louise ukradła mi tamtej nocy i który teraz wyciągała z szuflady Mayera.

– Nie bądź niemądry, Bill – powiedziała. – To inny. Spójrz, nie jest nawet nadpalony. – I rzuciła go do mnie.

Miała rację. Ten był nienaruszony. Obróciłem go w dłoniach, odnotowałem w myśli pozycję spustu i małego przełącznika z boku. Uświadomiłem sobie, że mam w ręku potężną broń.

Spojrzałem na Louise. W jej ręce zmaterializował się paralizator, skierowany w moje czoło. W jednej chwili znajdował się w futerale na biodrze, a w następnej już w jej dłoni.

– Chyba mnie nie zastrzelisz, Louise?

Posłała mi dziwne spojrzenie, potem dziwny uśmiech i broń wróciła do futerału. Tym razem usłyszałem szum jakiegoś urządzenia, ale nie zauważyłem, co się stało.

– Masz rację. – Odwróciła się. – Sherman, jeżeli spróbuje jakichś sztuczek, strzelaj obezwładniającym.

– Tak jest.

To tyle, jeżeli chodzi o nieśmiertelną miłość. Nie byłem głupi – odłożyłem paralizator na resztki biurka.

Louise pocierała czoło palcami. Wyglądała na bardzo zmęczoną i odezwała się nie podnosząc wzroku.

– Sherman, z tym paralizatorem jest coś nie tak. Obejrzyj go.

Robot wziął broń, obrócił ją w dłoniach i zrobił coś, że rozpadła się na dwie części. W środku nie było nic, miał w ręku tylko plastikową obudowę.

– Zdawało mi się, że jest za lekki – powiedziała Louise, kiedy to zobaczyła.

Przeniosła spojrzenie na Mayera. – Doktorze Mayer, chcę wiedzieć...

– Nie lubię tytułów – powiedział Mayer.

– Doktorze Mayer – powtórzyła z naciskiem Louise – ta broń jest moją własnością. Zgubił ją ktoś z moich podkomendnych. Chcę wiedzieć, skąd ją pan ma.

– A gdzie ją zgubiliście?

– Ja zadaję pytania.

– A ja nie odpowiadam.

Louise westchnęła.

– Dajmy sobie spokój z tymi melodramatycznymi odzywkami, doktorze.

– To samo dotyczy pani.

Spojrzałem na Mayera. Zewnętrznie był spokojny, ale wiedziałem, że w środku się gotuje. Pewnie też byłbym wściekły, gdyby mi ktoś rozwalił biurko. Z drugiej strony był tu Sherman i uważałem, że Mayer igra z ogniem.

– Zgubiłam tę broń jakiś tydzień temu – powiedziała Louise. – W 1955 roku.

– A ja znalazłem go trzydzieści lat temu. Też w 1955 roku.

Louise spojrzała na Shermana.

– Kłamie – rzekł robot.

Louise kiwnęła głową i gestem kazała Shermanowi podejść do Mayera. Uczony stracił nieco na pewności siebie.

– Będziecie mnie torturować? – spytał.

– To zależy, jak bardzo jest pan przywiązany do swojej melodramatycznej postawy.

Mayer zachnął się odruchowo, kiedy Sherman wziął go za rękę. Robot uwięził przegub uczonego w swojej wielkiej metalowej dłoni i czekał.

– Czy znalazł pan paralizator osobiście? – podjęła śledztwo Louise.

– Tak – odrzekł Mayer.

Sherman pokręcił głową.

– Kto go znalazł? – pytała dalej Louise.

Mayer spojrzał na dłoń robota, ja zrobiłem to samo i jednocześnie przyszła nam do głowy ta sama myśl: poligraf. Albo jego odpowiednik z dalekiej przyszłości, który (mogłem się o to założyć) był lepszy od modelu, do jakiego mnie podłączono kilka godzin temu.

– Tak jest – potwierdziła Louise, kładąc mi się zastanowić, czy jednym z jej wielu talentów nie jest czytanie w myślach. – Możemy teraz zabawić się w dwadzieścia pytań i z kłamstwa dowiem się tyle samo co z prawdy, ale taka procedura wymaga trochę czasu. My czasu nie mamy, ale mamy pewne środki chemiczne, które sprawiają, że powie pan wszystko w dziesięć sekund, tyle że środki te niszczą przy okazji komórki mózgu. Mamy też bezlitosną maszynę, która może na moje polecenie zadać panu wielki ból.

Nie wiem, czy Mayer to zauważył, ale Sherman rzucił Louise szybkie spojrzenie. Nie mógłbym przysiąc, bo nie mam doświadczenia w czytaniu wyrazu twarzy robotów, ale wydało mi się, że poczuł się dotknięty. Bezlitosna maszyna, psia mać. Czołg Sherman. Robot, który przeprosza komputer, może wychodząc z założenia, że to jego jakiś daleki przodek...

Uznałem więc, że Louise blefuje. Pewnie powinienem powiedzieć to Mayerowi, ale milczałem. Chciałem usłyszeć prawdę równie mocno jak Louise. Może bardziej.

Rozumiałem, dlaczego nie wspomniał mi o paralizatorze, który miał w biurku. Myślę, że pokazałby mi go, gdyby Louise nam nie przerwała. Po prostu postępował jak przystało na prawdziwego uczonego, podważając moją opowieść i zmuszając mnie do przedstawienia tego, co widziałem, bez jego pomocy.

Mimo to byłem wkurzony. Usiadłem wygodnie i czekałem, co on zrobi.

– Myślałem, że macie tyle czasu, ile chcecie – powiedział.

– Kiedyś tak było. Teraz mamy go bardzo mało, a pan zużywa go w niewiarygodnie szybkim tempie.

– Czy może mi pani coś powiedzieć na temat...

– Nie teraz. Może później. Nic nie obiecuję. Jest jeszcze możliwe, że wybrniemy z tego kryzysu z minimalnymi stratami. Nie można już uratować całego świata, ale mam nadzieję zachować jakąś jego część. – Wzruszyła ramionami.
– Właściwie robię to przez całe życie, prowadzę akcję opóźniającą. A teraz niech pan mówi.

I Mayer zaczął mówić.

– W 1955 roku w Arizonie miała miejsce katastrofa lotnicza.

– Wiem. Byłam w tym samolocie.

Mayera na chwilę zamurowało.

– Więc przyznaje pani?

– Co przyznaję? A, pan myśli, że to ja spowodowałam katastrofę. Nie, to nie jest takie proste i oczywiste. My ratowaliśmy życie wszystkich pasażerów tego samolotu.

Mayer wyglądał na wstrząśniętego. Ja pewnie też. Miałem się odezwać, ale Louise ciągnęła dalej:

– Tak, doktorze Mayer, pańska córka jest cała i zdrowa.

Nie potrafię opisać, co zostało powiedziane w ciągu następnej pół godziny. Głównie krzyczano w gniewie i nieufności. Nie będę nawet udawał, że dużo z tego rozumiałem. Nie jestem wcale pewien, czy rozumiem nawet teraz. Podróże w czasie, paradoksy, koniec wszechświata... sporo jak na jeden raz.

Louise powiedziała, że ratowała ludziom życie. Mechanizm, jaki nam przedstawiła, był tak skomplikowany i niesamowity, że jedynym sposobem, żebym w coś z tego mógł uwierzyć, było odwrócenie logiki: jeżeli kłamała, to dlaczego

miałyby wymyślać kłamstwo tak nieprawdopodobne?

Jeżeli natomiast mówiła prawdę... znaczyło to, że krwawe jatki i cierpienie, które zdominowały całe moje życie, nie były bardziej prawdziwe niż trupy w hollywoodzkim horrorze. Znaczyło to, że wszyscy ci ludzie żyli gdzieś w niepojętej przeszłości.

– Nie, nie wszyscy, Bill – powiedziała w pewnym miejscu Louise. – Tylko uczestnicy katastrof, w których nikt nie przeżył. Jacykolwiek świadkowie tego, co robimy, spowodowałiby paradoks.

Wydało mi się to nieistotnym kruczkiem. Czułem, jak spada mi z ramion ogromny ciężar.

– Długo nie zdawaliśmy sobie sprawy – zwróciła się Louise do Mayera – że w tym samolocie znajdowała się pańska córka.

– Miała zaledwie dwadzieścia dwa lata – mówił Mayer przez łzy. – Kilka dni wcześniej wyszła za męża. Leciła do Kalifornii, do Livermore, żeby przedstawić męża mnie i... Naomi. Myślę, że to pośrednio zabiło Naomi, moją żonę...

– Tak, wiemy – powiedziała Louise z dziwną łagodnością w głosie.

– Wy wiecie wszystko, prawda?

– Gdyby tak było, nie musiałabym tu wracać i robić panu przesłuchania. Nie wiedzieliśmy, że pańska córka leci tym samolotem, bo podróżowała pod nowym nazwiskiem. Widzieliśmy pana na miejscu katastrofy, ale nie mogliśmy stwierdzić, dlaczego pan tam jest. W końcu poskładaliśmy wszystko do kupy dzięki długim obserwacjom przez monitory czasu. Musieliśmy korzystać z informacji pośrednich. Często natykaliśmy się na cenzurę temporalną. – Spojrzała na Shermana. – Dopiero bardzo niedawno dowiedzieliśmy się, że drugi zagubiony paralizator jest w pańskim posiadaniu.

Mayer kupił ten tajemniczy przedmiot od Indianina, który podobno znalazł go daleko od miejsca katastrofy. Indianin mówił, że to coś po naciśnięciu spustu powoduje przyjemne łaskotanie! Sherman i Louise wymienili spojrzenia, kiedy to usłyszeli. Nie wiem, może kończyła się bateria. To, co ja znalazłem, kopało znacznie mocniej, byłem tego pewien jak diabli.

– Muszę wiedzieć, co stało się z urządzeniem wewnętrznym paralizatora – powiedziała na koniec Louise. – Czy pan wie?

Mayer milczał. Byłem zaskoczony. Nie rozumiałem, co może zyskać przez dalszy opór. Powinienem rozumieć, ale w głowie szumiało mi od nadmiaru informacji.

– On wie – odezwał się Sherman.

Robot nie trzymał już Mayera za rękę, może już tego nie potrzebował, a może nie było to w ogóle potrzebne. Może chodziło tylko o zrobienie wrażenia na dzikusach.

– Wiem, gdzie to jest – przyznał Mayer.

– Chcę, żeby mi pan powiedział, doktorze.

Milczał. Louise westchnęła (nie potrafię opisać, jakie znużenie z niej promieniowało) i wstała.

– Doktorze Mayer, dajmy spokój groźbom. Chyba domyślił się pan, że nie mam zamiaru robić panu krzywdy. Nie twierdzę, że wynika to z mojej wrodzonej dobroci. Gdyby to służyło realizacji planu, posiekałabym pana drobno bez zmruczenia oka.

– Wszyscy zdajemy sobie sprawę z pani zimnej krwi – powiedział Mayer.

– W porządku. Nie mogę zrobić panu krzywdy. Pogorszyłoby to tylko sytuację, która i tak jest parszywa. Przyznaję to. Zniżam się więc do prośby i apeluję do rozsądku. Czy pan rozumie, co mówiłam na temat paradoksu?

– Myślę, że tak.

– I nadal jest pan gotów spowodować zniszczenie wszechświata?

– Nie uznaję tego za udowodnione. Sama pani powiedziała, że nieszczęście już się stało, a pani stara się tylko zminimalizować jego skutki. Przyznała pani też, że sama zostanie wykreślona z rzeczywistości niezależnie od tego, co się tu dziś wydarzy. Bill już spowodował paradoks nie do odwrócenia. Czy to prawda?

Louise niechętnie kiwnęła głową, a potem znów ruszyła do ataku.

– Ale wciąż jeszcze można wybrać między dwiema katastrofami. Jedna z nich jest straszna, ale druga jest absolutna.

Mayer potrząsnął głową.

– Nie wierzę. Pani nie może tego wiedzieć na pewno.

Sądząc z wyrazu twarzy Louise, można było pomyśleć, że Mayer ma wbudowany poligraf.

– Może i nie wiem – przyznała. – Ale dlaczego nie chce pan powiedzieć nam, gdzie jest reszta broni?

– Bo to jest wszystko, co mi zostało – powiedział Mayer spokojnie. – Nie mam zamiaru spędzić paru ostatnich lat życia na zastanawianiu się, czy nie padłem ofiarą jakiejś temporalnej oszustki. Powiedziała pani, że moja córka żyje w waszym świecie. Żądam, żeby pani to udowodniła. Zabierzcie mnie tam, a wtedy powiem, co wiem.

Czy wierzycie, że tonący widzi w jednej sekundzie całe swoje życie? Ja nie wierzyłem i nadal nie wierzę. Rozmawiałem ze zbyt wieloma ludźmi, którzy myśleli, że za chwilę umrą, ale przeżyli i chociaż przypominali sobie jakieś oderwane obrazy i doznali czegoś, co można nazwać doświadczeniem mistycznym, to nigdy nie było żadnego „filmu”, żadnego przeglądu wydarzeń w kolejności chronologicznej.

Mimo to zdarzyło mi się wtedy coś bardzo podobnego. Trwało to nie dłużej niż sekundę. Będąc całkowicie przytomnym zobaczyłem, gdzie byłem, gdzie jestem teraz i czego mogę oczekiwać w przyszłości.

Wstałem i kiedy Mayer skończył mówić: „A wtedy powiem, co wiem”, powiedziałem, że ja też chcę tam pójść.

Louise nie wyglądała na zdziwioną. Podejrzewałem, że teraz trudno już było ją czymś zdziwić, przypuszczałem, że widziała już wszystko, co się tutaj wydarzy tego wieczoru i prowadziła tę rozmowę z niezbadanych dla mnie powodów. W jednej sprawie miałem rację: nie można jej było już niczym zdziwić. W drugiej sprawie się myliłem, jak się później okazało: Louise nie wiedziała, co się stanie. Dowiodła tego zwracając się do Shermana z wyrazem bezradności.

– Co mam teraz robić? – spytała.

Myślę, że Mayer był tym zaskoczony nie mniej niż ja. Nagle perspektywa uległa zmianie i nie wiem, czy ktokolwiek z nas wiedział, kto tu rządzi.

Chyba że rządził Sherman. Nie wiecie, co znaczy słowo „nieprzenikniony”, póki nie spróbujecie odgadnąć, co myśli robot. Mayer chyba myślał podobnie, bo swoją propozycję skierował nie do Louise, tylko do Shermana.

– Co za różnica? – powiedział z nutą prośby w głosie. – Macie trzy możliwości. Wracacie z wnętrzościami tego paralizatora i zostawiacie mnie tutaj. Wracacie bez paralizatora i zostawiacie mnie tutaj. Albo wracacie ze mną, ja mówię wam, gdzie jest urządzenie, a wy przybywacie tutaj znowu...

– Nie wiemy, czy to możliwe – przypomniał mu Sherman. – Może nie ma już czasu na następną podróż.

– To wasz problem – stwierdził Mayer. – Ja chcę, żebyście mi powiedzieli, co się stanie. Jakie są skutki moich działań?

– Natychmiastowe? Żadne. My odejdziemy, a pan i pan Smith wróćcie do swojego życia. Zostało ono zakłócone, ale nic nie zauważycie. Życie będzie się wam wydawało takie samo jak zawsze, rzeczywistość nie ulegnie dla was zmianie. Na końcu obaj umrzecie.

To zadziwiające, jak jedno słowo potrafi uświadomić coś, co może rozumiećcie intelektualnie, ale nigdy nie odczuliście całą swą istotą. Louise i Sherman przybywali ze świata, w którym ja byłem prochem od tysięcy lat.

– W wyniku zmian spowodowanych w waszym życiu przez to, coście zobaczyli i usłyszeli w ostatnim miesiącu, obaj będziecie się zachowywać odmiennie, niżbyście to robili w ustalonym porządku rzeczy. Zmiany te wpłyną na życie innych osób. Skutki będą się rozprzestrzeniać przez lata i stulecia. Jest prawdopodobne, a właściwie niemal pewne, że wydarzenia te wymażą z historii nasz wehikuł czasu. A także, rzecz jasna, Louise, mnie i wszystkich naszych współczesnych, ale to nie ma znaczenia. Ważne dla pana, panie doktorze, jest to, że skoro Louise nie istniała, to nie mogła wrócić do 1955 roku. Co znaczy, że nie weszła (z narażeniem życia, mogę dodać) na pokład tego samolotu i nie uratowała pańskiej córki. Znaczyłoby to, że pańska córka rzeczywiście zginęła na pustyni w Arizonie.

Mayer potrząsnął głową.

– A przecież mówiliście, że macie ją żywą, teraz.

– „Teraz” jest dość ulotnym pojęciem w tym kontekście.

– Widzę. Ale nie powiedzieliście mi, na czym polega różnica. Skoro paradoks już się zdarzył, jak to, czy powiem wam o paralizatorze, może coś zmienić? A z drugiej strony, jak moje zniknięcie z tego czasu może coś zmienić na gorsze? Stale ktoś znika.

– Tak, ale wiemy dlaczego. Dlatego że my ich zabieramy. Wiemy też... – Sherman umilkł, jakby coś rozważał. – Dobrze, będę szczery. Nie wiemy, czy gorzej będzie, jak pana zabierzemy, czy jak zostawimy.

– Tak myślałem. I wobec tego będę nieustępliwy. Widzicie... prawdę mówiąc, nie wierzę, że macie moją córkę. Uwierzę, jak ją zobaczę. A kiedy ją zobaczę, nie uwierzę, że mogę ją stracić.

Sherman przyglądał mu się przez dłuższą chwilę.

– Zdaje się, doktorze Mayer, że wszechświat jest obojętny na to, czy pan w coś wierzy, czy nie.

– Wiem. Przez całe życie akceptowałem odpowiedzi, jakie znajdowałem we wszechświecie. Tak było, dopóki nie zacząłem tak naprawdę zastanawiać się nad istotą czasu. Wtedy coś się zmieniło. Nie wierzę... nie wierzę, że za tym wszystkim kryje się pustka. Może właśnie stwierdziłem, że wierzę w Boga.

– A On jest po pańskiej stronie, czy tak?

Mayer jakby się zawstydział.

– Źle się wyraziłem. Ja...

– Niech pan nie przeprasza – powiedział Sherman. – Może to zabrzmie dziwnie, ale ja też wierzę w Boga. – Przeniósł wzrok z Mayera na Louise, a potem na mnie. Czułem się jak mało ważny członek widowni telewizyjnej, który na dany znak ma bić brawo.

– A czy pan wierzy w Boga, panie Smith?

– Sam nie wiem. Nie wierzę, że rzeczywistość jest aż tak krucha, jak wy to przedstawiacie. Nadal chcę iść z wami.

Sherman spojrział na Louise, która bezradnie potrząsnęła głową.

– No dobrze – zawyrokował. – Idziemy wszyscy.

KRAINA NOCY

Relacja Louise Baltimore

„Rób wszystko, co ci każe Sherman”, polecał list z kapsuły czasu. Kapsuły czasu, co do której Sherman przyznał, że spłodził ją w zмовie z Wielkim Komputerem.

Ale czy miałam jakiś wybór? Musiałam udawać sama przed sobą, że coś rozumiem, tylko że to się skończyło... w chwili, kiedy skręciłam kark tej nieszczęsnej tępaczce. Od dawna nie zrobiłam nikomu nic podobnie miłego, pomyślałam wtedy.

Sherman powiedział, że mamy wracać i przerwać spotkanie Smitha z Mayerem. Musieliśmy urządzić dla nich imponujący pokaz.

Cóż, mistrz cyrku, sławny P.T. Barnum mógłby się tego i owego od nas nauczyć.

Brama często powoduje lokalne zakłócenia, kiedy otwiera się na przeszłość. Mamy ze trzy tuziny urządzeń tłumiących te efekty, kiedy chcemy wylądować, powiedzmy, w środku biblioteki. Sherman i Lawrence wyłączyli je wszystkie z takim skutkiem, że gdybyśmy chcieli wystąpić na Times Square w noc sylwestrową, byłibyśmy najgłośniejszym przedstawieniem w całym Nowym Jorku. Potem dorzuciliśmy jeszcze trochę efektów, żeby ich postraszyć.

Dalej improwizowałam. Myślę, że nawet Sherman mógł być zaskoczony, kiedy obsadziłam go w roli chodzącej maszyny tortur. Ale był to w ogóle wieczór niespodzianek. Ja na przykład uważałam, że ważne jest odzyskanie całego paralizatora. Sherman miał inne pomysły.

– Nie powiedziałaś mi całej prawdy – naskoczyłam na niego, jak tylko przekroczyliśmy Bramę.

– Powiedziałem ci wszystko, co wiedziałem. Teraz przechodzimy do wariantu zapasowego. A tymczasem nasi przyjaciele czują się nieco zagubieni.

Miał rację. Zarówno Smith, jak i Mayer sprawiali wrażenie oszołomionych. Mayer wyglądał, jakby miał zwymiotować.

Niewiele tu można poradzić: albo ktoś przetrzymuje przejście, albo wariuje. Wkrótce byłam raczej pewna, że obaj z tego wyjdą. Z chwilą kiedy uznałam, że Mayer zrozumie, co się do niego mówi, uklęknęłam obok niego i spojrzałam draniowi w oczy.

– No dobrze. Czy musimy ściągnąć tu pańską córkę, czy wcześniej powie mi

pan to, co muszę wiedzieć? Przypominam, że nie mam wiele czasu na zorganizowanie wyprawy w czas i miejsce, które mi pan wskaże.

Wyglądał wciąż na lekko nieprzytomnego, ale i sceptycznego.

– Nie odeślcie mnie z powrotem?

– Po co? Sherman mówi, że ma jeszcze coś w rękawie, ale ja chcę tylko wrócić i zdobyć resztę tego paralizatora.

– To nie będzie potrzebne.

– Dlaczego?

– Bo ja tego nigdy nie miałem. Człowiek, który mi go sprzedał, wszystko już z niego wyjął.

– I co z tym zrobił?

Mayer wyglądał na przestraszonego. Nie dziwiłam mu się. W jego gabinecie nieźle odegrałam groźną wojowniczkę, ale myślę, że moją pozę wziął za dobrą monetę i niech mnie licho, jeżeli nie czułam się wtedy osobą niebezpieczną.

– Ten człowiek był rzemieślnikiem – wyjaśnił Mayer. – Miał przy drodze stragan z pamiątkami, gdzie sprzedawał biżuterię własnej roboty. Powiedział mi, że kiedy ten... paralizator przestał powodować przyjemne mrowienie, rozmontował go i wykorzystał ładniejsze elementy do produkcji sprzączek i pierścionków.

Odsunął się ode mnie. Nie zdziwiłam się. Powinnam albo urwać mu łeb, albo się roześmiać.

– Powiedziałem tylko, że wiem, gdzie to jest. I wiem. Rozeszło się po całym kontynencie i nikomu nie może zaszkodzić.

Roześmiałam się.

– Doktorze – powiedziałam mu – właśnie zlikwidował pan wydział operacyjny planu „Brama”. Od tej chwili jestem bez pracy.

Była to chyba odpowiednia pora, żeby umrzeć.

Jeszcze nie, jeszcze nie całkiem, ale zaczęłam robić przygotowania.

Pozostała sprawa córki Mayera i mojej obietnicy. Uruchomiłam na konsoli Lawrence’a sygnał alarmu. Przez chwilę nic się nie działo, potem usłyszałam zmęczony głos.

– Tak. Co jest, do cholery?

– Mandy, to ty?

– A kto inny? Kto inny, cholera, siedziałby w sali przygotowań w towarzystwie trzech trupów, które są w znacznie lepszej sytuacji niż ja, czekając, że może moja nieustraszona szefowa będzie mnie potrzebować, podczas gdy mogłabym od wielu godzin znajdować się w drodze do krainy marzeń? Nawiasem mówiąc, ile nam zostało godzin?

– Mandy, czy jesteś pijana na służbie?

– Ja? Pijana? Czy niedźwiedź robi kupę w lesie? Czy...

– W porządku, Mandy, mamy około dwudziestu czterech godzin, zanim nagle i

bezboleśnie znikniemy. Czy jesteś nadal na służbie? Czy może złożyłaś wypowiedzenie?

Pomyślałam, że zasnęła, ale po chwili się odezwała.

– Czego chcesz?

– Mam tu barana, który chce zobaczyć się z córką. Jest w zagrodzie. Jeżeli go tam zawieszysz, to ja dam znać Wielkiemu K., żeby ją odgrzał.

Mandy Dzakarta, najtwardsza z moich podkomendnych, wybuchnęła płaczem.

– Boże, uwielbiam *happy endy* – załkała.

Mandy wkrótce zameldowała się i zabrała Mayera. Zostałam ze Smithem, Lawrence'em i Martinem Coventrym, który przyszedł z Mandy. Bill przyglądał się spod oka Lawrence'owi, ostatniemu pozostałemu przy życiu członkowi zespołu gnomów. Nie bardzo wiedziałam, o co chodzi, póki nie spojrzałam na sprawę dwudziestowiecznymi oczami Smitha. Zrozumiałam, że Smithowi robiło się niedobrze na widok Lawrence'a. Lawrence ignorował Billa całkowicie, nie przyjmując do wiadomości jego istnienia. Przez chwilę poczułam się bliższa Lawrence'a niż kiedykolwiek... odkąd się rozsypał i został przykuty do swojej konsoli. Kim był ten parszywy dwudziestak, żeby nas oceniać? A jednocześnie utożsamiałam się z Billem. Czułam tak samo jak on, czułam tak przez całe życie. Tak będziesz wyglądać ty, Louise, za parę lat...

Na szczęście nie musiałam już przez to przechodzić.

– Czy będę ci jeszcze do czegoś potrzebny, Louise? – spytał Lawrence.

Podtekst był oczywisty. Miałam mu powiedzieć, że może się wyłączyć.

– Jeszcze trochę, Lawrence, jeśli można – wtrącił Sherman.

– Dobrze. Ale na dziesięć minut przed końcem odchodzę. Dużo nad tym myślałem i wolę śmierć niż... cokolwiek się tam zdarzy. Lepiej żyć i umrzeć, niż nigdy nie istnieć. Czy to, co mówię, ma jakiś sens, Sherman?

– Ma. Szanuję twoją wolę. Wytrzymaj jeszcze trochę dla mnie.

Bill strasznie kasłał. Cud, że jeszcze nie pluł krwią. Oddychał naszym powietrzem przez pół godziny, zanim Martin przyniósł mu maskę tlenową.

Sherman zabrał naszą czwórkę na taras wychodzący na pole wraków. Bill oglądał to, co pozostało po naszych akcjach, i widać było, że jest pod wrażeniem.

– Sposób Lawrence'a cieszy się dużym wzięciem – powiedział Martin. – Wszyscy członkowie Rady nie żyją.

– Nawet Phoenix?

– Nawet on. Można chyba powiedzieć, że teraz Rada to ja.

– To powinno uprościć... A tak nawiasem, ilu ludzi pozostało?

Sherman zrobił nieobecna minę, co znaczyło, że łączy się z Wielkim K. Wielki K. odpowiedział mu z powietrza, co przstraszyło Billa.

– Nie licząc trzystu milionów pustaków, które są technicznie żywe, i dwustu tysięcy baranów w stanie hibernacji, ludność Ziemi wynosi obecnie dwieście

dziewięć. Poprawka: dwieście osiem... Poprawka: dwieście siedem...

– Rozumiem – powiedziałam. – Z tego wynika, że Mandy jest prawdopodobnie ostatnią z moich podkomendnych.

– W pewnym sensie – stwierdził Wielki K. – Przyjęła narkotyk, który jest śmiertelny, ale przedtem daje sześć godzin pełnej szczęśliwości.

– Należy jej się – mruknęłam.

Bill nas nie słuchał, patrzył w niebo. Użyłam słowa „niebo” w sensie przenośnym.

Skoro było w górze, to musiało być niebo, ale wiedziałam, że przywykł widzieć coś zupełnie innego, kiedy patrzył w górę.

– Trzeba powiedzieć, że narobiliście niezłego bałaganu – odezwał się.

Nie wierzyłam własnym uszom.

– My?! My narobiliśmy bałaganu?! Nie wierzysz chyba, że my moglibyśmy zrobić to wszystko.

– Więc co się stało?

– Zaczęli wasi pradziadkowie od rewolucji przemysłowej. Ale to wy, niewyobrażalne skurwysyny, wasze pokolenie tak naprawdę wprawiło maszynę w ruch. Czy faktycznie wierzyliście, że nigdy nie wybuchnie wojna jądrowa? Było ich dziewiętnaście. Czy uważaliście, że gazy paralizujące pozostaną na zawsze w magazynach, że nikt ich nie użyje?

– Spokojnie, Louise – odezwał się Sherman.

A niech idzie do diabła.

– Nazywaliście swą broń ABC. Atomowa, biologiczna, chemiczna. Robiliście plany, tak jakby świat mógł wszystko przetrzymać, jakby to była jeszcze jedna wojna, którą można wygrać. Cóż, trzymaliśmy się długo, ale w końcu zbrakło nam sił. Zwłaszcza urocze były epidemie. Dodajcie laboratoryjnie wyhodowane bakterie do wysokiego stopnia napromieniowania i bakterie będą mutować tysiąc razy szybciej niż ludzie. Robiliśmy, co mogliśmy, wykorzystaliśmy do walki z nimi wszystko. Ale wasze prawnuki wymyśliły wojnę genetyczną i teraz epidemie są umiejscowione w naszych własnych genach. Choćbyśmy nie wiem jak walczyli, nasze geny się zmieniają. Czy myślisz, że uruchomiliśmy plan „Brama” dla zabawy? Czy nie widzisz, że to ostatni, rozpaczliwy wysiłek, by uratować coś z ludzkości? Plan, który się nie uda.

– Uda się, Louise – powiedział Sherman.

– No dobrze, Sherman. Oto wielkie pytanie. Albo zdradzisz mi teraz tę ostatnią tajemnicę, jaką przede mną ukrywasz, albo ja się wypisuję i oddaję świat w ręce twoje i resztki zdechłaków. Jakim cudem to się uda?

– Pamiętasz, jak mówiłem o punkcie widzenia?

– Pamiętam.

– O tym, że Bill Smith uważa, że znajduje się w przyszłości, podczas gdy

faktycznie znajduje się w terażniejszości, podobnie jak ty i ja.

– To nie jest nic nowego.

– Odpowiedź jest prosta. Wyślemy wszystkich ludzi, których udało nam się zebrać, w przyszłość.

Otworzyłam usta, żeby odpowiedzieć, i tak zostałam.

– To głupie – zdołałam wreszcie wyjąkać. – Brama nie działa w kierunku przyszłości.

– Niezupełnie tak – odezwał się Wielki K. – Brama istnieje w przeszłości. Przenosi ludzi w przyszłość za każdym razem, kiedy wraca wasz zespół przechwytyjący z ludźmi.

– Tak, ale nauczono mnie, że nie możemy przenieść się w przyszłość od tego punktu. Od tej chwili.

– To prawda – powiedział Wielki K. – Wysianie czegokolwiek stąd w górę czasu zniszczyłoby Bramę. Niektóre efekty uboczne tego zjawiska zniszczyłyby też to miasto, pozostawiając na jego miejscu krater głębokości dwudziestu mil. Innymi słowy, wyprawić się z umownej terażniejszości w teoretyczną przyszłość można tylko raz, bo potem Brama przestanie istnieć.

– To właśnie mówiłam. Nie można...

Urwałam. Jeżeli był w moim życiu jakiś stały punkt odniesienia, to właśnie Brama.

Dawniejsze pokolenia mogły mówić o niezmienności gwiazd na niebie albo o regularności wschodów słońca. Ja miałam znacznie mniejsze zaufanie do tych zjawisk niż do Bramy.

– Nie będzie nam więcej potrzebna – rzekł Wielki K.

Jedna wyprawa. Jedna ogromna wyprawa w przyszłość.

– Niech to będzie daleka przyszłość – powiedziałam.

– Będzie daleka – zapewnił Wielki K.

Ostatnie dwadzieścia cztery godziny wypełniły pewne szczegóły techniczne. Nie obeszło się też bez przekonywania. Do dzisiaj nie wiem, czy nie poczęstowano mnie wiązką kłamstw.

Dlaczego niby paradoks nie unicestwi baranów, nawet jeżeli przeniosą się o milion lat w przyszłość? Przecież nie byłoby ich bez naszych akcji, które z powodu paradoksu nigdy się nie odbyły.

Otóż nie, mówi Wielki K. Trzeba tylko przenieść się odpowiednio daleko w przyszłość. Zdolność przystosowawcza strumienia czasu jest znacznie większa, niż przypuszczaliśmy. Pięćdziesiąt tysięcy lat to mgnienie oka w porównaniu z podróżą, którą planował Wielki K. Przez ten czas wszystko wróci do normy i będzie tak, jakby barany przybyły z innego wszechświata.

Zastanawiałam się, od jak dawna Wielki K. o tym wiedział (jeżeli rzeczywiście wiedział) i dlaczego nigdy o tym wcześniej nie wspomniał. Wtedy wszystko już

wydawało mi się podejrzanym. Chciałam tylko jednego: spokojnie powiedzieć dobranoc, a tu Wielki K. mówił, że wciąż jeszcze mamy szansę.

Wielki K. był w tej sprawie monumentalnie nieodgadniony.

– Ja wiem – stwierdził w sposób wykluczający wszelką dyskusję.

Chciałam wiedzieć, w jaki sposób przeniesiemy przez Bramę dwieście tysięcy uśpionych baranów w krótkim czasie, jaki nam pozostał. Wielki K. powiedział, że po prostu załadujemy je na statek i że już to robi. Statek nie mógł wprowadzić do odległej gwiazdy, jak to początkowo planowaliśmy, ale niewątpliwie mógł przelecieć nad miastem.

Musiał tylko wlecieć w Bramę i wylądować po drugiej stronie za trzy albo cztery miliony lat.

Wtedy wszystkie barany zostaną obudzone i będą miały szansę zbudować świat, który nie ulegnie samozniszczeniu po paru tysiącleciach.

Tak prosto. Tak zgrabnie. Dlaczego miałam poczucie, że zostałam oszukana?

Bill Smith stanowił odrębny problem. Przyjął ten szalony plan całym sercem i zaczął opowiadać, co to „my” zrobimy, kiedy „my” tam dotrzemy. Biedak naprawdę myślał, że ja mogę w tym uczestniczyć.

Cóż, dlaczego miałabym psuć mu zabawę? Nie śpieszyłam się, żeby go informować, jak bardzo jestem naprawdę chora, że to, co widzi, to w istocie skórokombinezon, i że jestem prawdziwym dzieckiem swojego czasu: zwiędłym, żalonym, umierającym. W rezultacie utrzymywałam go w przekonaniu, że kiedy statek wyruszy, będę przy jego boku, skacząc w przyszłość razem z baranami.

W istocie nie miałam ani przez chwilę takiego zamiaru. Przychodzi chwila, kiedy trzeba opuścić kurtynę. Jeżeli gdzieś, miliony lat stąd, znajdą świat, w którym będą mogli żyć, to dla mnie byłby on zabójczy. Potrzebuję do życia mnóstwa substancji będących truciznami dla tych zdrowych bydłaków, których ratowanie było moim zawodem. Mogłabym wytrzymać w takim środowisku przez rok, tylko po co? Bill uważał, że jest we mnie zakochany, że nie może bez mnie żyć, ale ja miałam inne zdanie. Gdyby kiedykolwiek zobaczył mnie w mojej prawdziwej postaci, jego urzeczenie szybko by się ulotniło.

Spędziłam więc swoje ostatnie godziny robiąc to, co robiłam zawsze: wykonując swoje obowiązki. Sherman poprosił mnie i Billa, żebyśmy opisali swoje przeżycia. Mieliśmy powiedzieć wszystko. Wszystko cośmy widzieli, czuli i myśleli. Shermanowi bardzo na tym zależało, mnie się nie śpieszyło, żeby się z tym rozstać, opisałam więc wszystko, jak umiałam.

Bill siedzi gdzieś i robi to samo. Mam nadzieję, że z przyjemnością. Ja swoje zrobiłam.

Byłam na balkonie swojego mieszkania, kiedy dopadł mnie głos przeznaczenia. Takie już jest moje życie.

Chyba można by go nazwać posłańcem. Był to robot, który przyszedł z poczty

z kapsułą czasu, na której instrukcja głosiła, że ma być otwarta w dniu ostatnim.

– Wielki K. – powiedziałam.

– Jestem tutaj.

– Po co mi to przysyłasz? Postanowiłam tego nie otwierać.

– To interesujący list, Louise.

– Przeglądasz moją korespondencję? Wstydz się. Zresztą co tam. Sam ją piszesz.

– Przyznaję się. Określone sprawy musiały być załatwione w określony sposób.

– Nie skarżę się. Jestem dobrym żołnierzem do końca. Tylko po co mam to czytać? I dlaczego mam temu wierzyć?

– To wyłącznie twoja sprawa, Louise.

Ile ciekawości może być w człowieku, który za dwie sekundy ma wyskoczyć z dziewięćdziesiątego piętra? Sporo, jak się przekonałam. List brzmiał:

To znowu ja.

Będziesz się zastanawiać, jak możesz dostać list od siebie samej z przyszłości, biorąc pod uwagę, co chciałaś zrobić, kiedy ten list nadszedł. Pomyślisz, że to jeszcze jedna sztuczka Shermana, Wielkiego K. albo żart samego Boga.

Pomyślisz o tym wszystkim, ale mam powody, żeby sądzić, że zrobisz to co zawsze: wykonasz swój obowiązek.

Wielki K. nie mówi ci całej prawdy. Wspomniał o wyprawie na odległość kilku milionów lat, podczas gdy w rzeczywistości wysyła nas znacznie dalej. Ziemia jest ciężko ranna i potrzebuje wiele czasu, żeby dojść do zdrowia.

Ale się wyleczy, a my przybędziemy. Nie mogę ci powiedzieć, co stanie się dalej, bo umieram. Wiem też, że dodatkowe szczegóły pogłębią tylko twoją mękę związaną z wyborem. Powiem więc tylko jedno.

Twój automat medyczny się nie myli, jesteś w ciąży.

I ty też się nie mylisz. Przeżyjesz około roku w tym nowym, wspaniałym świecie.

Wiem, to niewiele, ale gwarantuję, że nie będziesz się nudzić. Masz przed sobą jeden rok z nim i trzy miesiące z nią (to dziewczynka). Twoja śmierć nie będzie zbyt bolesna, przynajmniej jak dotychczas. A na łożu śmierci nie będziesz mieć pewności, że twoja córka przeżyje cię o wiele lat. Życie tu nie jest łatwe. Ale będzie tu z tobą, będzie zdrowa, a ty będziesz bardzo szczęśliwa. Będziesz siedzieć obok niej i pisać ostatni list do biednej, zagubionej, wcześniejszej wersji samej siebie i będziesz się zastanawiać, jak, u licha, ten list do ciebie dotrze. (Nie mogę ci tego zdradzić, ale cóż warte byłoby życie bez tajemnic?). Wsiadaj na statek, Louise. Jedź z nim.

EPILOG

ŚWIAT CZASU

Relacja Shermana

Na podstawie długiego doświadczenia w kontaktach z ludźmi doszedłem do przekonania, że żadna opowieść nie jest do końca prawdziwa.

Siedzę nad dwiema relacjami i mam uzupełnić je własnymi kłamstwami, półprawdami albo po prostu nieporozumieniami, powodowany jakąś niejasną potrzebą dążenia do pełni, pełni, której nigdy się nie da osiągnąć.

Relacje są takie, jakich można było oczekiwać. Każdy narrator jest gwiazdą własnego przedstawienia. Postacie drugorzędne pojawiają się, tylko żeby czegoś dowieść, i mają skłonność do znikania, kiedy przestają być potrzebne.

Na przykład Bill Smith nigdzie nie wymienił imienia swojej byłej żony. Nigdzie nie wspomniał, że ma z nią dwójkę dzieci i że ich nigdy nie odwiedza, bo to dla niego zbyt bolesne. C. Gordon Petcher jest w oczach Smitha karykaturą, podczas gdy moje obserwacje na monitorze czasu mówią, że to ciężko pracujący sumienny człowiek, którego działania były zawsze przemyślane.

Z drugiej strony, żeby mu oddać sprawiedliwość, Smith zdawał sobie sprawę z własnych słabości i nie wstydził się ich ujawnić. Można by powiedzieć (gdyby się było osobą tak cyniczną, za jaką lubi uchodzić Louise), że aż za dobrze zdawał sobie sprawę ze swoich kłopotów. Ale walczył z nimi.

Warto czytać między wierszami. Nietrudno dostrzec, iż Smith rzeczywiście wierzył, że kocha Louise. Bał się do tego przyznać nawet przed samym sobą i nie bez powodu. Bo jej nie kochał. Przyszłość to potwierdzi, jak mnie zapewnia Wielki K. Smith nie będzie dobrym ojcem dla dziecka Louise.

Louise...

Potrafię pracować z osobą pomyloną równie dobrze jak z normalną. Nie mam żadnej wątpliwości, że Louise była pomylona, ale osiągnęła stan roboczego przystosowania do niemożliwej sytuacji. Jej urojenia na temat skórokombinezonu są tego najwymowniejszym przykładem. Wierzyła w niego z takim przekonaniem, że mogła go „zdejmować” i oglądać jakiś horror własnego pomysłu. Nie sprzeczałem się z nią, bo miało to swój wymiar użyteczny. Jedynie kiedy go zdejmowała, mogła się przede mną otworzyć, mówić mi o sprawach, które już znałem, ale które musiała ujawnić sama. Okazałem się nietęgim psychoanalitykiem, to prawda. Widocznie było nieuniknione, że się w niej zakocham na swój zimny, pozbawiony serca, mechaniczny sposób.

I jeszcze jedna ironia. Uważała, że nie kocha Smitha, podczas gdy w rzeczywistości go kochała.

A, jeszcze Mayer. Bądźmy tu skrupulatni. Przez trzydzieści lat wmawiał sobie, że kochał córkę. Kiedy się przebudziła, okazało się, że ona ma odmienną opinię. Zdobyła się nawet na to, żeby mu powiedzieć, co naprawdę zabiło jego ukochaną żonę.

Siedzę więc tutaj i wspominam ich, choć jeszcze nie umarli.

„Tutaj” oznacza kabinę jednego z wahadłowców orbitalnych, który stał kiedyś obok większego statku ewakuacyjnego. W istocie jest to znacznie potężniejszy pojazd. Jesteśmy oddaleni o miliony mil od Ziemi i dotarliśmy tu w bardzo krótkim czasie. Wielki K. zapewnia mnie, że znajdujemy się wystarczająco daleko, żeby uniknąć zarówno fizycznych, jak i temporalnych skutków ucieczki w „przyszłość”.

Na kolanach mam relację tych dwóch osób, obok siebie małą czarną skrzynkę wielkości mniej więcej rejestratora rozmów w kabinie załogi.

Po głowie chodzi mi natrętny przykład dwudziestowiecznej mądrości: „Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia”. Zdefiniować dzień. Zdefiniować życie.

– Posłuchaj, ty skurwysynu – powiedziałem.

– Podałś niewłaściwe hasło – odezwał się głos z czarnej skrzynki.

– Wiem, ale pomyślałem, że powinieneś to jeszcze raz usłyszeć, zanim ona umrze. Żeby ci przypomnieć o kimś, kto się tobą nie przejmował.

– Aluzję zrozumiałem.

– Siedzę tutaj i myślę. Zastanawiam się, dlaczego się im wydawało, że mają jakiś wpływ na sprawy świata. Dlaczego nikt z nich nigdy nie spytał, co to jest ten Wielki K. i gdzie się znajduje? Dlaczego wszyscy wierzyli w Bramę?

– Brama jest równie rzeczywista jak następny tydzień – powiedział Wielki K.

Nie mówiłem nic więcej, ale też i nie musiałem. Ja znałem odpowiedzi. Był to efekt odwrócenia uwagi i potęgi słów. Nazywajcie coś „wielkim” wystarczająco często i wszyscy uwierzą, że to jest wielkie. Albo pomylą rozmiar z pojemnością. Pojemność informacyjna Wielkiego K. jest w istocie nieograniczona, ale Louise zakłada, że zostanie on zniszczony w kataklizmie, który miał pochłoniąć jej miasto.

– Czy ona jest na statku? – spytałem.

– Oczywiście. I to się zaraz stanie. Patrz.

Obraz miałem na ekranie przed sobą. Zobaczyłem Bramę rozszerzającą się na wiele mil i znikający w niej statek.

Hałas musiał być straszny. I niewątpliwie zrobiło się jasno. Widziałem to za oknem.

Kiedy połączył się efekt zniszczenia Bramy i paradoksu czasu, a potem wszystko się uspokoiło, Ziemia obracała się nadal wokół osi. Ale było gorzej niż w Wieku Ostatnim.

Louise miała rację, nic nie przeżyło.

– W tej nowej, zmienionej rzeczywistości ostatni człowiek umarł przeszło dziesięć tysięcy lat temu – powiedział Wielki K. – Mówiąc w sensie chronologicznym.

– To jedyny znany mi sposób mówienia.

– Na szczęście są inne sposoby.

– Czyja muszę to robić?

– Jesteś moim synem jednorodzonym.

– I nie moja, ale twoja wola niech się stanie. W porządku. Obudź mnie, kiedy oni tu przybędą.

– Wyobraź sobie ich zdumienie, kiedy wyjdiesz im na powitanie za sto milionów lat.

PROLOG

KONIEC WIECZNOŚCI

Sherman jest w porządku, podobnie jak Louise. I będzie dla nich użyteczny. Liczę na niego, że potrafi powstrzymać tysiące żywych istot z tej wielojęzycznej arki Noego przed samozniszczeniem zaraz po wylądowaniu. Niech mają szansę, tak jak inni przed nimi.

Nie chciałem go okłamywać, ale potrzebna mu była jakaś liczba. Oni zawsze stosują liczby, nawet gdy nie ma to żadnego sensu, jak w tej „wielkości”, którą nazywają czasem.

Sherman ma nie lepsze pojęcie o czasie niż Louise.

Ja pojmuję czas na wskroś. Lata nie mają tu nic do rzeczy.

Jednym z moich ulubionych wynalazków jest wolna wola i nie chciałbym z niej zrezygnować. Niestety są z nią nieustanne kłopoty. Jak się istotom myślącym da wolną wolę, to trzeba je okłamywać.

Zastanawiałem się poważnie nad całkowitym usunięciem ludzi z tego cyklu. Mam przecież maszyny i tym razem nawet ja jestem maszyną. Może osiągnąłbym lepsze wyniki z metalem i krzemem niż z życiem tradycyjnie opartym na węglu. Dwa razy z rzędu nic z tego nie wyszło. Pierwszy raz z ewolucją, która wydawała się tak dobrym pomysłem, a drugi raz z mężczyzną i kobietą w raj.

To był taki piękny raj i popatrzcie, co z niego zrobili, korzystając z wolnej woli.

Ale dość tego. Czas zakończyć tego seta i zabrać się do budowania przyczółka dla arki.

Ludzie powiadają: „Do trzech razy sztuka”. Trudno stwierdzić czy traktują to poważnie; ja nie planowałem przedstawienia na trzy akty. Ale jestem równie przesądny jak każda istota rozumna i mam po temu znacznie więcej powodów.

Może tym razem się uda i wreszcie zrobię sobie wakacje siódmego dnia.